

Kalicka Manuela

Kochaj i tańcz 20 lat wcześniej

*Dwóm Dorotkom,
Kabalewskiej i Maj,
Brzeziny Wam życzę...*

PROLOG

KWIECIEŃ 2008

Korfu

Promienie słońca sączyły się leniwie przez pnącza wistarii ocieniające taras. Błękit kwiatów zlewał się z błękitem ścian i chłodził wnętrze - surowe, lecz piękne w swojej surowości. Kilka sztuk mebli udających wiejskie, drewniana, starannie wyszlifowana podłoga, gliniane wazy pełne ostróżek zerwanych na zboczu góry, na której stał bungalow, tworzyły dom, o jakim w tym bezustannym zgiełku zawsze marzył - czysty, jasny i prosty.

Jan upijał się niespiesznie, wylegając się w miękkim trzcinowym fotelu i gapiąc się na morze przez szeroko otwarte drzwi balkonowe.

Pokój miał ściany w kolorze skorupki ptasiego jajeczka.

Tak. To ten kolor. Pamiętał.

Jak te ptaki się nazywały?

Te od tych lodowo-błękitnych jajeczek?

Miały taki piękny wyblakły niebieski kolor.

Jak skrawek nieba po deszczu.

Właził po drabinie na przygórek nad stajnią, co z dawnych jeszcze czasów ocalała na podwórku ich kamienicy, i wybierał je z gniazda.

Jak one się nazywały? Te ptaszki.

Nie wiedział. To też mu uciekło.

Uniósł do ust szklanę z zimnym ouzo, popatrzył na morze w kolorze akwamaryny, niespokojne, jak zwykle na Korfu o tej porze roku, i stwierdził, że życie nie ma sensu, choć świat jest piękny.

Powalająco piękny. Ale nie ma sensu. Życie.

Jego życie nie miało sensu.

Znów dolał sobie porządnie schłodzonej wódki i popatrzył pod światło na jej mętniejącą biel. Coś musiał z tym zrobić.

Nie z ouzo, ouzo na razie pomoże, choć niewiele go już w tej butelce.

Ale co dalej... przecież tak być nie może.

Potarł ręką bolące kolano.

Kryzys wieku średniego na Korfu, pomyślał, zawsze to lepiej niż w Pabianicach...

STYCZEŃ 1983

Warszawa

Nagi i opalony tors mężczyzny połyskiwał w przygaszonym świetle lamp. Gdy wynurzył się z mroku, Basia przełknęła ślinę.

Zrobił krok w jej kierunku. Jeden. A potem drugi. Zamarła w oczekiwaniu i wtedy on nagle wykrzyknął:

- Do diabła! Kto ustawiał ten reflektor?! Nic nie widzę!

Przebudzona z transu rozejrzała się bezradnie. Najwyraźniej krzyczał do niej...

- Panie Janku, pan się nie denerwuje. - Zza pleców Basi, z ciemności wynurzył się Rysio Minc, reżyser spektaklu. - Zaraz poprawimy!

Ryś odwrócił się i wydarł swoim przepitym, z lekka piszczącym głosem.

- Jacek! Jacek! Co z tym reflektorem, do jasnej anielki?!

- Nic, nic. Już robiem - zakrzyknął głos z góry. Światło zaczęło omiatać scenę, jakby reflektorem kierował ktoś na dobrym gazie. Niewykluczone,

że tak właśnie było, bo nagle krąg światła zatrzymał się nie tam, gdzie powinien, ale na stojącej w rogu sceny Basi, ciągle hipnotycznie wgapionej w tancerza, na górze zaś rozległ się jakiś przeraźliwy łomot, jakby coś spadło z wielkim hukiem.

Basia otrząsnęła się, zmrużyła oczy i postąpiła krok do przodu, chcąc wyjść ze strumienia światła. Zrobiła to w popłochu, niezgrabnie i wymuskał się jej z rąk plik notatek zawierających rozpiszkę, co, kiedy i gdzie.

Białe splachetki papieru rozpięzchły się po całej scenie jak stado gołębi i opadły na wysłużoną, zdeptaną setkami nóg podłogę.

Tancerz próbujący tuż przed nią kolejne arabeski spojrzał zdumiony na te papierzyska i jęknął głośno:

- A to co znowu?

Basia wyjąkała przestraszona:

- Przepraszam! - I nachyliła się, by pozbierać świstki.

Nie pomógł jej.

Jakby owładnięty jakąś myślą, zaczął tańczyć pomiędzy kartkami, ponownie wprowadzając je w ruch.

Kręcił piruety, wirował i wykonywał jakieś szalone kroki taneczne, a papiery unoszone ruchem powietrza tańczyły wraz z nim.

Oczy błyszczały mu z podniecenia.

Bawiło go to widzieć i nie zwracał na Basię najmniejszej uwagi, co w sumie jej odpowiadało, choć

może było troszkę zasmucające. Chciała być niewidoczna, ale każdą komórką ciała czuła obecność tancerza, pracowicie podnosząc spod jego nóg rozsypane karteluszkę...

Wtem tancerz zrobił *grand jeté* ponad nią.

Przestraszona podskoczyła, a on zawadził nogą o jej ramię i wyrócił się jak długi dwa kroki od niej.

Dobrze mu tak! Zuchwalec jeden niewychowany, pomyślała, ale znów powiedziała głosem wystraszonej myszy:

- Przepraszam...

Ciągle to ostatnio powtarzała. Aż ją mdliło.

Była nieporadna i niezręczna. Czuła to.

Awansowała niespodziewanie kilka dni temu do roli inspicjentki, po tym, jak jej poprzedniczkę internowano, i jak się zdawało, był to awans ponad jej siły.

Ciągle coś gubiła, czegoś zapominała i spodziewała się, że wywalą ją lada moment i żadne słowo „przepraszam” już jej nie pomoże.

Tancerz usiadł tuż obok i wreszcie na nią popatrzył. Ich spojrzenia się spotkały i nagle coś się stało, jakieś spięcie w niebiosach, bo oboje zatnęli wzrokiem w swoich oczach.

Zamarli w bezruchu. On w półcieniu sceny wyglądał niczym posąg grecki, półnagi i błyszczący. Patrzył na Basię wielkimi czarnymi oczami, jakby pierwszy raz w życiu zobaczył żywą kobietę. Ona zaś zatopiona w jego oczach klęczała tuż przed nim, nie mogąc się ruszyć.

Po prostu - trwała, trzymając w ręku zapomniane kartki.

Nagle znów coś łomotnęło. Może w niebiosach albo tylko na górze, ale oboje równocześnie drgnęli i zaczęli się podnosić. Tancerz, jak sprężyna, błyskawicznie stanął i podał jej rękę.

Basia chwyciła dłoń i znów poczuła ten sam prąd, nieomal elektryczny, który już raz ją dopadł. Jego dłoń prawie parzyła.

Podniosła się z podłogi jak marionetka pociągnięta za sznurek, trzymając się ręki tancerza niczym koła ratunkowego. Wpatrzona w niego znów upuściła wszystkie pozbierane już karteluszkę i wcale tego nie zauważyła. Spłynęły jak śnieżna kaskada do ich stóp, gdzie leżały nieważne i niepotrzebne. Mocniej chwycił ją za dłoń i przyciągnął do siebie.

Teraz stała tuż przy nim i dotykała go biodrem. Przełknęła ślinę i poddała mu się. Niczym zahipnotyzowany królik.

Tancerz uniósł jej dłoń i wykonał krok tanga. A potem nagle zrezygnował, nachylił się nad nią, ciągle stojącą bez ruchu, i musnął jej usta wargami.

- Jak masz na imię?
- Basia...
- Pójdiesz ze mną?
- Co!?
- Czy pójdiesz ze mną?
- Tak.
- To chodźmy.

- Gdzie...
- Do bufetu.. I poszli...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Samolot wylądował o czasie. Jan zerknął na ekran komórki. Była 12.

„Zabawne, pomyślał. Wtedy wyleciałem o 12, a teraz, proszę, jestem z powrotem”.

Czas.

Czyżby czas zatoczył koło?

Tuż przy wyjściu dla VIP-ów kłębił się tłum reporterów. Monika, spokojna i opanowana, wyszła pierwsza i przystanęła z boku, trzymając Lolę za rączkę. Czekwała.

Gdy Jan ukazał się w drzwiach, błysnęły flesze. Miał ochotę się cofnąć, ale tylko uśmiechnął się krzywo i niepewnie.

Był zmieszany. Nie lubił tego. Ale to część zawodu, który wykonywał. Musiał brać w tym udział. Odwrócił lekko głowę, spojrzął na stojącą obok niego Monikę i wycedził przez zęby:

- Nie teraz...

Monika natychmiast puściła rączkę Loli i lekko popchnęła ją w kierunku Jana, który ujął dłoń, pulchniutką i troszkę lepką, ale tak przyjemnie ciepłą.

Lola nie protestowała, złapała go za pasek i wspięła się na palce. Popatrzył odruchowo, jak trzyma paluszki, i pomyślał, że niedługo zatańczy na pointach. Podniósł małą i posadził sobie na ramieniu, a ona wtuliła się w niego, zerkając spod oka na tłum reporterów.

Na krótką chwilę zasmucił się. Było to jak błysk, ledwo uchwycone i zarejestrowane przez mózg.

Coś stracił. Tu i teraz, i kiedyś.

To był moment, ta myśl, bo w tej samej chwili jego uwagę odwróciła Monika.

Wysunęła się do przodu, zasłoniła Jana i Lolinkę, chrząknęła i powiedziała:

- Drodzy państwo, przepraszam...

Gwar rozmów i hałas lotniska zagłuszyły jej słowa, więc przerwała na moment.

Mimo że wypowiedziane niezbyt głośno, zawisły w powietrzu i powoli dotarły do rozgadanego tłumu żurnalistów i fotoreporterów, którzy jak *za* dotknięciem czarodziejskiej różdżki, niespiesznie, jedni po drugich, zaczęli się uciszać i patrzeć na nią wyczekująco.

Zapewne oni też chcieli mieć to spotkanie z głowy i pędzić dalej do domu czy do pracy, pomyślała Monika i uśmiechnęła się promiennie uśmiechem, który nic nie znaczy, i dokończyła:

- Przepraszam, ale mieliśmy bardzo długi lot. Pan Kettler musi odpocząć, więc nie będzie mógł teraz z państwem porozmawiać, ale zapraszamy na konferencję prasową jutro do hotelu.

Jak zwykle kilka osób zaprotestowało.

- Czekamy od dwóch godzin.

- Tylko kilka pytań.

Monika ściągnęła okulary, popatrzyła na dziennikarzy z zagadkowym uśmiechem i znowu zrobiło się cicho. Jej spojrzenie obiecywało wiele, ona jednak nie dotrzymała tej obietnicy i powiedziała bardzo spokojnie:

- Jutro, w hotelu... o 15. Zapraszamy. Dziękuję bardzo.

Odwróciła się do Kettlera i oboje, już nie patrząc na nikogo, powoli odeszli, a za nimi ciągnął tłum rozczarowanych dziennikarzy.

Tylko niezmordowana Lola była w nastroju do żartów, przewieszona przez ramię Jana zwisała kompletnie bezwładnie, zrobiła przeraźliwego zęza i wywaliła swój różowy języczek prosto do śledzącej ich cierpliwie kamery...

STYCZEŃ 1983

Warszawa

W bufecie było pusto, za ladą stała tylko bufetowa, pani Gienia, i leżała herbata gruzińska w dużej paczce.

Wzięli do ręki dwie szklanki pełne fusów i ciemnego jak noc, przynajmniej Walpurgii, płynu i usiedli przy najdalszym narożnym stoliku.

- Co robisz? - zapytał.

- Wszystko - odparła bez namysłu, patrząc mu w oczy, a on uśmiechnął się i nagle zrozumiała dwuznaczność swoich słów. Zaczerwieniła się. Było jej z tym ślicznie i on to zauważył.

- Znaczy, jestem tu inspicjentką - wydukała. - Czyli taką panienką od wszystkiego... - dodała wyjaśniająco i znów spłonęła się jak poziomka latem. Gafy to była, niestety, jej specjalność.

- Aaaa - powiedział inteligentnie. - A jak masz na imię?

- Basia.

- A ja Janek.

- Wiem! - wpadła mu w zdanie.

- Tak? Jan Kettler - przedstawił się bardzo oficjalnie i przez stolik wyciągnął do niej dłoń.

Podąła swoją, mówiąc:

- Basia Brzozowska.

Uśmiechnęli się do siebie równocześnie, jakby nie wiadomo co się zdarzyło i nie *wiadomo* co powiedzieli.

W tym momencie do bufetu wpadł Rysio Minc i zakrzyknął:

- Pani Gieniu, kawy!

- Nie ma kawy!

- Jak to nie ma?

- Skończyła się, a nie dowieźli. Chce pan toni z cykoriom?

- Nie chcę. Pani da herbatę - powiedział zrezygowany. - O! Tu pan jest, panie Janku. Dobrze. - Usiadł koło nich i popatrzył na Janka ze strapioną miną. - Mamy problem, panie Janeczku! - głęboko westchnął.

- Jaki problem?

- Dyrektor programowy chce coś na ludowo, panie Janeczku, te pana amerykańskie wygibasy chyba nie przejdą, nie biorą tego...

Basia patrzyła, jak czar pryska. Jan się wściekł.

- Jak nie, to nie. Idę. - Wstał od stolika, zapominając i o Basi, i o herbacie.

- No, panie Janeczku, pan się nie wygłupia. Jakoś to obejdziemy. Może pan zatańczy kozaka? To by było coś na ludowo i wie pan, kozaczok zawsze modny.

- Nie ma mowy. Nie będę tańczył kozaka.

- To może jakiegoś stylizowanego obertasa nam pan odstawi. No, wie pan. Niby ludowe, a jednak nie.

- Panie Rysiu, pan szuka innego tancerza. Odpadam.

- No to może tango pan zatańczy?

- Tango?

- Tango, no, apaszowskie. Wie pan, lud pracujący...

- Apasz? Ludem pracującym?

- No proletariat, czyż nie?

- Lumpenproletariat raczej...

- Być to może, ale nie musi. - Ryś uśmiechnął się szeroko. - Nie wgłębiajmy się. To co, zgodzi się pan na apaszowskie?

W tym momencie do bufetu wpadł tłum panienek w powyciąganych, bajecznie kolorowych swetrach i w ocieplaczach na nogach. Przekrzykując się, dziewczyny zaczęły zamawiać herbatę, bo nic innego przecież nie było.

Pan Rysio otaksował wzrokiem girlaski, oblizał machinalnie grube wargi i znów popatrzył na Janka.

- No, to jak?

- Tango mogę.

- Z panią Krystyną zatańczycie?

- Porozmawiam z nią...

- To załatwione. Wie pan, na spektaklu oficjele będą. Tango im się spodoba, a te, wie pan, wygibasy do tivi się nadają, a nie tu. Tam udajemy, żeśmy niby tacy nowocześni. W tivi - dodał jeszcze wyjaśniająco pan Rysio, puścił frywolnie oko i usadowił sobie podaną właśnie usłudze przez panią Genię szklankę z plujką na wystającym, okrągłym brzuchu przyobleczonym w gustowny turecki sweterek.

- A co pani tu robi, panno Basiu? - zainteresował się nagle. - Na pewno potrzebują cię, dziecinko, za kulisami, a ty herbatkę sobie...

- Przepraszam! - powiedziała Basia i zerwała się jak oparzona, by pomknąć do pracy, o której przy tym frapującym tancerzu na śmierć zapomniała.

Ale Janek nie dał jej odejść. Złapał ją za skrawek jej super hiper spódnicy maksy i przyciągnął do siebie.

Ryś patrzył na to niezbyt zdziwiony, nie takie rzeczy on już widział. Basia dała się podprowadzić jak na sznurku bliżej stolika i spojrzała na chłopaka z przekorą i uśmiechem trochę kpiącym, trochę wabiącym.

- Umówmy się... - zaproponował, patrząc jej w oczy. - Jesteś jutro wolna? Basiu, o 11? Co ty na to?

Tak _ odparła cała szczęśliwa. - Świetnie. Może w Horteksie?
- Którym?
- Na placu Konstytucji.
- Dobrze. Tylko bądź!
- Okej... Będę... - przyrzekła Basia i wiedziała, że nawet gdyby wybuchła ta wojna atomowa, co to o niej ciągle w telewizji mówią, to ona i tak będzie w tym Horteksie.

CZERWIEC 2003

Warszawa

Basia patrzyła na ekran telewizora i wydawało jej się, że śni. Widziała Jana.

Stał w tłumie ludzi. Wcale się nie zmienił. Zmienił się...

Nie. No, trochę. Posiwiął, ale... To był on. Na pewno on. Chwyła pilota i zwiększyła głośność. Spiker mówił:

„Po ponad dwudziestu latach nieobecności w kraju przyleciał dziś do Polski Jan Kettler. Słynny tancerz, choreograf, trener, kreator tańca, jak mówią o nim krytycy. Zdobył sławę i uznanie za granicą, wystąpił w kilkunastu filmach muzycznych. Za oceanem Jan Kettler to gorące nazwisko... dziś przyjeżdża do Polski jako trener. European

Show Dance to prestiżowy, międzynarodowy konkurs... Nagrodą dla zwycięskiej pary jest roczne stypendium na Broadwayu..."

Jan, jej Jan. Wrócił.

STYCZEŃ 1983

Basia jadła lody. Pełno w nich było rodzynek i bitej śmietany. Oblizywała łyżeczkę i przymykała oczy z rozkoszy.

A Jan siedział *vis-à-vis* i po postu się gapił.

Sam zamówił szaszłyk z pieczarek i błyskawicznie go pochłonał. Cóż to dla niego tych kilka grzybków. Ostatnio z powodu tych przeklętych kartek na mięso knajpy zaczęły się wykazywać wprost niewiarygodną kreatywnością.

Dawniej tylko te nudne bryzole i schabowe, a teraz, proszę, bryzole zniknęły, a w karcie same pieczarki: flaki z pieczarek, pasztet z pieczarek i szaszłyk z pieczarek.

A na deser lody z rodzynkami, pewnie z pieczarek nie da się zrobić *lodów*.

I co by nie mówić, było to dobre. Znaczący lody, bo nie całość spraw.

Basia miała wyrzuty sumienia, że je lody, zamiast ganiać po mieście w poszukiwaniu czegoś do kupienia. W sumie nieważne czego - czegokolwiek. Wszystko było potrzebne, a ona nie miała

nic. Nawet gumki do majtek. Asia, jej psiapsiółka od przedszkola, mówiła, że można gumkę dostać na Śniadeckich. Jak zje lody, to tam zajrzy. W końcu to niedaleko. Ale właściwie to może nie zajrzy. Może pójdą na spacer? Poszłaby. Na koniec świata.

Jan patrzył na Basię i myślał: jaka ona śliczna! Ten zadarty nosek i płowa czuprynka. Lekka nadwaga. Lubił dziewczyny ciut przy kości, te szkielety z baletu wcale mu się nie podobały.

I jak ona je te lody. Zjadłby ją.

Basia, ta Basia. No, naprawdę...

Basia oblizwała z resztek lodów pełne wargi, spojrzała na niego i zapytała:

- To co teraz?

I to było naprawdę dobre pytanie...

STYCZEŃ 1983

Podłoga lśniła i zdawała się konkurować z lustrami zawieszonymi na ścianach. W powietrzu unosił się lekki zapach lakieru do podłóg i Janek, który stał przy drążku i się rozćwiczał, poważnie myślał, czy te harce w świeżo odremontowanej sali baletowej nie skończą się dla niego alergią. Lakiery do podłóg to były prawdziwe zajzajery i czuł, że oczy już go szczypią.

Była godzina czternasta, wszyscy tancerze pomknęli do domów po porannych zajęciach, a on z Krysią, jak zwykle, miał zamiar potrenować drugi raz.

Pierwszą turę zajęć odbywali co dzień nieomal bladym świtem, bo o szóstej. A czasem nawet i piątej, gdy mieli rankiem jakieś nagrania.

Stróż, pan Genio, wpuszczał ich do teatru i nawet o nic nie pytał. Czasem tylko kawę lub herbatę proponował, taki był z niego porządny chłopina...

Trzask drzwi niczym strzał z pistoletu poderwał Janka ze skłonu. Do sali, jak wichur, wpadła jego partnerka Krystyna.

- Heja! - rzuciła w przelocie i przycumowała obok, podnosząc nogę na wysokość głowy i wyginając się do tyłu tak, że stopa wylądowała jej na karku.

- Co ty tak od razu idziesz na całość? - zdziwił się Janek.

- Nosi mnie. Nie wiesz? Nadpobudliwość ruchowa. Dlatego wylądowałam w balecie - zaśmiała się.

Nieduża, czarna i gibka, zabrała się do ćwiczeń z charakterystyczną dla siebie energią.

Czasem Janek zazdrościł Krysi zarówno tej energii, jak i optymizmu. Jemu nigdy nie było ani wesoło, ani łatwo.

- To co, zatańczymy tango? - zapytał.

- Jasne, skoro płacą i chcą. Albo odwrotnie. Chcą i płacą. Potrzebujemy z Adamem kupić magnetofon i głośniki, bo stare szlag trafił, a nasz rubin ma coraz bardziej wściekłe kolory. W końcu może nam eksplodować - monologowała Krysia, ćwicząc jednak zapamiętane. - Znów jeden wybuchł na Bródnie - sapnęła, wyginając się w pałąk. Złapała oddech

i kontynuowała, naciągając nogę, najmocniej jak się da: - Rubin - dodała, widząc pytający wzrok Janka. - Rubin wybuchł... A w Peweksie widziałam takie sony cudne. Ale wiesz, 1500 zielonych, no straszne. Więc sony to raczej nie, ale może choć coś z Polkoloru uda się kupić, mają francuską licencję. Kolega Adama ma tam chody, ale to też kosztuje, więc każda fucha jest dobra - zakończyła, łapiąc oddech.

- No, taka chałtura... - westchnął Janek. On w przeciwieństwie do Krysi nie miał żadnych potrzeb. Poza potrzebą tańca. Tylko taniec go kręcił. Więcej nic. - Mnie to nudzi, powiem ci... poza tym jacyś mają przyjść...

- Janek, ty nie hamletyzuj! Ciesz się, że mamy możliwość chałturzyć. I to za dobre w końcu pieniądze. A niech przychodzą. Ja dla ludzi tańczę, a nie dla tych... - tu zmeła w ustach grube słowo i kontynuowała: - Mam dla ciebie wiadomość. Ucieszysz się. Teraz pokażemy tego apasza w teatrze, na jubileuszu, a później, w lutym, skoczmy sobie na warsztaty tańca nowoczesnego do Wrocławia. Z Paryża przyjeżdża Jean Pierre Robineau i będzie uczył. Już nas kazałam wpisać.

- Robineau!!! Fantastycznie! Tylko sama powiedz, po co uczyć się moderny, skoro oni nam nie dają tego tańczyć. Ciągłe chcą jakieś bzdety od rzeczy.

- Ale płacą. Płacą!!! Nie łam się. Podobno Gar-liński myśli o wystawieniu *Pietruszki* i słyszałam, że dla ciebie szykuje główną rolę!

Jan aż podskoczył. I na chwilę przestał ćwiczyć.

- Skąd słyszałaś? - nachylił się nad Krysią wygiętą w pałąk przy drążku.

- Żużu mi powiedział. A ty przecież wiesz, że Żużu z nim...

- A dlaczego ja? A nie Żużu?

- Żużu tańczy *Spartakusa*. Wszystkiego nie może. Zresztą on nie ma zmysłu komicznego, a ty masz.

Jan zaczął podskakiwać, udając marionetkę. Kręcił się po sali, wirował. Krystyna przez chwilę gapiła się na niego, wykonując swoje monotonne ćwiczenia rozciągające, ale w końcu dała za wygraną, oderwała się od drążka i przyłączyła do zabawy, nacisnąwszy przedtem klawisz wielkiego magnetofonu stojącego w rogu sali. Rozległa się szalona nowoczesna muzyka i po chwili tańczyli *razem* coś zupełnie zwariowanego, taniec marionetek, na którego widok Rysio Minc oniemiałby ze zgrozy. I te kukiełki miały ochotę na seks. Jedno nachylało się nad drugim i był w tym taki ładunek erotyzmu, że nagle zatrzymali się zażenowani.

- No, zawsze nam to tak wychodzi.

- Tak. Widać mamy to we krwi. Ale wiesz, ja i Adam to już *forever*.

- Wiem. Poznałem kogoś.

- Dziewczynę?

- Tak. No, co ty?

Krysią zrobiła śmieszny grymas, a Janek szturchnął ją z lekka po łepetynie i powiedział z rozmarzeniem:

- Ma na imię Basia...

LUTY 1983

Basia siedziała w swoim pokoiku na dwunastym piętrze, nasłuchiwała kłótni rodziców, jak zwykle o kasę i o tą tam, co ją tata ponoć... i dziergała pracowicie na szydełku poncho. Starła się nie słuchać, ale trudno było się wyłączyć, choć bardzo chciała. Myliła się co chwilę, myślała o Janku, a to nie sprzyjało robótkom ręcznym, ale pomagało nie słyszeć już niczego...

Poncha były teraz modne, więc popruła swoją starą kamizelę i usiłowała stworzyć coś szalenie meksykańskiego. Kryła się w tym głęboka idea -nie miała kasy, ale miała ambicje.

Chciała wyglądać zjawiskowo, oczywiście dla niego.

Znów pomyliła oczko.

Prawdę mówiąc, odkąd poznała Jaśka, wszystko sypało jej się jeszcze bardziej niż dawniej. Sama się zastanawiała, jak to możliwe. Sesja za pasem, a ona nie może się na niczym skupić.

Mogła tylko myśleć o Janie.

Janku.

To imię nieustannie brzęczało Baśce w głowie.

Starła się w każdą rozmowę wpleść jakieś słowo o nim. Czegoś się na jego temat wywiedzieć czy tylko opowiedzieć, komukolwiek, bo Aśka już słuchać nie mogła, jaki on cudny i że jest z nią.

To był rodzaj natręctwa, obsesji - chciała o nim mówić, nie mogła przestać o nim myśleć i wszystko jej się z nim kojarzyło.

Kiedy nie mogła o nim opowiadać, siedziała i pisała jego imię na *kartce* i nie słyszała ani słowa z tego, co mówili wykładowcy albo szef na zebraniu. Zawali jak nic ten semestr. Sesja egzaminacyjna w pełni, a ona uczyć się nie może. No, po prostu zero koncentracji. Już się z tym pogodziła...

Studiowała romanistykę i powinna pilnować studiów. To, że się w ogóle dostała, zakrawało na cud. O jedno miejsce starało się dziesięciu kandydatów i właściwie była kompletnie szalona, że w ogóle poszła na te egzaminy.

Wszyscy opowiadali o tatusiach na placówkach i długich pobytach we Francji i Belgii, a ona co? Najgorsze liceum w Warszawie z kompletnie zramolałą nauczycielką po jakimś kursie chyba, bo nie po studiach. Gazetę francuską widziała ze dwa razy w życiu i był to oczywiście organ francuskiej partii komunistycznej „L Humanite”, dostępny w empikach, chyba w ramach *wsparcia przez polskich towarzyszy*.

A *czytała* tylko kilka książek, niezbyt mądrych rozpadających się kryminałów pożyczonych przez panią Natalię, zupełnie pogubioną staruszczkę, podejrzenie cuchnącą, z zawsze brudną białą torebką pod pachą i papierosem bez filtra w ustach[^] co opowiadała, że ma za sobą epizod francuski.

Co to miało znaczyć, Basia nie chciała się domyślać. Brzmiało podejrzenie.

Uczyła się na pamięć francuskich piosenek, Brela, Montanda, Piaf, i wkuwała gramatykę na blachę. Lubiła francuski, tak miała i sama nie wie-

działa dlatego. I zdarzył się cud: dostała się. Na samym koniuszku listy przyjętych, ale była, była na tej liście i na wymarzonych studiach. Szło jej całkiem nieźle, no cóż, była robotna, jak mówiła ciotka Kazia.

I teraz miała sesję egzaminacyjną, całe szczęście, że trafiło ją na drugim roku.

No, nieszczęście. I szczęście.

Zakochała się. Bez pamięci.

Złapała kolejne oczko i już miała łapać następne, gdy *drzwi* otworzyły się z hukiem i do pokoju wparowała matka. W koszuli nocnej pochłapanej kawą, z rozwianym włosom i łzami w oczach. Przetarła te oczy przegubem dłoni, klapnęła ciężko na Basine samotne krzeselko, na którym leżała świeżo wyprasowana bluzka do pracy, i zaniósła się głośnym łkaniem.

- Mamo! - jęknęła Baśka. - Co robisz! Uważaj! - Poderwała się błyskawicznie z tapczanu, by ratować bluzkę, ale było już za późno: wyszarpięta mamie spod siedzenia, wyglądała jak wyciągnięta psu z gardła albo nawet i gorzej.

- Co mi tam jakaś bluzka, gdy mi się życie wali! - zaszlochała matka.

Basia popatrzyła na bluzkę i na mamę i westchnęła. Znów.

Matce życie waliło się od lat.

Usiadła koło niej na stołeczku i przygarnęła ją do siebie.

- Nie płacz - próbowała ją pocieszyć bez większego przekonania słowami, które powtarzała

mamie od dziecka, nieomal już w kołysce, z większym lub mniejszym skutkiem. Na ogół z mniejszym.

- Może nie jest tak źle - ciągnęła dalej. Jak zawsze. - Tata, no, ma kryzys, może ten wieku średniego, ale przecież się opamięta...

Matka wyszarpnęła się z objęć Basi i krzyknęła przeraźliwie:

- Jak się opamięta, jeśli już prawie w ogóle do domu nie wraca?! Czy ty, dziewczyno, tego nie widzisz? Rzeczy wynosi. To już koniec. Kooniec!!! - załkała i Basi znów zrobiło się głupio, że ten dramat rozgrywający się tuż koło niej tak mało ją obchodził.

Poklepała mamę po plecach i zaszepotała tym specjalnie ożywionym tonem, który miała zarezerwowany tylko i wyłącznie dla mamy. Taka otucha z niego płynęła, że ją samą aż skręcało z niesmaku.

- Nie płacz, no, mammo! Weź się w garść, płacz nie pomoże.

- Wiem, do jasnej anielki, że nie pomoże, ale co ja mam zrobić? - znów zakrzyczała matka. - Płacę, bo muszę - i zachlipała głośno, skoro musiała, patrząc na Baśkę załzawionymi oczami.

Wyglądała żałośnie, ale nie budziła jej litości.

- Inaczej nie potrafię. Co ja mogę zrobić? Powiedz mi, Baśka, co ja takiego w życiu zrobiłam, że mnie los tak karze. Taki łobuz, tyle lat mu prałam, prasowałam i gotowałam, a on mi takie coś wycina na starość.

Baśka się nie odzywała, tylko mechanicznie głaskała mamę po plecach. Jak się wygada i wykrzyczy, to pewnie będzie jej lżej. Zerknęła na zegarek stojący na szafce koło łóżka. Ma najwyżej kwadrans. Musi znów przelecieć bluzkę żelazkiem, zanim pobiegnie do pracy.

Nie słuchała matki. Po co? Słyszała to wszystko już wiele razy.

No, z tym gotowaniem i prasowaniem to różnie bywało. W domu zawsze panował totalny bałagan i bezhołowie. Mama gdzieś fruwała, wracała późno, pachniała alkoholem i opowiadała coś nieskładnie o przeciągających się naradach i imieninach szefa. Zawsze miała problemy; a to w pracy, a to z jakąś sąsiadką, a to, jak podejrzewała teraz Basia, z kochankami, bo czasem płakała, wściekała się, ale za nic nie można było z niej wydusić, o co naprawdę chodzi.

Tata też się złościł na mamę, ale nie potrafił sobie z nią poradzić, robiła, co chciała przez całe lata, traktując dom jak tanią noclegownię, a Basię jak koleżankę mającą jej zapewnić wsparcie, a nie jak dziecko, które samo wsparcia i opieki potrzebuje.

Aż wreszcie i tata kogoś spotkał. Baśka jakoś specjalnie mu się nie dziwiła. Ale co? Miała to mamie wykrzyczeć? Już wyrosła z tego wieku i uwolniła się od wpływu matki. Gdy zaczęła myśleć i analizować, zobaczyła w niej tylko egoizm i ani krzty miłości do kogokolwiek.

Ot, taka niedomoga. Dość przykra dla dziecka.

Basia czuła się w domu koszmarnie samotna. Ojciec myślał gdzieś daleko, a mama w ciągłych histeriach. Chciała jak najprędzej uciec z domu.

Tak. Zamknąć za sobą drzwi. Odciać się. Znaleźć gdzieś to, czego tu nie było.

Mama łkała, a Basia spoglądała na zegarek. W końcu przerwała potok słów wylewających się bez opamiętania z ust matki.

- Opamiętaj się. Ten płacz nic nie da. Pozbieraj się, idź do łazienki, weź prysznic, umyj głowę i zrób się na bóstwo. Niech cię tata widzi taką, jaką byłaś kiedyś. Niech żałuje. I ogarnij troszkę dom, by było tu jakoś milej, przytulniej. Albo zadzwoń i umów się z którymś kolegą z twojej dawnej pracy. Zrelaksuj się. Ja muszę lecieć...

Mama odsunięta od zbawczych ramion Basi wysmarkała głośno nos w skraj szlafroka i popatrzyła na nią z wyrzutem.

- Co ty mi radzisz, córuś? Ogarnąć się? A po co? To przecież nic nie da.

- Dla siebie mamo, dla siebie...

Problem z matką polegał na tym, że była kompletnie niedojrzała i aspołeczna. Póki cieszyła się młodością, bawiła się jak szalona, nie poczuwając się do niczego, teraz straciła pracę i kierunek w życiu. Sypiała do południa albo i dłużej, piła i przestała dbać o siebie, a o rodzinę nie dbała jak dotąd, czyli w ogóle... Całe życie była outsiderem. Gościem w domu. Teraz jej życie ograniczało się tylko do domu, przez co wyparowała

z niej cała dawna energia, jakby zużyła ją na szaleństwa i hulanki, i obecnie nie miała już sił na nic.

Chodziła w szlafroku, nie sprzątała, snuła się tylko, potykając się o walające się rzeczy. Strach było na nią patrzeć, a rozmawiać też nie było ani o czym, ani po co. Nic do niej nie docierało.

Może potrzebny tu jakiś psycholog. Albo psychiatra, myślała Basia, prasując bluzkę. Ale mama przecież nie pójdzie. Beznadziejna sprawa. To jakaś kompletna autodestrukcja. Tu się nie da nic zrobić, ojciec ucieka i ja powinnam. Tak.

Basia włożyła białą bluzeczkę i czarne spodnie, pociągnęła mascarą rzęsy i wołając w przelocie: - Cześć! - wybiegła z domu.

Myślała o Janku. Tylko on był dla niej ważny. Nic więcej. Nikt więcej.

Rodzice niech sobie robią, co chcą.

LUTY 1983

Spotykali się wieczorami.

W poniedziałki w Harendzie, molochowatej kawiarni położonej bardzo strategicznie, tuż przy uniwerku.

Ona miała blisko na uczelnię, on do teatru. W inne dni było ciężko. Basia pracowała na okrągło, jak nie studia, to teatr. Podobnie Jan.

Ciągle przemieszczał się po mieście: teatr, opera, telewizja i szkoła, gdzie ciągle ćwiczył.

No i różne chałтуры. Te ostatnie niechętnie, ale Krysia się urządzała, więc jej ulegał i jeździł po miastach i miasteczkach z kilkoma układami baletowymi przygotowanymi specjalnie na takie okazje.

Basia wyszła z biblioteki uniwersyteckiej obładowana wyszperanymi lekturami, zakupami i podręcznikami. Przytupując z zimna, prześlizgnęła się między kłębiącymi się tuż przy wejściu do kawiarni ludźmi i otrzepując się ze śniegu, zostawiła płaszcz i torby w szatni. Szatniarz zwany Jaszczurem z niesmakiem powiesił na wolnym haczyku kompletnie mokrą budrysówkę, wystaną, a raczej zdobytą przez Baśkę w Hofflandzie, i rzucił w jej kierunku wyszczerbiony numererek. Złapała sunącą po ladzie blaszkę, wsadziła do torebki i znów przedarła się przez tłumek rozgadanych ludzi, którzy kończyli rozmowy i wcale nie kwapili się, by wejść gdziekolwiek. Ot, stali i gadali.

Widocznie wystarczał im tylko dach nad głową, siedzieć nie potrzebowali, tym bardziej że przy samych drzwiach stała pokaźna kolejka tych, co jednak usiąść chcieli. Basia ulokowała się na samym jej końcu, wyciągnęła skrypty z wykładów i zaczęła czytać. Był to niemały wyczyn, bo światło zarówno w hallu, jak i w kawiarni było szarawe, brudne, jak wszystko wokoło, i w powietrzu unosiły się widoczne gołym okiem kłęby papierosowego dymu. Po dobrym kwadransie czekania na

miejsce usiadła w końcu podłużnej, obskurnej i zadymionej sali i znów zaczęła czekać.

Tym razem na Janka.

Spóźniał się.

Jak zwykle. Przed nią na talerzyku z napisem WSS Społem leżała wuzetka, słodka jak ulepek, ale słodyczą podejrzaną. Sztuczny miód raczej niż sacharyna. Zawsze odrobinę lepiej. Cukier też był na kartki.

Jak to szło w tej piosence Osieckiej - „sztuczny miód, ersatz, cholera, nie życie”.

Tak szło. Ale Basia tego nie czuła, jej życie było prawdziwe. Walczyła co dzień ze wszystkim, wszystkimi i sobą, swoimi słabościami i ograniczeniami.

Jej życie było prawdziwe. I wcale nie szare, ciągle coś się działo, choć może to były sprawy małe. Nie wydawało jej się, że życie gdzieś daleko i takie jak na ekranie telewizora czy kina to życie prawdziwe. Czy dlatego miało być prawdziwsze, że było lepiej opakowane? Ludzie mieli lepsze rzeczy? Czy na tym polega prawdziwość życia? Ona się starała...

Chciała zostać tłumaczką. Po cichu o tym marzyła. Chciała też dalej pracować w teatrze, to było fascynujące, ten szalony świat marionetek. Tak.

Żaden ersatz, gdy marzenia i uczucia prawdziwe.

Będzie tłumaczyła. Sztuki teatralne. Taki miała plan.

No i była zakochana. Ach.

Otworzyła książkę. Trzeba się uczyć. Janek może się spóźnić, ma próbę w telewizji, a próby, wiadomo, przeciągają się. Poczekaj spokojnie i się pouczy. Dziś nie pracowała. Poniedziałek. Wolny dzień w teatrze.

Zacząła czytać książkę, ale co i raz zerknęła w kierunku drzwi i usiłowała dojrzeć, kto wchodzi. Nie było to łatwe w oparach dymu i tłumach wchodzących i wychodzących ludzi, szukających znajomych lub, co trudniejsze, tylko miejsca, gdzie można przysiąść na moment, aż się zwolni jakiś stolik.

Tuż obok Basi siedział wysoki brunet znany jej świetnie z widzenia. Codziennie przychodził do kawiarni i rozkładał przed sobą gruby, wytłuszczony, czarny brulion i skrzętnie coś w nim zapisywał.

Wyglądał jak Mefistofeles. Intrygował.

Kim był, co pisał?

Nigdy nie siedział tak blisko niej. Basia zerknęła na niego i na drzwi. Książka jakoś jej nie wciągała.

Robbe-Grillet, Gumi. Francuska Nowa Fala.

Czy może być coś nudniejszego?

Może to jakiś słynny pisarz. Albo poeta... Jej myśli ciągle krążyły wokół nieznanego, pochylonego w skupieniu nad czarnym brulionem.

Nagle podniósł głowę i spojrzał. Nie na nią. Raczej przez nią. Gdzieś w dal.

Odwróciła wzrok.

Zmusiła się i zaczęła ponownie czytać Robbe-Grilleta, zerkając co chwila na zegarek.

Janka nie było. Nic nie rozumiała z tego, co czytała. Zero koncentracji. A w torbie czekał jeszcze

Le Clezio. Kiedy ona ma to przeczytać? Zawali. Drugi już egzamin. Gdzieżeż ten Jaś jest?! Żeby mu się coś nie stało.

Pewnie nic mu nie jest, tylko ma ją w nosie. W końcu kim ona jest, a kim on. Wszystkie dziewczyny gapily się w ekran, gdy tańczył z Krystyną. Właściwie nie wiadomo, czemu wybrał właśnie ją. Mógł mieć każdą dziewczynę.

Och! Był absolutnie boski. Inni tancerze nawet się do niego nie umywali. A przecież ona, Basia, ciągle coś gubi albo upuszcza. No, naprawdę tego nie rozumiała...

Pewnie oprzytomniał, poznał jakąś inną. Dziś Basia. Jutro Kasia. Poczula łyzy pod powiekami. Nie będzie płakała. W kawiarni.

No przecież nie będzie.

Łzy kręciły się pod powiekami, a Basia nakręcała się coraz bardziej.

Zapomniał o niej. Już. Tak szybko. Tak.

Właściwie nie mam co czekać. Pojdę sobie.

Przecież to oczywiste, że Janek nie przyjdzie. Ile już tego spóźnienia?

Trzydzieści cztery minuty. No, właśnie.

Inna by nie czekała. A ona czeka.

Bo jest fujara. To nawet głupio tak czekać. Nie szanuje siebie. Po prostu. Janek już pewnie w domu albo z jakąś inną, jakąś girlsę pewnie pociągnął za spódnicę i się z nią umówił.

Wtem na kartki książki, w którą się bezmyślnie wgapiała, by nie było widać łez w oczach, upadła róża.

Czerwona róża.

Basia cała się rozjaśniła i podniosła wzrok. Pozwoliła spłynąć łzie, która czaiła się w kąciku oka. Ale była i łza, i uśmiech. Najszczęśliwszy na świecie uśmiech. Janek w dużym czarnym stróżowskim kozuchu stał tuż przed nią.

- Jesteś...

- Jestem. I jak dobrze, że ty też jesteś! Biegłem. Bałem się, że sobie pójdziesz. Reżyser nas trzymał i trzymał, a ja tak bardzo chciałem wyjść, że ciągle źle mi wychodził układ i musieliśmy powtarzać.

- Więc ty też? Tak masz? Nic ci nie idzie?

- Tak, Basiu ja też... Miłość to szczęście, ale i nieszczęście - powiedział, zdejmując kozuch i rzucając go na sąsiednie krzesło.

Użył słowa miłość. Basia poczuła, że szybuje gdzieś tam wysoko, pod zadymionym *sufitem*.

Wpatrywała się w Janka jak spragnione dziecko na wodę w Afryce, a on opowiadał, siadając na krzesle, które wyglądało, jakby się miało rozlecieć za pięć minut:

- Ale jestem w końcu i wybacznij spóźnienie. Wszystko dziś nie tak. Mamy nowy program i jakoś nam nie szedł, i to z mojej winy. Aż się bałem, że mnie wywalą, że zawalę.

- Nic nie zawalisz, Jasiu. Jesteś najlepszy.

- Oj, najlepszym się bywa. Nigdy się nie jest. Każda chwila na parkiecie to praca na bycie najlepszym, a następna chwila to znosi. To jest jak kamień Syzyfa. Nie można puścić ani na moment.

Bo cię zmiecie. A jak u ciebie? Masz takie mokre oczy. Coś się stało?

Janek sięgnął po jej dłoń i przytrzymał w swojej.

Basia pogładziła go po chropowatym już pod wieczór policzku.

— To nic. Sama sobie wymyślam. Zmartwienia. To ze szczęścia Jasiu.

- Basiu. Nie wymyślaj. *I love you*, ty wiesz...

- Wiem. Wiem?

- Wiesz. Wiedz. Ale ja taniec też law, i masz rywalkę.

- Rywalkę??? - Basia spanikowała.

- Oj, Basiu. Rywala, co brzmi jeszcze gorzej... Taniec... - Gładził jej rękę i było tak słodko.

Popatrzył w Basine oczy.

- Dasz radę się z tym pogodzić?

- Oczywiście - wyszeptała Basia. - Rozumiem, że to dla ciebie ważne.

- Tak. Najważniejsze. Ale ty też. Pamiętaj. - Pogładził ją znów po dłoni i zamilkł na chwilę. - Basiu - zaczął niepewnie - Krysia jedzie do Gdyni razem z Andrzejem i mogę skorzystać z ich mieszkania. Może kupię szampana, ciągle jest jeszcze w sklepach, bo ruski i... Zgadzasz się?

- Zgadzam - wyszeptała i podniosła oczy. - Janku, ja...

- Wiem. Ja też...

Nachylił się i pocałował szyję wychylającą się z obszernego golfa i malutki pieprzyk tuż przy obojczyku. Basia westchnęła i poruszyła się. Jej

usta znalazły się tuż przy jego, a on to skwapliwie wykorzystał. Całował tak, że zrobiło jej się miękko i słabo, a Janek czuł, że zaraz oszaleje, ale nie mógł przestać.

- Pan zamawia? - Obok nich stała kelnerka w fartuszkach ze stylonu w kolorze atramentowym z czerwonymi wypustkami przy kieszonkach i ładowała na zapelnioną tacę szklankę po herbacie i pusty talerzyk. Głos miała chropawy i przepalony, podobnie jak i włosy w kolorze amoniakowy blond z refleksami czerwieni.

Z trudem oderwali się od siebie. Basia znów spiekła raka.

- Tak - powiedział Janek, a po sekundzie poprawił się. - Nie!

- To jak? Tak czy nie? - zapytała zniecierpliwiona, pobrzękując tacą.

- Nie. Dziękuję. Już wychodzimy.

- To szybko. Bo inni czekają. Niech pan patrzy. - Wskazała łokciem zbity tłumek gapiący się na nich z przyganą.

- Już idziemy - poderwała się Basia. Janek wziął ją za rękę.

- Chyba nie wytrzymam. Do środy... - wyszeptał jej do ucha.

Na moment położyła głowę na jego ramieniu.

- Tak. Mnie też ciężko. Ale nie mamy gdzie... I stąd też już musimy...

- Tak. Chodźmy, zanim nas tu rozszarpią...

- Więc... do środy...

- Tak.

Znów się nachylił i pocałował czubek płowej głowy, i westchnął ciężko. Nie mieli gdzie. Naprawdę. Taka plucha.

Jaś podał Basi płaszczyk i wyszedł z knajpy ze swoim wielkim i ciężkim kozuchem przewieszonym przez ramię.

Było mu gorąco...

CZERWIEC 2008

Gdy własna komórka zmienia się w obcego, nie jest dobrze. Tak myślała Basia, gapiąc się na wciąż dzwoniącą komórkę. Skąd miał jej numer?

Ktoś musiał mu dać. Zresztą to przecież nieważne. Już raz wyłączyła się, gdy usłyszała jego głos. Ale przecież nie mogła cały czas chować głowy w piasek.

Wystarczy, że robiła to przez dwadzieścia lat z okładem.

Nie spała w nocy. Przewracała się z boku na bok i czuła się, jakby ktoś podłączył ją do prądu - cała była naelektryzowana.

Przytomna i nieprzytomna.

Prawda była taka, że musiała zjeść tę żabę.

Powiedzieć Hani.

Tylko jak?

Zapaliła papierosa. W popielniczce leżało co najmniej dziesięć niedopałków.

A przecież nie paliła już od roku.

Jak powiedzieć Hani? Jak wytłumaczyć? Nie miała pomysłu, a komórka znów dzwoniła, co bynajmniej nie pomagało.

Może wrzucę ją do sedesu? Tam jej miejsce. I spuszczę wodę. Tylko że to niczego nie rozwiąże.

Musiała pogadać z Hanią.

Jan całą noc przesiedział w fotelu wpatrzony w komórkę.

Trochę drzemał, trochę myślał w półsennym majaczeniu, które tylko wzmacnia emocje. Wstawał, podchodził do okna i gapił się na śpiące miasto. Gdzieś tam była Basia. I Hania. Dzielili ich noc i komórka.

Czekał, aż przyjdzie świt, a za nim ranek i znów będzie mógł zadzwonić, a jeśli Baśka nadal nie będzie odbierać albo się wyłączy, pójdzie tam. Ma adres...

Kiedy zaczęło szarzeć, po raz kolejny obudził się z drzemki, od razu przytomny. Komórka leżała na kolanach. Nie spadła. Odłożył ją na stolik, wstał i poszedł wziąć prysznic. To może trochę skróci czas oczekiwania.

Mokry wyszedł spod natrysku po jakichś pięciu minutach. Kiedy znalazł się na środku pokoju, nagle znieruchomiał.

Nie pamiętał, czy umył głowę. Tak intensywnie myślał o tym, co było kiedyś, że to, co teraz, ucie-

kalo mu z głowy albo w ogóle do niej nie wchodziło. Wrócił pod prysznic i umył głowę. Może powtórnie.

Usiadł w fotelu i zadzwonił po kelnera.

piąta rano, chyba kuchnia już działa. Był głodny.

po kwadransie w pokoju pojawiła się taca z jajecznicą na szynce, którą zamówił machinalnie jako zestaw śniadaniowy numer dwa.

I znów przywołała wspomnienia.

MARZEC 1983

Warszawa

Basia wbiła na patelnię, na której wesoło skwierczała szynka, co ją kupili na zapas od chłopca, no i trzeba było ją szybko zużyć, sześć jajek, a potem dorzuciła jeszcze pokrojony szczypiorek. Posoliła, zamieszała raz i dwa i postawiła patelnię na środku stołu na desce.

Jaś w tym czasie zaparzył dwie kawy i pokroił chleb, co było zadaniem wcale niełatwym, bochenek bowiem kruszył się przeokropnie.

Ach, bułeczki, marzył o bułeczkach, tak miło minister Krasiński mówił o nich w telewizji, że teraz będą już dostępne, ale żeby dostać bułeczki, trzeba by poczekać, aż otworzą o siódmej piekarnię, a była piąta trzydzieści. Za oknem ciemno¹ deszcz ze śniegiem.

Zresztą, czy można wierzyć ministrom?

Na pewno o siódmej nie będzie żadnych bułeczek. Zwłaszcza chrupiących... ?

Z rezygnacją postawił na stole koszyczek z pokrojonym, a właściwie pokruszonym chlebem i spojrzął na zaspaną Basię nakładającą z patelni jajecznicę.

Wyglądała tak... ponętnie. Nawet lepiej niż jajecznica, która była przecież z szynką i szczypiorkiem. Poglądził Basię po karku, a ona na moment przyłgnęła do niego. Na więcej nie mogli sobie pozwolić, czas, czasu wiecznie było za mało. Tak jak wszystkiego.

Oboje pracowali wczoraj do późnej nocy, więc ruszali się wolno i ospale. Basia mogła pospać. Ale nie chciała. Tak rzadko się widywali, więc chociaż *to śniadanie niech zjedzą razem.

Chleb był nieświeży i gliniasty, ale kawę mieli dobrą, Janek przywiózł ją z Paryża.

Usiedli naprzeciwko siebie i najpierw się pocałowali, a potem zabrali do dzielenia jajecznicy. Mieli swoje rytuały. Dwie trzecie dla Jasia, co fizycznie tyra i jest większy, a jedna trzecia dla Basi, co jest umysłowa i mniejsza.

Tak sobie kiedyś, przekomarzając się, postanowili.

- Co dziś robisz? - zapytała Basia, podnosząc kopiastrą łyżkę jajecznicy do ust.

- Jak zwykle. Chałturzę - powiedział z rezygnacją, grzebiąc widelcem w talerzu, jakby przypomnienie tego faktu odebrało mu z miejsca apetyt. -Mamy tańczyć w nowym programie rozrywko-

wym. Nazywa się Z wizytą u was. Nadchodzi święto kolei państwowych, zatem będziemy tańczyć na szynach. Reżyser ma wizję.

- Rany! Jak wam to wyjdzie?

- A nie wiem. Kombinuję jakąś choreografię wzdłuż torów. No, powiem ci, że to nawet i ambitne. Filmować nas będą z drezyny.

- A nie możecie tańczyć po prostu na jakimś peronie?

- Kawalek robimy na dworcu, w bufecie. Tę etiudę nazwałem *Senni kochankowie*. - Nachylił się, pocałował ją, ziewnął i dodał: - Tak jak my...

- Tak. A gdzie będziecie to kręcić?

- Zgadnij.

- Na Głównym?

- Nie, w Koluszkach. No, porąbało Rysia. Ty* wiesz, jaki tam młyn? A oni wszystko zamykają i wstrzymują na cały dzień, bo telewizja przyjeżdża...

- Jasiu, trzeba za kawalerkę zapłacić. Jutro przyjdzie gospodyni.

- A! Jasne. Weź ze swoich. Później ci oddam, gdy dotrę na pocztę i wezmę z książeczki PKO.

- Dobrze. Nie ma sprawy. Ja pracuję dziś do dwudziestej trzeciej. A ty?

- Bóg jeden wie.

- No tak.

Basia posmarowała masłem chleb i podała Jasiowi.

Czasem było jej ciężko. Ale to nic. Z posady inspicjentki jej nie wywalili. Jakoś się wyrabiała.

Na studiach wzięła się w garść i powoli zdawała zaległe egzaminy.

Zamieszkali razem. Jaś stanowił dla niej zajęcie dodatkowe, ale pełnoetatowe, jako że nigdy na nic nie miał czasu. Jak nie próba, to występ. Śniadania jadali wspólnie, reszta jak się zdarzyło. Zero regularności.

Tylko treningów Jaś pilnował.

Fanatycznie. .

A Basia pilnowała śniadań. Tyle mogła. Niewiele. I jeszcze tego, by miał wyprasowane koszule i zawsze coś ciepłego do odgrzania w garnku na kuchence, kiedy nadciągnie do domu w nocy.

Czasem też zresztą wstawiała, gdy usłyszała, jak cichutko wchodzi do domu, i witała się z nim ciepła od snu, lekko nieprzytomna, ale zawsze stęskniona. I jeśli tego chciał, podawała wcześniej przygotowany obiad.

Siedziała na krześle z podwiniętymi nogami, by było ciepłej, w niedbale zawiązanym szlafroku, z policzkiem opartym na dłoni, i patrzyła jak je. Dopytywała się, czy mu smakuje, a on chwalił te proste potrawy, które gotowała wieczorami czy w ciągu dnia, po prostu wtedy, gdy miała wolną chwilę, z myślą o nim, z tęsknoty za nim.

Należało mu się to. Tak ciężko pracował.

A ona, ona go kochała.

O drugiej czy trzeciej w nocy siedzieli przy stole i gadali, zmęczeni, ale spragnieni siebie. Kontakt z sobą...

A czasem Jasia nie było i nie było, płakała wtedy w poduszkę z samotności i tęsknoty za nim, za jego nogą dla swojej nogi i ręką opasującą brzuch. Jego ręką.

To uczucie pustki, gdy sama wślizgiwała się do łóżka, przykrywała kołdrą i kulila, by być mniej sama, to po prostu fizycznie bolało, ale co zrobić -takie życie.

Przecież nie mogła mu powiedzieć - rzuć to. Tego nie mogła. Rozkroiła pomidora na dwie części i położyła połówki na talerzu Janka.

- Zjedz...

- Nie mam czasu. Muszę lecieć!

- Jasiu, mamy tak mało czasu dla siebie. Czy nie mógłbyś czasem z czegoś zrezygnować?

Popatrzył na nią dziwnie.

Sięgnął widelcem po pomidora i powiedział:

- Szalona kobieto! Z czego? Z chałtur nie da rady, przecież musimy z czegoś żyć. A taniec? Tego nigdy nie odpuszczę. Przecież wiesz. Wkrótce przyjeżdża Gary Brookes i robimy nowy projekt do muzyki Blocha. To będzie rewelacja. Marzyłem o tym od lat. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy się przeprowadzić. Do Wrocławia. Tam się najlepiej rozwija taniec nowoczesny. Albo do Poznania. Warszawa jest taka skostniała pod rządami Szyszkowskiej.

- Do Wrocławia?!

- Tak na jakiś czas, oczywiście. Brookes tam będzie z nami ćwiczył.

- Ale...

Jaś zerknął na zegar wiszący nad drzwiami i odłożył widelec. Przełknął ostatni kęs kanapki i zerwał się z krzesła.

- Później pogadamy. Już muszę lecieć. Zaraz przyjedzie po mnie taksówka. Buzi, Miśku. - Pocałował ją w otwarte ze zdziwienia usta i tyle go widziała.

- Pa! - zdążył powiedzieć w drzwiach, zanim trzasnęły.

Basia siedziała przy stole, wpatrzona w wystygłą jajecznicę, i jakoś jej było smutno.

Do Wrocławia. A jej praca i studia? Czy to się nie liczy? Czy on sobie nie zdaje sprawy, że ona wszystko robi z myślą o nim?

Zawaliła studia. Pierze, prasuje, sprząta, gotuje.

Uczy się, by zaliczyć zgłębione egzaminy, i pracuje.

Jasiek pojawia się w nocy i wsuwa pod kołdrę. Czasem ją budzi, a czasem nie. Ciągle gdzieś wyjeżdża i po prostu go nie ma, ciągle nie ma. Kochali się ostatnio - no, kiedy to było? Ze dwa tygodnie temu, gdy miał gripę? Nie, minęły już chyba ze trzy od tej grypy... Wtedy miał trochę siły, no i czasu.

To nie jest normalne. Są ze sobą zaledwie kilka miesięcy, a seks uprawiają, jakby byli na emeryturze. Albo i gorzej.

Łzy zebrały jej się pod powiekami. Ciężko żyć z facetem, dla którego istnieje tylko jedno: taniec.

Czy on ją jeszcze kochał?

Czuła się jak... jak... niezbędny sprzęt domowy. Niezbędny, ale taki, na którego nie zwraca się uwagi. Coś nie grało.

Taniec był dla niego bez wątpienia ważniejszy. Ważniejszy od niej.

Tylko że taniec to nie inna kobieta. Wiedziała przecież, co znaczy dla Jasia taniec...

I przecież się na to zgodziła...

Bez wątpienia się czepia.

Przecież taniec to nie inna kobieta.

Basia wstała od stołu, otarła oczy ścierką i zaczęła zbierać naczynia.

Czuła, że coś jednak powinna zrobić. Zadziałać, bo życie zaczynało tracić sens. To był jakiś kołowrót.

Coś gdzieś ginęło.

Może to ich miłość?

Janek wrócił z Koluszek kompletnie wypluty; Tańce na torach. Chory pomysł.

Przygotował jakąś choreografię. Umówmy się, że nawet zabawną. W końcu załatwił drugą dreżynę i oboje z Krysią odstawili świetny numer - trochę na torach, trochę na dreźnie.

Durne pomysły Rysia były niekiedy inspirujące przez swój bezsens, ale przecież nie zawsze.

Sam by tej dreżyny nie wymyślił.

Kiedy miał zadanie do wykonania, duch w nim ożywał i kreatywność się wzmagala, dlatego wciąż jeszcze pracował z Rysiem.

No i Krysia, ciągle w pogoni za kasą, chciała tych chałtur. Byli świetnie stańczeni. Każda scenka z nią to było coś, co napawało go dumą i zadowoleniem. Małe arcydziełko baletowe. Wkładali w to mnóstwo pracy i zapału. Po prostu - oboje to kochali.

W Operze mało miał szans na dobre role. Wszystkim trzęsła banda partyjniaków, nieuków i cóż - kochających inaczej.

To, że jednak dostawał znaczące role, zawdzięczał katorżniczej pracy. Ale czuł, że nie ma tam dla niego dróg awansu, że traci czas, tańcząc gorsze partie, ustępując pola mniej utalentowanym, ale lepiej umocowanym tancerzom.

Czas tancerza to czas motyla.

Taniec nowoczesny.

O tym marzył. Ale... tu w kraju prawie się nie rozwijał. Tańczyli z Krysią etiudę zrobioną do muzyki Gershwin, do ***Człowieka, którego kocham***. Ta naprawdę znakomicie przez nich opracowana etiuda ledwo się łapała.

Gdy ją proponowali, dyrektorzy, reżyserzy się krzywili.

Uważali, że jest zbyt nowoczesna!

No, śmiech na sali. Gershwin zbyt nowoczesny! W jakiej epoce ci ludzie żyli. Ze czterdzieści lat do tyłu za Zachodem. Co najmniej.

Janek czuł, coraz bardziej dojmująco czuł, że się dusi. Marnuje.

Telewizja - faceci w mundurach. Balet obstawiony mało ciekawymi kreaturami.

Kompletna kaszana.

Chciał więcej i lepiej. Bardziej perfekcyjnie. Bardziej fantazyjnie. Ambitniej.

Małe chałtury były łatwe. On chciał występować na wielkich scenach w znakomitych układach baletowych przygotowanych przez najlepszych współczesnych choreografów. Czuł, że jest dość dobry, wcale nie gorszy niż ci, co tańczyli u Brookesa.

Pechowo się urodził. W złym miejscu i w złym czasie.

Ten syf wszechogarniający męczył i mierzył. O! Proszę! Winda jak zwykle. Nie działa.

Całe szczęście, że to tylko trzy piętra. Był zmęczony jak pies i nogi ledwo go niosły po schodach.

Brookes przyjeżdża za tydzień i musi być w formie.

Miesiąc temu udało mu się wyjechać na kilka dni do Paryża. Chciał, mało, musiał, po prostu musiał, zobaczyć najnowszy spektakl Brookesa.

Szkoda, że Baśka nie pojechała. Zresztą nie wiadomo, czy by jej dali paszport. Zasada była taka, że tylko jednej osobie z rodziny pozwalali jechać, więc i tak miała nikłe szanse i nie wystąpiła o wyjazd, mimo że załatwił zaproszenie też dla niej. Szczęśliwie kumpel z baletu, który wyrwał się stąd już parę lat temu, nie pożałował paru groszy i czasu, by wyrobić im zaproszenia.

Niby Basia nie była jego żoną, ale Oni wiedzieli Wszystko. Nieraz się już o tym przekonał. Postano-

wili więc z Basią, że tylko Janek pojedzie, bo przecież Brookesa po prostu musiał zobaczyć, a ona zostanie w domu.

Spektakl był genialny, siedział na dostawce, na to tylko było go stać. Aby coś widzieć, wychylał się z ostatniej jaskółki, tak że o mało nie wypadł, ale po prostu zatonął, oglądając przedstawienie. Jak małe dziecko, które wierzy we wszystko, co widzi. Nie patrzył okiem zawodowca.

To, co widział, było magiczne.

To chyba największy cud, gdy fachowiec, a za takiego się miał, zapomina o całym świecie i patrzy na efekt końcowy, a nie jak to jest zrobione.

Brookes był bez wątpienia geniuszem.

I udało się go namówić na przygotowanie czegoś w Polsce.

W zasadzie Jan był gotów rzucić w diabły całą tę Warszawę z jej skostniałymi strukturami.

Prawdziwy balet był w Poznaniu czy Wrocławiu. Nie mówiąc o Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku. Ale o tym nawet nie marzył.

Otworzył drzwi mieszkania, jak mógł najciszej. W korytarzu szybko zsunął buty i zaczął się przemykać do łazienki, gdy nagle zauważył błysk światła w drzwiach do pokoju.

Zaintrygowany podszedł bliżej i nacisnął klamkę.

Czyżby zasnęła przy lampie? Była druga trzydzieści.

Na kanapie z podwiniętymi nogami siedziała Basia. Była ubrana w swoją najlepszą sukienkę,

z czarnego aksamitu, przylegającą jak prezerwatywa. W pokoju unosiło się ze dwadzieścia baloników, a na stole stał szampan i jakieś danki na półmiskach wyglądające nader ponętnie.

Na jego widok Baśka rozpromieniła się i nacisnęła przycisk radiomagnetofonu. Usłyszał pierwsze tony *Strangers in the Night* Sinatry...

- Baśka! Co się dzieje?
- Zapomniałeś... wiedziałam, że...
- Co zapomniałem? O czym zapomniałem? -zdziwił się.
- Zapomniałeś, że dziś Dzień Kobiet!
- No, zwariowałaś!
- Tak! Zgadza się! Postanowiłam, że dziś będziemy mieli święto! Nieważne jakie. Święto!
- Basiu! Jesteś kochana, że tak...
- Wiem. Popatrz! Zrobiłam pizzę, sama! Z mrożonymi porzeczkami! Dopiero ją wyjęłam z piekarnika. Jeszcze gorąca! I dostałam kergulene, więc masz w śmietanie! Popatrz! A tu - uśmiechnęła się - szarlotka... Twoja ulubiona...

Janek spojrzał na stół, na szarlotkę, a potem na Basię. Była ledwo żywa, tak jak i on. Ale oczy jej promieniały.

I ta szarlotka...

Nie miał odwagi jej powiedzieć, że pół godziny temu jadł kolację u Krysi i Andrzeja. Nie miał odwagi jej powiedzieć, że jest tak zmęczony, że zaraz zaśnie.

Wziął do ręki kieliszek i powiedział:

- Za nas!

Powiedział to z rezygnacją. I nagle zobaczył w oczach Basi ból. Dostrzegła tę rezygnację.

Zamknął na moment oczy, wypił duszkiem szampana, podszedł do niej blisko, bliziotko i zapytał głosem obniżonym do granic możliwości:

- Można panią... poprosić... do tańca?

A ona zachichotała, podniosła się kanapy, obciągnęła kusą sukienkę i podała mu dłoń.

- Z panem? Zawsze...

Z magnetofonu słyhać było tango. Argentyńskie. Janek zrobił pierwsze pas, a Basia podążyła za nim. Tańczyli przez moment, a później zaczęli się całować i zapomnieli o pizzy i kergulenie. W śmietanie. I o szarlotce.

Nie do wiary, ale zapomnieli też o szarlotce...

Czarna sukienka z aksamitu wylądowała na podłodze, obok niej koszula Janka, który niecierpliwie i z zapalem ssał sutki Basi, ściągając jej majteczki.

A potem zaczęli wirować w obłędnym tańcu. Zniknęła codzienność i wszystkie jej problemy, była tylko ona pokryta drobnym potem i jego oczy niecierpliwie, i ciała poruszające się w szalonym rytmie.

I krzyk, który usłyszeli sąsiedzi. Ale nie wiedzieli, skąd dobiegł, bo Janek zaraz zdusił go pocałunkami.

CZERWIEC 2008

Hania wsadziła nos do kuchni i skrzywiła się na widok stosu petów w popielniczce.

- Przecież już nie palisz.

- Nie palę. Tylko...

- Coś się stało?!

Basia siedziała na krześle pod oknem, koło kaloryfera i nie wyglądała dobrze. Była blada, wymięta i jakaś zmieszana. Patrzyła na Hanię niepewnie. W tym momencie zadzwoniła leżąca tuż przed nią komórka.

Basia spojrzała na nią z paniką w oczach i nie sięgnęła po aparat.

Komórka leżała na samym środku stołu, dzwoniła i podskakiwała jak szalona.

- Nie odbierzesz? - zdziwiła się Hania.

- Nie!!! - krzyknęła prawie, ale po sekundzie zmieniła zdanie:

- Albo odbiorę.

Coś błysnęło w oczach matki.

Hania zobaczyła desperację.

Mama wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle. Coś się działo. Coś niepokojącego.

Basia, zupełnie nieprzypominająca siebie, wzięła zdecydowanie aparat do ręki, jakby to był co najmniej rewolwer, przyłożyła do ucha, jakby miała zamiar strzelić sobie w skroń, i ostrym, zmienionym głosem wycodziła:

- Słucham. Tak. To ja. Tak. Poczekaj chwilę. Przejdę do drugiego pokoju.

Hania otworzyła usta ze zdziwienia. Mama miała przed nią jakieś tajemnice? Nigdy nic takiego

wcześniej się nie zdarzyło. Basia wyszła do swojej sypialni z komórką w ręku.

Hanka zaczęła parzyć poranną kawę.

Zupełnie niepotrzebnie - bo znała odpowiedź - wsadziła głowę do drugiego pokoju i zapytała:

- Mamo, napijesz się cappuccino? Matka stała przy oknie.

Już nie rozmawiała przez telefon, tylko patrzyła gdzieś w przestrzeń.

Jakaś krótka była ta rozmowa.

Gdy się odwróciła do Hani, w oczach miała dziwne napięcie i wyglądała o dziesięć lat starzej.

Zagryzła wargi i nic nie odpowiadała.

Tylko patrzyła na Hanię. Dziwnie patrzyła. Tak, że Hania ścierpła ze strachu.

Coś było bardzo nie tak.

- Co się stało? Mamo?! Kto to dzwonił?

- Twój ojciec. Dzwonił twój ojciec.

- Mój ojciec? - powtórzyła Hania i zbladła przeraźliwie. - Jak to możliwe! Mamo! Przecież on nie żyje!

MAJ 1983

Basia siedziała jak zwykle w Harendzie, tym razem na dole w restauracji, i jak zwykle czekała na Jasia. Ostatnio już zupełnie przepadł. Pojawiał się i znikał. Ale ona ciągle miała na jego punkcie bzika. Jak w piosence.

Może to na tym polega..., myślała, może ja też tak powinnam. Zamiast siedzieć i czekać: pojawiać się i znikać. Mniej kochać, a więcej grać?

Tym razem umówiła się z Jaśkiem na obiad, czyli właściwie szykowało się małe święto, taki wspólny posiłek w ciągu dnia, ale wyraźnie Janek znów nawalił. Normalka.

Jak czasem mówiła - naśladowując znajomą kwiaciarkę, z którą niekiedy lubiła sobie pogwarzyć, gdy kupowała kwiatki do ich kawalerki - była już tego zwyczajna.

Była też głodna jak wilk i chciała coś zjeść.

Gapiła się w kartę i jedyną potrawą, która wydała jej się choć trochę atrakcyjna, był omlet z groszkiem. Ruda kelnerka o wielkości i parametrach obłego hipopotama podeszła do niej leniwie po kilku rozpaczliwych próbach przywołania.

- Zdecydowała się pani? - zapytała tonem pełnym pretensji, jakby to ona czekała na Basię, a nie odwrotnie.

- Tak. Poproszę omlet i herbatę. Z groszkiem. Omlet - dodała dość gamoniowato.

- Groszek się skończył. Może być dżem.

- Jaki dżem?

- A nie wiem. One wszystkie podobne. Chce pani?

- Tak - zgodziła się potulnie Basia.

Co to za różnica? Grunt, że ciepłe i słodkie.

Spojrzała na zegarek. Janek chyba już nie dotrze, śpieszyła się do biblioteki i czasu było mało, tylko tyle, by coś szybko zjeść i biec dalej. Szkoda, miała

jednak trochę nauki przed jutrzejszym egzaminem i nie mogła na niego czekać bez końca.

Od jesieni wracała na studia. Nie ma to tamto. Jeszcze tylko zaliczy opisówkę i będzie na bieżąco z egzaminami.

Rozejrzała się po restauracji. Klienci, ci sami co zawsze, plus jacyś urzędnicy, jak się zdawało, na delegacji, rozpijający po południu pół litra pod kaszankę na ciepło.

Nagle Basia poczuła, że coś jej nie pasuje. Zapach. Co to za zapach? Aż mdliło. Grochówka?

Siedzący obok drobny staruszek z psem warującym przy nodze stołu, równie małym i chudym jak właściciel, zajadał się grochówką, obficie popijając ją piwem i podrzucając psu kawałki wędliny, wyciągnięte dwoma palcami z zupy.

Basia poczuła, że ją mdli. Zawsze lubiła grochówkę. Może to zepsuty boczek albo coś.

Ale kucharz użyłby boczku do grochówki?! Akurat. Bardzo wątpliwe.

Może jakaś stara wędlina wydzielala ten koszmarny zapach.

Z knura? Klienci nie chcieli zjeść i wrzucili ją w grochówkę?

W tym momencie staruszek uśmiechnął się do Basi, a ją aż rzuciło: nie miał chyba połowy uzębienia.

Obrzydliwy.

I pies. Ten pies. No, lubiła psy, ale ten? Co on ma na grzbiecie, że się tak drapie? Też obrzydliwy.

No, lepiej nie patrzeć.

Zmaterializowana znienacka kelnerka postawiła przed nią omlet żółty i wesoły, z kapkami dżemu, zdaje się, wiśniowego na obrzeżach.

Była głodna. Naprawdę głodna. Poweselała, złapała za nóż i widelec i z zapalem ukroiła solidny kawałek. Wsadziła go do ust i poczuła, że zaraz zwymiotuje. Omlet urósł w ustach do gigantycznych rozmiarów, znów przyplątał się ten odór zepsutej grochówki, a staruszek szczyrzył resztki żółtawych pniaków.

W panice złapała się za usta i pomknęła przez salę, niepomna na nic, do toalety. Pies biegł za Basią, oszczekując ją i usiłując złapać za nogę, a ona pędziła, pędziła, trzymając się za usta przy wtórze krzyków staruszka:

- Urban, Urban, do nogi!!!

Koleś rozlewający pół litra zagapił się na Basię i polał koledze spodnie w kroku, a ten, bynajmniej tym nie zachwycony, wydarł się na całą salę:

- Teeeee, Zdzichu, pojechało cię?!

Ledwo Baśka dopadła kabiny i oderwała rękę od ust, zaczęły się torsje. Ale zdążyła.

Babcia klozetowa siedząca przy drzwiach na stołeczku obdarzyła ją niechętnym spojrzeniem, westchnęła z rezygnacją i wróciła do dziergania. Robiła coś przeraźliwie różowego.

Basia chciała zamknąć kabinę, ale ledwo odwróciła się do drzwi, chwycił ją kolejny atak, bez litości szarpiący jelita.

Struła się bez wątpienia. Nerwowo przypominała sobie, co jadła na śniadanie.

Twarożek. Twarożek? To niemożliwe, taka reakcja po twarożku?

świeży przecież był. Ze szczypiorkiem. Może to ten szczypiorek.

Za dużo azotu czy jakiejś innej chemii.

Zimny pot zrosił jej czoło. Miała wrażenie, że zaraz przenicuje ją na drugą stronę.

W końcu przestała wymiotować. Ogarnęła kabinę, spuściła wodę i kompletnie znękana, czerwona ze wstydu wypęzła z kabiny i zaczęła myć ręce i płukać usta.

- Przepraszam, nie ma pani czasem pasty do zębów? - zwróciła się z pytaniem do babci, cały czas pracowicie dziergającej różowiułki koszmarek i niezwracającej na nią większej uwagi, jakby takie katastrofy były tu na porządku dziennym.

A może i były.

- A co mam nie mieć. Mam - odparła babcia. - Tam leżą na półce ze trzy tubki. Cięgiem zapominajom. Weź, poczęstuj się...

Basia odwróciła się i złapała leżącą na półeczce pastę. Zaczęła energicznie myć palcem zęby, a potem wypłukała je wodą z kranu nabieraną ręką. Metoda równie dobra jak każda inna. Szklanki nie było.

Czuła, że cuchnie. Ależ się struła. Miłe to nie było.

- Musiałam się struć - powiedziała usprawiedliwiająco trochę do siebie, trochę do babci klozetowej. - Dziękuję za pastę!

Sięgnęła do torebki po jakąś większą monetę.

Staruszka podniosła swoją robótkę, połówkę -teraz było widać w całej okazałości - przeraźliwie różowego, niemowlęcego śpiocha, pomachała nim jak sztandarem zaczepionym o dwa druty i wykrzyknęła z przekąsem:

- Akurat! Który to miesiąc? Panienczko?

MAJ 1983

Mowy nie ma - powiedział Janek.

- Jak to nie ma mowy? - obruszyła się Basia.

- Zwyczajnie. Nie możemy mieć dziecka.

- Dlaczego nie możemy?!

Basia siedziała na kanapie i nerwowo szarpała frędzle swojego poncha. Podniosła rękę do ust i zaczęła obgryzać paznokcie.

- Nie rób tego. Nie cierpię obgryzania paznokci. Basia posłusznie wróciła do szarpania włóczki,

a Janek spacerował po pokoju i klarował:

- Nie możemy mieć dziecka. Nie mamy mieszkania. Pamiętasz? Ja tańczę. U Brookesa. Nie mam czasu na żadne dziecko. Dziecko zniszczy mi karierę. Nie umawialiśmy się na dziecko.

- Przecież ja sama. Ja się zajmę. Ty nie musisz.

- Tak się mówi - przerwał jej Janek. - To obowiązek na całe życie. Absolutnie się nie zgadzam. Nie teraz, może później. Kiedyś. Teraz mam wielką szansę. Brookes jest ze mnie zadowolony

i zaprasza mnie do siebie, do swojego zespołu. Czy ty wiesz, co to znaczy? Dla mnie? I dla ciebie? To nie czas na dzieci.

- Ale Jasiu! To dziecko już jest.

- Ale może go nie być. Pogadam, popytam i znajdę ci lekarza.

- Ale ja nie chcę, Janku!

- Sama o tym nie decydujesz. Też mam prawo głosu, a ja się absolutnie, ale to absolutnie nie zgadzam. Żadnych dzieci. Mam szansę na naprawdę dużą karierę, na osiągnięcie tego, o czym zawsze marzyłem, na co pracowałem. Czy ty tego nie rozumiesz? Będę tańczył te wszystkie cudowne balety i układy, których tu nie mogę! Brookes chce mnie u siebie! Zaprasza mnie do Nowego Jorku. Czy ty, dziewczyno, nie rozumiesz, co to znaczy?

Janek zapalił się, oczy mu rozbłysły. A potem to zniknęło jak nożem uciął. Spojrzał na nią zimno i powiedział:

- Musisz usunąć.

Patrzyła na niego i go nie poznawała. Miał ściągnięte brwi i wyglądał naprawdę groźnie. Jak nie jej Janek.

Był wściekły. Nie chciał dziecka.

Ona się nie liczyła. Ani dziecko. Tylko ta przekłeta kariera. I taniec.

A może odwrotnie. Tylko taniec się dla niego liczył.

Kariera była na dalszym miejscu, tyle wiedziała. Tak jak i pieniądze. Zarabiał, nawet nieźle, ale honoraria nie miały dla niego znaczenia. Tylko taniec.

Spróbowała jeszcze raz. Może głupio i naiwnie:

- Jaśku, aborcja?! To zakazane i niebezpieczne.

- Bezpieczne. Wiele kobiet to robi. Dam ci pieniądze.

- Jaśku! Ale ja chcę tego dziecka! - Basia podeszła do niego i dotknęła jego ramienia, a potem owinęła się wokół niego. Nawet nie drgnął. Nie objął jej. Stał chłodny niczym lodówka i wydierał równie mało ciepła.

Wyglądał zaś, jakby właśnie wyjęto go z zamrażarki, i to tej, co się mieściła w kostnicy miejskiej. Był sztywny i zimny.

Ale Basia wciąż próbowała:

- Jasiu. Nie mów tak. To nasze dziecko. Damy radę. Ja dam radę. Ty nic nie musisz, ja się nim zajmę. Nie złość się.

- Nie ma o czym gadać - powiedział kategorycznie, odsuwając się od niej. - Masz przerwać. Jutro umówię cię na wizytę.

Odwrócił się, wziął z krzesła swoją wojskową kurtkę, szmacianą torbę pełną nut i wyszedł z mieszkania. W drzwiach powiedział, nie patrząc na Basię:

- Pa!

Basia przestraszona chwyciła się za usta i usiadła na najbliższym krześle. Jedną ręką trzymała się za usta, a drugą za brzuch.

Nie płakała. Łapała szybko powietrze. Była cała zdrętwiała z bólu. Oddychała głęboko, ale czuła, że zaraz się udusi.

Leżący tuż przed nią na stole obrus zdawał się wirować. Białe i niebieskie obręcze. Kółka. I fale. Kółka i fale niebieskie. Obręcze. Kółka. Fale.

Oddech, znów kolejny oddech. Wolniej, wolniej, wooolniej. Położyła głowę na stole, na obrusie wciąż rozmazywały się i zlewały niebieskie kółka i fale, a ona patrzyła na nie z odległości kilku centymetrów i tak trwała.

MAJ 1983

Grand jete! - wykrzyknął Ćwilichowski i Jan podskoczył, a potem płynnie przeszedł w pasaż z Krystyną.

Małe zwarcie i znów od siebie odpłynęli.

Troszkę brakuje w tym układzie finezji, pomyślał. Powinniśmy to utrudnić.

Zatrzymał się. Krysia też wyhamowała i spojrzała na niego z oczekiwaniem. Powiedział:

- Wydaje mi się, że to powinno iść inaczej. Tak! Zademontrował ruch.

- A ty wtedy zrobisz coś takiego. Zobacz!

I znów wykonał parę tanecznych kroków, aż Kryśce zabłyśły oczy.

- Masz rację! To wygląda lepiej. Też czułam, że coś nie gra. Co pan na to, majstrze?

Odwróciła się do Ćwilichowskiego. Ten pokiwał głową, ale powiedział:

- Pokażcie jeszcze raz, jak to sobie wyobrażacie... Pokazali.

MAJ 1983

Basia siedziała w poczekalni u lekarza. Była zielona i patrzyła na czubki swoich butów. Jasiek rano wcisnął jej pieniądze i oznajmił, że jest umówiona na 17. On nie może jej towarzyszyć, ma próbę, ale tu są też pieniądze na taksówkę. A potem złapał torbę, powiedział jak zawsze „pa”, i tyle go widziała.

Międliła plik banknotów w kieszeni. Nawet ich nie włożyła do torebki.

Miała wrażenie, że wszyscy czekający pacjenci wiedzą, po co tu przyszła. Gruba baba siedząca naprzeciwko i pocąca się bez ustanku na pewno wiedziała. Patrzyła na nią tak jakoś...

Basia nachyliła się i strząsnęła z czubka pantofelka listek. Klon.

Znów poczuła napływającą do gardła falę mdłości. Miłe to nie było. I łzy, łzy w oczach. Szczypały.

Na dworze padał deszcz. I dobrze. Mało ludzi. Nikt jej nie zobaczy.

Takiej.

Z gabinetu wyszła pielęgniarka i wywołała: - Numerek dwudziesty szósty! Jej. Basia wstała.

Popatrzyła na puciołowatą twarz pielęgniarki.

Zgniotła te banknoty w kieszeni po raz kolejny, i wyszła. Na ulicę.

Sama nie wiedziała, jak to się stało. Wyszła jak automat. Po prostu nie mogła tam wejść.

Deszcz spływał jej po twarzy i nie było widać łez. Szła Ordynacką, a potem Nowym Światem. Wchodziła w kałuże, potykała się. Aleje Ujazdowskie. I Bagatela. Ciągle szła przed siebie. Ręce trzymała na pliku banknotów. Nie czuła się zmęczona. Nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić. Po prostu szła. I nawet nie myślała. Szła.

W końcu zawróciła. I znów szła. A potem wsiadła do autobusu i pojechała na Wolę. Wdrapała się na szóste piętro. Winda nie działała. Zadzwoiła do drzwi. Otworzyła Asia. Przyjaciółka od przedszkola.

Nie widziała jej, zaraz, no, odkąd poznała Jaśka. Chyba. Jakoś nie było czasu.

- Asiu! - zaczęła mówić, stojąc na progu. - Asiu? Przyjmiesz mnie? Jestem w ciąży...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Słońce przedzierało się przez szyby i kładło jasnym smugami na stole. Za oknem świat, czy tylko

dzień, był taki radosny, jak tylko w czerwcu być potrafi.

Basia odwróciła się od okna.

- Haniu! Posłuchaj mnie...

Hania stała naprzeciw Basi, wyglądając jak nasrożony nosorożec. Jej mama ją oszukiwała. Przez całe życie. A jej głupiej wydawało się, że mama nie ma przed nią żadnych tajemnic. Że są dwiema częściami jednej całości. Zawsze były z sobą tak blisko. Nigdy nic nie ukrywała przed matką, a teraz coś takiego.

Mama ją oszukiwała.

Aż wierzyć się nie chce, że to w ogóle możliwe. Koleżanki zawsze jej zazdrościły tej więzi, sztamy z mamą.

- Jak mogłaś? - wykrzyczała. - Jak mogłaś?! I dlaczego?

Na to pytanie nie ma dobrej odpowiedzi, Basia świetnie to wiedziała, może zamiast słów wystarczą gesty, bo czuła absolutną pustkę w głowie.

Nie wiedziała, co mówić. Nie umiała mówić. Nie chciała mówić.

Podeszła więc do tej swojej dużej i nabzdyczonej córeczki i objęła ją.

Ale Hania była nieprzejednana w swoim bólu. Strząsnęła rękę matki z pleców i popatrzyła na nią jak na kogoś kompletnie obcego i wrogiego. Basia wiedziała, że to minie, ale tak strasznie było jej żal, tak strasznie przykro. Powinna wcześniej. Ale nie mogła.

Ta cała sprawa z Jankiem była jak wielka, nigdy niezaleczona rana. Nieraz w nocy o tym myślała,

nie mogła spać i myślała. To ciągle wracało. Jak zły sen, jak koszmar.

Starła się wymyślić, jak powiedzieć dziecku o ojcu i tej historii, ale nigdy nie mogła, nie miała pomysłu na taką rozmowę. Jak powiedzieć takiej miłej i ufnej dziewczynce, że ojciec jej nie chciał?

No jak?

A kłamać...

Powinna skłamać. I w końcu skłamała. Ale to kłamstwo było łatwiejsze niż to, które musiała teraz zaserwować swojej córce.

Łatwiej powiedzieć, że ojciec nie żyje, niż że ma nas gdzieś.

Łatwiej powiedzieć, że nie żyje i że był miły i kochający i też padł ofiarą okoliczności, niż że był łobuzem, a może i łajdakiem.

Jedno dobre, że nikogo nie zabił, pomyślała Basia jadownicę, choć chciał...

- Haniu, to nie takie proste - zaczęła po raz kolejny. - Byłaś taka mała, bezbronna. Nawet teraz wydajesz mi się za mała.

- Mam dwadzieścia cztery lata.

- Wiem, ale to nic nie zmienia. Teraz też jest zły moment. Wychodzisz za mąż i powinnaś zapamiętać ten czas jako najszcześniejszy w życiu. A tu coś takiego. Tak, to też zły moment. Zawsze był zły. Na takie rzeczy nie ma dobrego, taka jest prawda. Kiedy Jaś wyjechał, myślałam, że zwariuję z tęsknoty. Kochaliśmy się bardzo. A potem się okazało, że on zostaje na dłużej, a ja jestem w ciąży. Nie chciałam mu komplikować życia, niszczyć kariery.

Tu był stan wojenny, nie mogłam jechać za nim. Byłam jakby takim zastawem, że wróci - powiedziała Basia i modliła się, by niebiosa nie grzmiały, słysząc to, co zmyśliła na oczekaniu.

Ale co miała powiedzieć swojej córce? No co? Że dał pieniądze na skrobankę?

Nigdy jej tego nie powie, więc ciągnęła tę swoją historię cienką jak herbatka po pięciu parzeniach i miała nadzieję, że Hania w nią uwierzy.

- A potem pojawiłaś się ty. I już nie tęskniłam tak bardzo.

- Czy ty zamierzałaś mi powiedzieć, że mam ojca?!

To „ty” zabrzmiało jak strzał z karabinu. Ty.

To „ty” - ile się w tym mieściło.

Dwie strony barykady i... tak, wzgarda....

Basia otrząsnęła się.

To minie, powiedziała sobie, to minie.

Ona mi wybaczy. To nie boli.

Tak być musi.

I dalej opowiadała. Opowiadała swojej córce bajkę.

- Kochanie, nie chciałam cię skrzywdzić. Każdego roku, każdego dnia obiecywałam sobie, że ci wszystko powiem. To nie było łatwe dla żadnego z nas. Wiesz, jak to jest w życiu, wszystkiego nie da się zaplanować. Byliśmy młodzi, kochanie.

Hania słuchała z uwagą, patrząc na nią tak intensywnie, że Basia czuła się jak zamrożona. Nie chciała, by wyczytała prawdę czy kłamstwo z jej oczu czy mowy ciała.

Mówiła spokojnie i myślała nad każdym słowem. Czuła, że te słowa są jak z tektury, gładkie i absolutnie nic nieznaczące, wytarte do granic możliwości, puste, że aż dźwięczą, ale jakie mają być?

Na Boga!

Ta historia przecież nie miała swoich słów i ich mieć nie powinna, bo byłyby to złe słowa. Słowa raniące.

Na razie tylko Hania je wypowiedziała, ale to jej prawo i prawo młodości. Basia świetnie to wiedziała. I rozumiała. I wybaczyła.

- Na dziecko nie byliście za młodzi. Co ja mam jej powiedzieć?

- Byliśmy za młodzi. Taka jest prawda - zgodziła się potulnie.

- Haniu, to były inne czasy.

Milczała przez chwilę, ważąc słowa:

- To była niewyobrażalna szansa - tańczyć w Nowym Jorku. On się bardzo nami interesował, tęsknił, pytał, pisał listy. Myślałam, że wróci, ale wszystko kończyło się na twoich zdjęciach, które mu wysyłałam. W zamian przysyłał programy, na których jego nazwisko było pisane coraz większą czcionką. Potem przestał dzwonić, a ja przestałam się oszukiwać, że kiedykolwiek tu wróci. Wolałam myśleć, że nie żyje.

Basia, mówiąc te słowa, przypomniała sobie dzień, gdy stała po dary w kościele i słoiczki z zupkami skończyły się tuż przed nią. Wróciła załamana do domu. Nie miała ani grosza. Ani złotówki, by coś kupić małej. Do pierwszego było jeszcze kilka

dni, a ona resztkę swojej nędznej pensyjki wydała na antybiotyki, bo dopadła ją paskudna angina.

Żadnych pespektyw na zarobek, a tu wpada Aśka i krzyczy, że jest paczka. Paczka od Jasia. Z Ameryki.

Ameryka. Paczka. To wtedy było coś...

Jak się ucieszyła. Pamięta.

Rozerwała papier. Odpakowała pudełko.

A tam: zdjęcia. I programy. I nawet złamanego cukierka.

Wolała myśleć, że nie żyje - naprawdę wtedy mniej to bolało.

- Nawet ani razu nie przyjechał do Polski, żeby mnie zobaczyć? Boże, każdego dnia tęskniłam za ojcem!

Basia popatrzyła na nią tymi swoimi niebieskimi spłowiałymi oczami i powiedziała:

- Ja też tęskniłam.

A pomyślała: miałam nadzieję, że się pokaże, i ja mu wtedy, no... krzywdę zrobię. Hania ciągle nie mogła zrozumieć.

- To dlaczego o niego nie walczyłaś?

- A co, miałam cię wziąć pod pachę i wyczekiwać na niego pod teatrami? Kochanie, czy byłam złą mamą? Dałam ci wszystko, co mogłam.

- Szkoda tylko, że prawdę o ojcu... zostawiłaś dla siebie.

Basia popatrzyła za nią i powiedziała, mając nadzieję, że słowa dogonią Hanię.

- Powinnaś była ci powiedzieć. Przepraszam cię. Tak bardzo cię kocham. Powinnaś była ci powiedzieć...

Nie wiedziała, czy Hania słyszy.

Usiadła na krześle i zapadła się w sobie. Łzy ciekły jej po policzku i co chwila wycierała je nadgarstkiem.

To wszystko było takie straszne. To nadal jest straszne. Nie umiała kłamać.

Te lata, z dzieckiem, bez pieniędzy i bez wieści od Janka...

Nie potrafiła stanąć twarzą w twarz z córką i opowiadać jej wymyślonych historii, bajęd, że tatuś ją kochał i kocha, tylko pojechał i był zajęty i... i...

Co miała jej mówić?

Przecież Hania w końcu by zrozumiała, że to są bajki. Kłamstwa. Że ojciec jej nie chce, bo nie pisze, nie dzwoni i nie pamięta o niej.

I musiałyby z tym żyć i mierzyć się z tym co dnia.

Z odrzuceniem.

A tak - nie było tego problemu. Tak było lepiej.

Lepszy ojciec martwy i zmitologizowany niż żywy, gdzieś tam w świecie, bez kontaktu, nieinteresujący się małą.

Zrobiła to, co uważała za najlepsze dla Hani. Zawsze robiła to, co było najlepsze dla dziecka.

Wyprostowała się.

To nie był błąd, pomyślała. Ta wersja o śmierci. Tak.

Mógł sobie nigdy o Hani nie przypomnieć. O Boże! Za co mnie karzesz? Czy nie dość się wycierpiałam, czy nie dość tego wszystkiego?!

Basia chwilami nie wiedziała, czy zrobiła źle, czy dobrze i co powinna była zrobić. Wiedziała jedno -nie mogła wyjawić prawdy o Janku. Po prostu nie mogła, ale tego nie chce powiedzieć Hani. Szczególnie teraz. Gdy on wrócił.

Wrócił i chciał się z nią widzieć. Z nią i z Hanią.

Dobrze mieć ojca. Dziecko powinno mieć ojca i powinno kochać ojca.

Nagle Hania wróciła, umyła zapłakane oczy i wróciła. Jej córeczka. Zawsze była mądra, dobra i dzielna.

Hania uklękła koło matki i wzięła ją za rękę.

- Mamo, nie płacz.

I Basia przestała płakać. Uspokoila się. Hania zawsze miała ten dar. Gdy ją widziała, uspokajała się i wiedziała, że wszystko będzie dobrze, bo musi być dobrze.

Popatrzyła na swoją dużą już córkę i wyszeptała:

- Przepraszam cię.

Tak dawno już nikogo za nic nie przeproszała. A Hania, dobra i mądra Hania, może rozumiała więcej, niż zostało powiedziane, bo powiedziała:

- To nie ty powinnaś mnie przeproszać.

- On chce się z tobą spotkać.

- Teraz? Chce się ze mną łaskawie spotkać? Teraz to ja się z nim spotkam i powiem mu, że po tym wszystkim, co nam zrobił, może się wynosić i wracać tam, skąd przyjechał.

CZERWIEC 2008

Warszawa

Słońce prażyło mocno.

Było duszno, szykowała się burza. Jan, idąc od hotelu widział przenikający gałęzie drzew niewielki, zwiastujący burzę wiaterek. I jakoś mu się dziwnie zrobiło, że to dostrzegł.

Pamiętał; kiedyś pogoda była ważna...

Natura. Przyroda.

Jakoś też mu to umknęło.

Jedność z naturą była przecież cechą dzieciństwa - pamiętał, że zawsze gdy wybiegał rano na ulicę czy podwórko, patrzył w górę, na niebo, chmury, drzewa, oceniał przejrzystość powietrza, słuchał, jaki ptak śpiewa, i czy żab aby nie słyhać. I zawsze wiedział, jaki będzie dzień - słoneczny czy mglisty - i kiedy się zmieni pogoda, na co można liczyć i co należy zaplanować: pływanie w gliniankach, wyprawę na ryby czy może zabawę w stajni.

Potem ta umiejętność zanikła.

Miastowy się zrobił, ale nie było o to trudno w rytmie, w jakim żył.

A teraz znów potrafił. Zauważał.

Przestał się spieszyć, wyszedł z tych sal ćwiczeń i prób, gdzie biegło jego życie.

A może stało, nie biegło.

Tak mu jakoś przyszło do głowy, że stało, mimo że biegło. No, za wikłane.

Już na Korfu zaczął zwracać uwagę na ptaki, drzewa, wiatr i słońce. Czyżby wracał do życia, normalnego życia? Jakoś go to cieszyło.

Mógłby zostać ponurym alkoholikiem, ale jakoś nie chciał. Chciał zmiany.

Jan Kettler stanął na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich i uniósł głowę.

Tak dobrze kiedyś znał to miejsce. Poznawał je i nie poznawał.

Dawny hotel Forum teraz nazywał się Novotel, o czym zaświadczał duży neon na samej górze, ale dalej jak był brzydki, tak był.

Zmienili mu, co prawda, kolorystykę. Dawna fasada nieodparcie przypominała fakturę, z powodu niefortunnie wybranego koloru starego złota, które okazało się sraczkowatym brązem.

Teraz było ładniej, znacznie ładniej, ale kiepska architektura to niestety kiepska architektura i żadna zmiana koloru już nie pomoże. Zupełnie nijaka, tak.

Zachodni odpowiednik słupka polskiego - że też daliśmy się w to wpędzić.

Czyżby ci, co wybierali projekt, chcieli zachować tradycję?

Uśmiechnął się na samą myśl o strażnikach nieustrudzenie strzegących idei budowania klockowa-tych budowli w epoce socjalizmu i po niej.

Popatrzył na dawne Domy Centrum. Też klocek, tylko przewrócony.

Co też oni z tymi klockami? Taki przaśny funkcjonalizm.

Mają teraz nowy make-up, wielkie krzyczące reklamy troszkę przysłaniają bryłę, ale poza tym nie zmieniły się wiele.

Fajniejsze niż niegdyś, tyle wejść i wystaw, takich zachodnich, innych, niż pamiętał. Ulokowały się, jak widział, w dawnym pedecie te same firmy, które znał z Paryża, Rzymu i Londynu. To dobrze.

No, Europa...

Naprawdę jest lepiej, niż się spodziewał.

Jan szedł i gapił się wokoło, i cóż, nabudowali tych wieżowców. Szkoda tylko, że to wszystko bez ładu i składu. Pasaż Wiecha. No, to jadziem, panie Zielonka. Gdzieś tu powinna być kawiarenka, której szuka. O! Bingo. Jest.

Wszedł do wnętrza i zamówił herbatę, co było oczywiście błędem, jak się przekonał po chwili.

Kawa zabija zły smak wody, a herbata już nie.

Ale sama kawiarnia jak w Paryżu. Gdy szedł od hotelu, widział kilka uroczych kawiarni, pełnych ludzi i gwaru, zupełnie jak w świecie.

I to się zmieniło na plus. Pamiętał, jak w czasie swojego pierwszego paryskiego pobytu zazdrośnie patrzył na ludzi siedzących przy stolikach na bulwarach i sączących leniwie kawę.

Jego, tancerza sceny narodowej, nie było na to stać.

Chciał coś kupić Basi i kupił, jak pamiętał, śliczne perfumy w wymyślnej buteleczce. Nie, to była woda, nie prawdziwe perfumy.

„L'air du temps” się nazywało. Na perfumy nie było go wtedy stać.

Chciał, by to było coś naprawdę luksusowego. I było. Wtedy. Dla niego i dla niej.

Zabrał tym kapitalistom, trochę tego ich luksusu uszczknął. Dla Basi.

A kawę też kupił, w słoiczku, by sobie zrekompensować to głodne, zazdrosne spojrzenie na stoliki przy paryskich ulicach i podzielić się tą kawą z Baską.

Kochał Basię. Tak. Jak nigdy nikogo. Westchnął.

Napił się deczko herbaty i patrzył na ludzi. Fajnie ubrani i wszyscy pili kawę.

Dawniej tylko knajpy z piwem były co krok.

Przypomniawszy sobie prząsną Harendę.

Ile pokoleń alkoholików wyprodukowała ta knajpa? Wszyscy wtedy pili.

Ale kawę to naprawdę rzadko.

I zamajaczyła mu przed oczami sylwetka pochylonej nad książką Basi, gdy czekała na niego.

Nieraz bardzo długo.

Teraz on czekał na Basię.

Zerknął na wyświetlacz komórki. Spóźniała się.

GRUDZIEN 1983

Warszawa

Wtedy, pamiętał, wrócił do domu i Basi nie było. Od razu pomyślał, zresztą mało odkrywczco, że coś poszło nie tak.

Wszystko było nie tak od tego feralnego dnia, gdy mu powiedziała, że będą mieli dziecko.

Dawno zapadła noc, trudno było jej szukać.

Nie wiedział, czy coś się stało w czasie zabiegu, czy może uciekła, stchórzyła czy się zbuntowała...

Kochał Basię. Ale nie chciał dziecka, tak jak nie chciał małżeństwa.

Dałby Basi wszystko na świecie, poza sobą. Siebie było mu żal.

Tyle lat pracował na sukces i w momencie, gdy doszedł już do szczytu i wystarczył jeden krok, by spełniło się to, o czym marzył od dziecka, Basi przytrafiła się ciąża.

Nie wyobrażał sobie życia z maluchem, chciał być wolny. Potrzebował wolności niczym tlenu. Miał wspaniałe perspektywy - Nowy Jork i scenę, o której marzy każdy, kto po raz pierwszy zawiązuje baletki na nogach.

Jego marzenia się ziściły. To był cud. Brookes go chciał.

Miał szansę uczyć się nowych rzeczy każdego dnia i widzieć, jak klaszczą, jemu klaszczą, w Paryżu, Rzymie i Londynie.

Właśnie to dawało spełnienie w życiu, a nie dziecko, wynajęte mieszkanie na trzecim piętrze

z psującą się windą i użeranie się co dzień z panami Rysiami różnej maści i proveniencji.

Nie chciał. Nie mógł.

Miał szansę. I nie mógł jej zaprzepaścić.

Przecież mówił Basi, że taniec będzie zawsze pierwszy. Wiedziała.

I tak się głupio uparła. Kochał ją. Naprawdę kochał.

Wtedy, tamtej nocy, myślał, że oszaleje. Cały dzień martwił się, jak zniosła zabieg. Była taka drobna i krucha.

A potem nie wróciła i nie wiedział, co się stało. Te komórki. Ile one ułatwiły. Ktoś, kto nie pamięta dawnych czasów, nawet sobie nie zdaje sprawy, jak się człowiek denerwował, gdy ktoś się spóźniał, nie przychodził na umówione spotkanie.

Szczególnie dojmujące to było w stanie wojennym, ale też i co dnia. Przecież nawet zwykły telefon był trudno dostępny. On akurat miał aparat w tym mieszkanku, bo musiał mieć, by mogli do niego dzwonić z propozycjami występów.

Specjalnie szukał do wynajęcia mieszkania z telefonem. Patrzył na ten aparat i czekał, że Basia zadzwoni, że powie, gdzie jest i co z nią, by się nie denerwował.

Zawsze tak robiła. Dbała o niego.

Ale nie tym razem. Telefon nie zadzwonił.

A on nie znał żadnych numerów, pod którymi mógłby szukać Basi.

Żadnych telefonów do jej przyjaciół czy chociażby znajomych. Przez tych kilka miesięcy żyli tak

intensywnie tylko dla siebie, zafascynowani sobą, że nie potrzebowali innych. Nie doszli jeszcze do tego etapu, gdy w drugiej osobie można przejrzeć się jak w lustrze i gdy wprowadza się drugą osobę w swój świat.

Im to jeszcze nie było potrzebne. Tak więc Jan nie miał bladego pojęcia, gdzie Basia mogła pójść, żeby się schronić czy wypłakać.

Chodził po mieszkaniu jak zwierz w klatce. Zawsze tak reagował, gdy miał problem. Nosilo go. Wiedział, że rano będzie w złej formie, że będzie do niczego na próbie i na wieczornym spektaklu, ale nie mógł spokojnie usiedzieć.

Co też się stało z Bašką, gdzie zniknęła, gdzie się podziała?

Kładł się i wstawał. Robił herbatę. Pił koniak. Wyglądał przez okno, czy nie nadchodzi, chociaż świetnie wiedział, że nie nadejdzie, przecież wciąż trwał stan wojenny i nocą po ulicach się nie chodziło, bo zamykali na 24 godziny. Niejedno wyjście po papierosy czy do sąsiada kosztowało upojną noc na tak zwanym dołku z pijakami, złodziejami i prostytutkami.

Jan miał specjalną przepustkę, która pozwalała mu poruszać się po mieście nocą. Basia nie miała. Bał się o nią, ale denerwował się też ze swojego powodu. Tym, że nie śpi. Nie odpoczywa. Jego ciało było jego narzędziem pracy. Jakkolwiek by to brzmiało farsownie, tak właśnie było.

Nauczył się o nie dbać.

Może przesadnie. Nie, nie przesadnie.

Taniec był życiem, jego życiem. Pasją. I miłością.

A Basia, jak widać, nic z tego nie rozumiała, nie rozumiała. Chciała dziecka. Jak dziecko.

Dziecko może mieć każdy. Ale nie każdy może występować u Brookesa. To, że on mógł, nie spadło mu z nieba. Kosztowało go wiele lat ciężkich treningów, bólu mięśni, kontuzji i wyrzeczeń. Przecież nawet w jakiś sposób wyrzekł się życia osobistego, by się nie rozpraszać. Gdy inni latali na randki, on ćwiczył. Dopiero dla Basi stworzył, wydzielił w swoim życiu taką prywatną niszę. Zawierzył jej.

I to był, jak widać, błąd.

Przedtem miewał przelotne przygody, ulegał pokusom, ale się nie angażował.

Mówił: „pa”, wychodził i nigdy nie wracał. Żadnych stałych związków. Zamieszkał z Basią. To była rewolucja w życiu. Starał się na tyle, na ile mógł sobie pozwolić. Na ile taniec mu pozwalał. Uczył się żyć z drugą osobą. Wcale nie było mu łatwo.

A ona nic z tego nie rozumiała. Egoistycznie chciała dziecka, a to znaczyło, że wybierała dziecko. A nie jego. Chciała mu zabrać kawałek życia, które było już zdeterminowane i określone.

Życia, w którym czuł się spełniony i szczęśliwy.

Nie mógł się zgodzić na wtargnięcie kogoś trzeciego do swojego świata.

Nie miał temu dziecku nic do zaoferowania. Jego czas nie należał do niego. Nie mógł nim dysponować.

Kiedyś, dawno temu, postanowił, że zostanie wielkim tancerzem, tylko wtedy ciągle wyrzeczenia miały sens. Gdy stanął na szczycie, pojawiła się Basia.

Dla Basi był w stanie znaleźć miejsce. Ale już nie dla dziecka. Dziecko zabrałoby mu Basię. Byłaby Basia i dziecko. I on. Znow sam, osobny, broniący swojego czasu, swojego serca.

Tak myślał, chodząc po pokoju jak ranny zwierz.

Miał wówczas nadzieję, że Basia podejmie mądrą decyzję.

To nie jest tak, że wszyscy muszą mieć dzieci i że jeśli jest dziecko, to inne sprawy ustępują. Do dziś nie zmienił zdania. To dziecko powinno ustąpić.

Miał prawo wyboru i dokonał tego wyboru. Wtedy myślał, planował, że pojedzie do Stanów i może po jakimś czasie urządzi się i sprowadzi Basię. Ona będzie dbała o zaplecze, życie codzienne, a on będzie tańczył.

Taki świetnie zgrany tandem. Dziecko burzyło ten plan.

Nie wiedział, czy uda mu się zahaczyć na dłużej w Nowym Jorku.

Może przed nim znów żmudne pięcie się do góry i walka o chleb i o to, by tańczyć. Tam.

Może bez sukcesu.

Kto to wie?

Nie wiedział, jak mu się ułoży, a dziecko to zobowiązanie.

Miał zamiar, najszczerzy, wrócić, ale dopiero wówczas, gdy minie jego czas. Czas tancerza.

I wtedy, na spokojnie, może by i uległ i dał jej dziecko? I byłoby to też jego dziecko, bo miałby już dla niego czas, taki zwykły, ludzki czas...

Na emeryturze. Tak jak teraz.

A przecież emerytura tancerza to wciąż jeszcze pełnia życia, zajmowałby się choreografią i wychowaniem dziecka. O, tak.

Wtedy tak. Teraz tak. Ale wówczas nie...

Mogliby nawet kupić jakiś domek z ogródkiem. Chciałby mieć ogród.

Chodził tamtej nocy po mieszkaniu jak błędna owca i myślał: Może źle to Basi wytłumaczyłem.

Ona zrozumie. Musi.

Przecież kocha. Trzeba jeszcze raz jej powiedzieć, jak jest z nim i tańcem i że w tym wszystkim nie ma miejsca na dziecko.

Nie wiadomo, jak tam pójdzie, czy będą pieniądze i mieszkanie.

Ruszał w świat i nie chciał się obarczać obowiązkiem - dzieckiem.

Gdy tylko zrobiło się jasno, wybiegł z mieszkania i pomknął.

Nie na poszukiwanie Basi, ale na salę ćwiczeń.

Nie mógł teraz opuścić treningu, to było oczywiste.

Krysia już siedziała na stołeczku w rogu sali i sznurowała baletki. Zerknęła na niego spod oka:

- Wyglądasz, jakbyś pił całą noc.

- Nie piłem - powiedział, ale nie wyjaśniał. Czuł, że być może nie byłaby mu sojuszniczką.

Zaczęli ćwiczenia i wlokły się one straszliwie. Nie był w formie. Robił błędy w układzie, raz mało jej nie upuścił.

I Krysia się wkurzyła. Nie tolerowała braku profesjonalizmu.

- Marnujesz mój czas! - krzyknęła.

Miała rację.

Zmobilizował się, ale nadal szło mu kiepsko. Nie mógł się wystarczająco skupić. Cały czas myślał o Basi. Co z nią? Martwił się. Zwyczajnie i po ludzku.

W końcu dali spokój. Trening nie miał sensu. Był kompletnie zdekoncentrowany.

Co też ta Basia z nim zrobiła?

A jak wypadnie wieczorny spektakl?

Bał się o tym myśleć. Nigdy nie odwołano przedstawienia z jego powodu. Zastanawiał się poważnie, czy nie iść do dyrektora i nie poprosić o zastępstwo.

Ta Basia! Jak ona mogła zrobić mu coś takiego? Był profesjonalistą.

Wybiegł z opery i nawet wziął taksówkę, bo przecież wkrótce kolejna próba.

Pojechał do lekarza i tam dowiedział się, że nie zrobiła zabiegu. Uciekła.

Boże!!! Jak się wściekł. Nie miał czasu na takie rzeczy, na szukanie jej, na babskie nieuzasadnione historie. Miał swój cel, swoją pracę, swoje powołanie. A Basia, Basia chciała wszystko zburzyć, zniszczyć. Nigdy jej o to nie podejrzewał, nie sądził, że może się tak wobec niego zachować. Tak się z nim nie liczyć.

To było... nielojalne...

Poszedł do domu w nadziei, że wróciła. I okazało się, że jej nie ma. Gdzie mogła pójść? Nie wiedział.

Jak niepyszny powędrował do jej rodziców. Basia była z nimi w ciągłym konflikcie. Ojciec z matką szczerze się nienawidzili i bezustannie kłócili i szarpali.

Ojciec spotykał się z innymi kobietami, a matka piła. I rzeczywiście, gdy otworzyła Jankowi drzwi, nie wyglądała najlepiej, miała rozmazany tusz i czuł, że już była przynajmniej po kieliszku, a przecież nie minęło jeszcze południe.

- A to ty... - powiedziała z jakąś taką wzdargą, stojąc w otwartych drzwiach i lekko się chwiejąc. W rozmemłanym szlafroku i poplamionej koszuli nocnej pamiętającej lepsze czasy pasowała jak ulał do kobiet, które znał i pamiętał z melin na Skargi w Pabianicach. Stamtąd właśnie uciekł. Uciekł w balet.

I nie chciał wracać do tych wspomnień. Wiedział, że matka Basi ukończyła prawo i pochodziła z porządnej rodziny, takiej z tradycjami. Nie tak jak on. Gdy patrzył na nią, chwiejącą się w drzwiach, z jakimś takim głupim i tępym uśmieszkiem w kącikach ust, trudno było w to uwierzyć.

- Czy zastałem może u państwa Basię? - zapytał najpotulniej jak umiał i poczuł do siebie wzdargę, że się płaszczy i boi tej niechlujnej baby upijającej się już od rana.

- A czemu by miała być? Odkąd się zaczęła z tobą łądaczyć, u nas się nie pokazuje. Taka sama jak i jej tatuś! - prychnęła.

I już wiedział, że Basi tu nie ma i raczej nie będzie.

Podziękował i zbiegł po schodach. Gdzie też mogła być? Miał już tego dość, całej tej sprawy całkowicie niepotrzebnej. Myśląc o tym, jak to się dziwnie w życiu układa, że i w tym porządnym inteligenckim domu mają takie same problemy jak u niego, w melinie na Skargi, wszedł do baru mlecznego, który zauważył po drugiej stronie ulicy.

Był głodny, powinien zjeść coś lekkiego, o drugiej kolejna próba. Musi mieć siłę, kondycję.

Basia przez ten czas na pewno wróci do domu i trzeba będzie znów z nią porozmawiać. Miał dość całej tej sprawy. Naprawdę...

CZERWIEC 2008

Jan czekał na Basię w kawiarni, długo czekał, aż w końcu musiał wyjść, miał umówione kolejne spotkanie. Wiedział, że się jej nie doczeka, minęło dobre czterdzieści minut, a Basia przecież zawsze była taka punktualna. Widać to się zmieniło albo igra z nim...

Przyleciał do Polski, by z grupy uzdolnionej tanecznie młodzieży wybrać jedną parę i przygotować ją na międzynarodowy konkurs tańca.

Oddać to, co kiedyś zrobił dla niego Gary Brookes. Wiele lat obserwował, jak Brookes wyławiał i trenował młodych ludzi ze wszystkich stron świata, począwszy od Rumunii aż po Irak, Albanie, Rosję i nawet Mongolię. Prawie z każdego warsztatów odbywających się w różnych częściach globu, na które chętnie i łatwo dawał się zapraszać, jeśli tylko czas mu pozwalał, Gary Brookes przywoził młodych utalentowanych tancerzy. Dzięki morderczemu treningowi tworzyli później zgrany, pełen inwencji i zapału zespół ludzi. Tym, co ich łączyło, był taniec i miłość do niego najczystsza, ponad wszelkimi podziałami, ponad granicami. Nie byli Rosjanami, Żydami czy Arabami - oni byli tylko i po prostu wyłącznie tancerzami.

Ich ojczyzną był Taniec.

Zespół Brookesa był dziełem jego życia, nie mniejszym niż te fantastyczne balety, które tworzył. Jan nieomal każdego dnia dziękował Bogu, że miał to niezwykle szczęście spotkać na swej drodze Gary'ego, a ten go zauważył.

Ale to, że Gary go zauważył, nie było dziełem przypadku.

On na to zapracował. Całym swoim wcześniejszym życiem.

I miał do tego ten łut szczęścia, który zawsze jest potrzebny.

Gdy siedział na Korfu i zastanawiał się, co dalej robić, jak żyć po kontuzji, która ostatecznie zamknęła mu drzwi do tańca, wpadł na pomysł, by powielić to, co robił Brookes, iść w ślady mistrza, teraz, gdy Brookes odszedł zabrany przez AIDS i jego miejsce pozostawało puste, i Jan mógłby dalej robić to, co po tylu latach pracy w jego zespole wydawało mu się teraz najwartościowsze -uczyć i promować młodych zapaleńców, takich jak on sam kiedyś.

Balet Brookesa prowadził obecnie Jerry Adams i był tego godny, był najlepszy, Jan mu to bez zawiści (choć z lekkim bólem w sercu) przyznawał. Jerry jednak skupił się na balecie, na zespole, który już był, gotowy, uformowany i perfekcyjny. Adams nie miał temperamentu nauczyciela.

Jan zaś, drugi po Bogu w zespole, jak czasem żartowali z Jerrym, miał wiele do przekazania. Mógł też wybrać inną opcję, czyli zająć się po prostu choreografią. Kilka nader interesujących propozycji pojawiło się natychmiast po wypadku i nie miał zamiaru z nich zrezygnować. Odłożył je po prostu na później.

Najpierw postanowił wrócić do kraju. Od dawna chciał dołożyć swoją cegiełkę do tego, czemu kibicował z oddali. Do tej wielkiej zmiany, o której słyszał niemal co dnia w NBC czy CNN.

Ale póki tańczył, nie mógł.

Miał kalendarz zapisany umówionymi terminami i spektaklami na ładnych parę lat do przodu.

I nagle to wszystko rozpadło się jak domek z kart. Jeden niefortunny skok i znalazł się w gipsie.

I nagle miał czas. Dużo czasu. Właściwie czas bez końca.

Do końca.

Pojechał na Korfu, gdzie przed laty kupił sobie ładny bungalow i gdzie czasem przylatywał naładować akumulatory. Postanowił pomyśleć, co dalej i jak dalej. I wyszło mu z tych rozmyślań, że chciałby do Polski.

I chciałby znów zobaczyć Basię i co dziwne, nawet tę nieznaną córkę, o której myśl zawsze tkwiła gdzieś w podświadomości, bo na co dzień nie zaprzętał sobie nią głowy.

Życie i sprawy tak gnały.

To, co kiedyś i tam, nie liczyło się wcale.

Nagle zatęsknił. Nagle wszystko wróciło.

Na tym cudownym Korfu, o którym można marzyć w snach, zatęsknił za Polską, za Basią i zapragnął nawet zobaczyć to dziecko, swoje dziecko, zupełnie nieznanne, własne dziecko.

Podejrzewał, że tęsknota, która go opanowała, mogła w nim tkwić od lat, zepchnięta w podświadomość. Nie pozwalał jej nigdy wyjść na powierzchnię, bo przecież mogłaby mu przeszkodzić, zburzyć świat, który zbudował wokół siebie. Zawsze budował jakiś świat, bezpieczny świat, pozwalający funkcjonować i przede wszystkim tańczyć. Cel, który sobie wyznaczył, i żmudne dążenie do niego pozwalały żyć w miarę normalnie, stabilnie i nie pamiętać o koszmarze dzieciństwa

w pijackiej melinie. Koszmarze dziecka niekochanego, niepotrzebnego i niechcianego. A potem też o tej historii z Basią i jej ciążą.

Nie miał w sobie miłości do ofiarowania. Wiedział to, kiedyś mu to zabrano czy może nie dano, nie pokazano, nie nauczono.

A może to wada genetyczna? Kto wie? Pętał się przez kilka lat po klatkach schodowych i strychach, chowając przed brutalnym ojcem i matką, co umiała tylko wrzeszczeć i bić. W końcu ktoś doniósł do opieki i piekło się skończyło. Zabrano go do domu dziecka, podobnie zresztą jak troje czy nawet więcej jego rodzeństwa, o którym wiedział, że istnieje, ale nic poza tym.

I tam, w domu dziecka, trafił na panią Madzię, niespełnioną tancerkę. Nagle okazało się, że coś umie, coś potrafi, w czymś jest dobry, lepszy od innych. W tańcu. Potrafił tańczyć.

Poświęcił mu całe życie i taniec odwdzieczył mu się za miłość, którą go darzył. Dostał od losu to, czego potrzebował. Podziw, aprobatę i nawet miłość.

Czy gdyby nie taniec, spotkałby Basię?

On, chłopak ze Skargi w Pabianicach?

Nie chciał dziecka. Nie czuł w sercu takiej potrzeby i wiedział, że nie potrafiłby kochać. Kalectwo. Może to było kalectwo.

Zdawał sobie z tego sprawę, ale nic nie mógł na to poradzić. Starał się nigdy nie myśleć ani o Basi, ani o tej dziewczynce. I udawało mu się to. Bez problemu. Był zawsze taki zajęty.

A na Korfu, po kontuzji, znalazł się nie w swoim świecie, tylko poza nim. Wtedy Basia, ich dziecko i wszystkie ukryte marzenia i pragnienia wróciły.

I nagle pojawił z niezwykłą jasnością, że nadszedł czas, na który zawsze czekał ze strachem i obawą -czas wolności i realizowania marzeń.

Czas powrotu i czas wyjścia. Tylko on nie miał wielkich marzeń. Balet był jego jedynym marzeniem, może nawet i obsesją. Innej pasji czy marzenia po prostu nie miał.

I nic nie miał.

Wokół niego zrobiło się pusto.

Chciał jednak wrócić. Tam, skąd wyszedł.

Chciał zobaczyć Basię. Wejść, jakby nigdy nie wychodził, dotknąć jej i się przytulić. Chciał, by go przytuliła i by było tak jak kiedyś.

Dobrze, ciepło i miło.

I znów może pomóc jakiemuś chłopcu stamtąd zmienić los, by łańcuch rozpoczęty przez Gary'ego trwał.

Wiedział, nie był w końcu idiotą, wiedział, że marzenia o Basi po tylu latach są nierealne.

Gdy on tańczył, czas nie stał w miejscu, rzeczy się działy i Basia już jest w innym punkcie, dziecko dorosło, gdy on w tym czasie robił tylko jedno -tańczył.

Jego czas stał, ich czas biegł do przodu.

Tęsknił. Teraz, gdy sobie na to pozwolił, poczuł, że tęskni, i to jak. Było to irracjonalne. Bo za czym tu tęsknić?

Wyjechał w stanie wojennym z porażającej brzydotą ojczyzny, szarej, burej, zasnutej mgłą i siąpiącym deszczem, mając pod powiekami obraz zaropiałych slumsów Pabianic. I na tym cudnym Korfu, wyspie ze snu Szekspira, zamarzył, by wrócić.

I wrócił.

Do zupełnie innego miejsca i innego czasu.

Do kraju, który się rozwijał, który był wolny, ale ciągle jeszcze zapóźniony. Podobny do tego, który kiedyś zostawił za sobą, ale jednocześnie tak różny.

Kraju, w którym była jego córeczka. I Basia.

STYCZEŃ 1984

Chicago

Hania. Miała na imię Hania.

Tak mu napisała Basia w liście.

Gdy przyszła na świat, tańczył, o ile pamiętał, w Chicago. Mieli tournee i był podekscytowany, że będzie mógł poznać legendarną Ruth Page, wielką kreatorkę tańca, uczennicę Pawiowej.

Ale zapomniał o wszystkim, gdy dostał list. List od Basi. Tak się cieszył, szalał z radości, sam nie wiedział czemu.

Miał córkę.

Basia napisała!

Cieszył się, to prawda. Ale nic z tego nie wynikało.

Być może Basia liczyła, że rzuci wszystko i przyjedzie. Ale to było absolutnie niemożliwe. Miał już wtedy podpisane kontrakty na najbliższe lata. Usiłował jej to jakoś wytłumaczyć. Pisał list za listem, a każdy darł i wyrzucał. Nie mógł napisać, że się cieszy.

Nie cieszył się. Ucieszył się. A to co innego. Ucieszył się z listu i wieści. Od Basi.

Ale z dziecka się nie cieszył. Dziecko, które urodziło się w świecie, który porzucił i zostawił za sobą, było dla niego czystą abstrakcją.

Realna była Basia.

Basia, która go zdradziła dla tego dziecka i odrzuciła. To bolało.

Nie wiedział, co miałby jej napisać. Każde słowo brzmiało fałszywie i kłamliwie. Próbował kłamać. Ale nie chciał kłamać. Był ponad to. Chciał napisać, że tęskni. Za Basią. Ale nie mógł. Bał się.

Chciał jej pokazać, że nie popełnił błędu, wybierając taniec.

Każdy jego dzień w czasie tych pierwszych miesięcy w Nowym Jorku był nieustannym zachwytem. Euforia nie opuszczała go ani na chwilę. A nawet więcej - doznał szoku. Wszystko było cudowne, niezwykle i porywające.

Zdawało mu się, że śni.

To ona popełniła błąd, Basia, wybierając dziecko, nie on - wybierając Nowy Jork.

W końcu listy, beznadziejne, nieskładne, obrażające i pełne żalu albo obojętne, zakłamane i głupie, wszystkie te nazbyt emocjonalne listy wyrzucił.

Do pudełka zapakował po prostu trochę zdjęć i programów i wysłał jej, by zobaczyła, że odniósł sukces i zaszedł daleko.

Że nie popełnił błędu.

Nie umiał pisać.

Był tancerzem.

A Basia nawet nie odpowiedziała.

Napisał do niej potem raz czy dwa kilka słów z prośbą o wieści o niej i dziecku, oferował pomoc, ale nigdy się nie doczekał słowa, ani jednego.

Zrozumiał, że już jest dla niej obcy, że może ma innego, inne życie. Odrzuciła go. Nie chciała mieć z nim nic wspólnego. To zabolalo. Bardzo zabolalo. Ale stłumił ból, tak jak tłumił wspomnienia, uczucia i potrzeby. I zapomniał. Wyrzucił Basię oraz tę nieznaną i niechcianą Hanię z pamięci.

Raz tylko, po kilku latach, gdy jeden z jego przyjaciół powiedział przy lunchu, że leci do Warszawy, wróciły wspomnienia, i jakoś zapragnął być na jego miejscu i polecieć. Poprosił George'a, by zajrzał do Basi i przekazał prezent dla małej -strój baletnicy z różowych i białych tiulów. Słodki i uroczy. Mała miała wtedy cztery latka, jak obliczył.

Różowości akurat wpadły mu w oko, gdy szedł na spotkanie z George'em. Jak na zawołanie.

Kupił strój baletnicy na Fifth Avenue, co znaczyło swoje, więc kosztował zaiste majątek, ale przecież to nie było ważne, pieniądze nigdy nie były dla niego ważne. Nie umiał ich wydawać, nigdy nie miał na to dość czasu.

Strój baletnicy był dla Jana jakby znakiem. Czekał na tej wystawie, jak się zdawało, właśnie na niego.

Może Basia, gdy zobaczy kostium, wybaczy mu?

Może Hania, wkładając te cudne zwiewności, za każdym razem pomyśli o ojcu?

Może zacznie tańczyć? Kto wie?

Tak, poczuł, że ten kostium jest znakiem, więc kupił go. Zapakowano go w szeleszczące bibułki i w pięknym różowym pudle pofrunął wraz George'em do Warszawy, do jego córki.

Na próżno pofrunął. Nie był żadnym znakiem.

George nie odnalazł Basi i Hani. Nie mieszkały już pod adresem figurującym na kopercie ostatniego i jedyne listu.

Tego z zawiadomieniem o narodzinach dziecka, dziewczynki, Hani.

Gdzie była Basia, nie wiedział.

George przywiózł jednak coś bardzo cennego -zdjęcie.

Zdjęcie tej dziewczynki, Hani. Dała mu je dozorczyńni domu, gdy zgodnie z jego prośbą zaczął wypytywać o Basię i dziewczynkę.

Skąd je miała, nie wiedział, ale ofiarowała je lekką ręką jemu, ojcu.

Odtąd to zdjęcie leżało w najgłębszej szufladzie komody, tej, do której sięgał najrzadziej.

Z biegiem lat myśl o Basi i o tym nieznanym dziecku powoli zacierała się w jego pamięci. Jeździł po świecie, tańczył, ale nigdy jakoś drogi nie zaprowadziły go do Warszawy.

Widać nie było mu to sądzone.

Tam, w Polsce, balet tkwił w miejscu, nie rozwijał się. Nie było pomysłu czy też potrzeby, a może po prostu pieniędzy na zapraszanie słynnych zespołów baletowych takich jak balet Brookesa.

Choć gdyby ktoś w Polsce ich chciał i wyszedł z taką propozycją, Jan zrobiłby wszystko, aby doszła do skutku i by przylecieli całą ekipą tańczyć w kraju.

Jednak takie zaproszenie nigdy się nie pojawiło.

Był znany na całym świecie, w zespole miał ustaloną pozycję solisty, gwiazdy. Nawet i w Polsce, jak mu donoszono, pisano o nim niekiedy jako o legendzie tańca, najwybitniejszym polskim tancerzu na emigracji.

Tańczył przez całe lata pierwsze partie, na najlepszych scenach operowych i koncertowych, zajmował się tańcem nowoczesnym, który był jego największą pasją. Tworzył choreografie rzucające na kolana recenzentów muzycznych wszystkich europejskich i co bardziej opiniotwórczych gazet amerykańskich. Odniósł sukces, udało mu się.

Poznawał też piękne kobiety, a jakże.

Nie był mnichem czy ascetą. Nic z tych rzeczy. Miał romanse, ale z nikim nie związał się na stałe. Ta historia z Basią była mu nauzką.

Nie miał wiele do zaoferowania kobietom, wiedział to.

Czasu, uwagi, czułości. To one przeważnie odchodziły. A niekiedy i on sam zrywał czy po prostu wyjeżdżał i się nie odzywał... bo zapominał.

Tak miał. Po prostu. Jak marynarz... może? Jego życiem był balet, taniec. I dobrze mu z tym było.

Aż do momentu wypadku.

Pustka, która nastąpiła, bezruch związany z gipsem spowodowały, że miał czas na myślenie, czas, którego przedtem nie miał, bo mieć nie chciał.

Taka była prawda.

Zaczął wspominać, myśleć i wymyślił. Postanowił przylecieć do Polski i wytrenować ekipę na konkurs, a przy okazji poszukać Basi.

To była sprawa z przeszłości, niedokończona, niezamknięta, bo przecież istniała dziewczynka. Córka. Jego córka.

Basię udało się łatwo znaleźć. Rysiu Minc ciągle pracował i robił te swoje chałturki, choć teraz może z innych okazji, i wiedział, gdzie się Basia obraca. Bez zbędnych pytań i ceregieli dał mu telefon i adres.

Jan, gdy tylko wylądował, zadzwonił.

A Basia nie chciała z nim gadać.

Najpierw rzuciła słuchawkę. Potem nie podnosiła. W końcu, po długich negocjacjach i prośbach, zgodziła się porozmawiać z Hanią i się z nim spotkać.

Zupełnie nie jak dawna Basia. Taka była kiedyś miła i... łatwa.

Nie łatwością dziewcząt, tylko łatwością osoby prostej, dobrej, niewyrachowanej - taka była jego Basia.

A teraz nie chciała z nim nawet rozmawiać.

Jak widać, zmieniła się.

Tkwił w tej kawiarni jak głupi prawie czterdzieści minut, a ona nie przyszła. Przecież nie zrobił jej nic złego.

Myślał, że się ucieszy, tak jak on się cieszył na myśl o spotkaniu z nią. Musiała się bardzo zmienić...

STYCZEŃ 1984

Warszawa

Gdy pierwszy raz przyniesiono Basi Hanię do karmienia, spojrzała na nią, na jej twarz i zobaczyła Jana.

Hania miała te same wijące się lekko włosy, czarne oczka, ciut zapuchnięte, ale bez wątpienia jankowe, oraz dołek na brodzie i policzku. Była taka piękna.

Gdy już zinwentaryzowała jej łapki i nóżki, rozwijając ją ukradkiem z becika, w który była okutana - sama się wzruszyła tym maleństwem i sobą w tym wszystkim.

Pocałowała Hanię w czołko i obiecała jej, że zawsze będzie przy niej i dla niej.

A nie było to łatwe.

Ze szpitala nie chciano jej wypisać.

Po prostu.

Taki był wymóg, że samotną matkę ktoś musiał odebrać i ten ktoś musiał podpisać oświadczenie, że się nią i dzieckiem zaopiekuje.

Basia nie miała nikogo.

Matki nie chciała prosić, ani tym bardziej ojca, o którym zresztą wiedziała, że ostatecznie wyprowadził się z domu i to nie wiadomo gdzie. Pewno do niej, do tej dziwki - wykrzyczała jej kompletnie pijana matka, gdy po długim wahaniu poszła do niej z jakąś bezrozumną nadzieją, że jej pomoże. Wesprze.

O tej wizycie wołała zapomnieć.

Nie była z siebie zadowolona. Na obelgi, którymi ją matka zasypała, odkrzyknęła coś, czego się potem wstydziła.

Już dawno temu obiecała sobie, że nie da się matce wyprowadzić z równowagi nigdy i pod żadnym pozorem.

Nie da się sprowadzić do parteru i nie będzie się wdawać w pyskówki i przepychanki pozbawione sensu i co gorsza, smaku.

Ale nie udało jej się dotrzymać słowa.

To widać hormony, nerwy, a może nawet i geny. Wołała o tym nie myśleć, ale wykrzyczała matce o pijaczkach i ryszotku i wyleciała, trzaskając drzwiami.

Mama, jak podejrzewała, pewnie już tego nie pamiętała, bo była pijana jak mrówka, co wpadła do kadzi z winem porzeczkowym, ale Basia pamiętała. Słowa, i matki, i swoje. Nie chciała prosić, by przyszła do szpitala, nie chciała, by ją tu zobaczono.

Wystarczy, że Basia była panną z dzieckiem, niepotrzebna jej babcia pijana lub skacowana. No, element... - każdy wyciągnie taki wniosek, gdy

zobaczy wchodzącą na salę jej wiecznie napraną mamusię.
Tego nie chciała.
Wstydziła się.
Leżała zatem sama jak palec, nikt do niej nie przychodził.
Inne dziewczyny miały wokół siebie mamy, ciocie, babcie,
przyjaciółki i przede wszystkim facetów.
Mężów.
Na stolikach stały kompoty, soki i nawet obiadki domowe.
A u niej samotna książka.
Aśka, pechowo, akurat wyjechała na narty.
W końcu, gdy odmówiono Basi wypisu, po długim namyśle,
kogo poprosić o ratunek, zadzwoniła do dozorczyńni bloku, w
którym mieszkała u Aśki.
Szczęśliwie miała jej numer w notatniku i pani Danuśka
zgodziła się przyjechać i podpisać stosowne papiery, że się nią
zaopiekuje.
Kamień spadł Baśce z serca.
Wydostała się ze szpitala.
Z przejętą panią Danką, podtrzymującą ją i krzątającą się przy
niej jak kwoka przy kurczaczku, Basia przyjechała wreszcie do
mieszkania. Gdy z dużym trudem weszła na szóste piętro,
dzielnie niosąc Hanię zamotaną w koc przywieziony przez
dozorczynię do szpitala, a zdarty z jej łoża małżeńskiego, a za
dozorczynią w roli siostry miłosierdzia zamknęły się drzwi,
Baśka rozryczała się jak jakieś małe dziecko. Nie wiedziała, co
dalej.

Nie minął jednak nawet kwadrans, gdy ponownie zjawiała się pani Danka z garnuszkiem pełnym rosółku z kluseczkami.

A po chwili przyszła inna sąsiadka, spod dwudziestki, niejaka Jelonkowa, której kiedyś Basia pomogła nieść zakupy na piąte piętro i troszkę się z nią zaznajomiła. Jelonkowa zastukała, by zapytać, czy Baśce czego nie przynieść, bo właśnie do sklepu idzie...

Widać dozorczyńni musiała jej opowiedzieć, że ona tu sama i bez niczego i nikogo. Jelonkowa kupiła tych kilka rzeczy, o które Basia poprosiła, przyniosła je i bardziej wtargnęła, niż weszła do mieszkania, jako że Baśka wcale a wcale jej dalej nie prosiła.

Weszła i rozejrzała się wokół bystrym oczkiem. Policzyła chyba wszystkie krzesła i stoliki, nie zapominając o obrazkach, a potem zainteresowała się dzieckiem, pogugała przez chwilę do małej, patrzącej na nią nader poważnie, i powędrowała do kuchni, pod pretekstem napicia się wody, poszurała tam troszkę i poszła.

Nie minęła kolejna godzina, gdy z drzemki, w jaką Baśka zapadła, obudził ją dzwonek do drzwi.

Począpiała do nich z trudem, bo szwy rwały ją przeokrutnie, i ze zdumieniem zobaczyła na progu Józefa Jelonka, znanego jej z widzenia, malutkiego męża Jelonkowej, z drewnianym łóżeczkiem pamiętającym lepsze czasy, w mało poręcznych do noszenia kawałkach.

Jelonek wyjrzał zza tej sterty drewna i zaraportował:

- Stara mnie do pani przysłała. U nas się to pęta już nie wiadomo ile czasu i tylko zawadza, a pani się może zda. Stara mówi, że pani nie ma ani łóżeczka, ani wózek. To po naszej Eluni - dodał wyjaśniająco.

Elunia była córką Jelonków trudniącą się najstarszym zawodem świata i miała już dobrze około czterdziestki.

Basia osłupiała, zaczęła nieskładnie dziękować, ale Jelonek tylko machnął ręką, zupełnie jej nie słuchając, wszedł jak do siebie i zapytał, gdzie to łóżeczko postawić.

Przestraszona, rozejrzała się niepewnie i już nie protestując, wskazała miejsce pod oknem tuż koło swojego tapczaniku, na którym właśnie spała z Hanią zamotaną w koc dozorczyńni.

Pokój miał z sześć metrów powierzchni i aby postawić łóżeczko, Jelonek wyrzucił stoliczek nocny i jedyne krzesło.

No, ale właściwie po co jej krzesło i stoliczek.

Teraz miała dziecko.

Ledwie za Jelonkami zamknęły się drzwi - bo i Jelonkowa wpadła sprawdzić, jak się jej stary sprawił z tym łóżeczkiem - Basia ułożyła małą na materacyku przykrytym ręcznikiem, opatuliła swoim poncho, bo kaloryfery coś mamie grzały, i padła spać.

Spała i spała.

Aż w końcu obudził ją płacz Hani, przeraźliwy i rozpaczliwy.

Noc była ciemna, a dziecko łkało, aż się dusiło. Baśka zerwała się jak chłośnia biczem, ale natychmiast usiadła. Szwy ciągle bolały.

Już wolniej i rozważniej sięgnęła do łóżeczka i wyjęła Hanię. Co teraz? Nie wiedziała.

Spanikowała na moment. Nikogo w domu, tylko ona i dziecko.

Ale skupiła się i wpadła na pomysł, by zajrzeć, czy aby siusiu nie ma. Oczywiście było.

Przewinęła małą - szczęśliwie pieluchy tetrowe kupiła już miesiąc temu, całe dwadzieścia sztuk z przydziału przysługującego młodym matkom - i buźka Hani, pocałowanej w brzuszek, suchej i przewiniętej, uspokoila się w okamgnieniu, a po chwili, kiedy Basia przyłożyła ją do piersi, pojawił się na niej taki wyraz szczęścia, spokoju i słodczy, że Baśka poczuła łzy w oczach i pomyślała:

Szkoda, że Jaś tego nie widzi.

Nakarmiła małą piersią i patrzyła na nią długo i czule, aż w końcu obie zasnęły przytulone do siebie...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Hania czaiła się. Za kolumną. Dobrze, że tych kolumn w hotelu nie pożałowano. W rękę trzymała gazetę, za którą się chowała, i bacznie obserwowała wchodzących i wychodzących gości.

Jakaś siła, najpewniej zła, przywiodła ją do tego miejsca, gdzie właśnie wygłupiała się na całego.

Chciała zobaczyć swego ojca. Nie mogła się powstrzymać.

Oczywiście ciekawość to pierwszy stopień do piekła, wiedziała to świetnie. Zafundowała sobie oto małe prywatne piekielko.

Recepcjonista zza ogromnego i imponującego kontuaru popatrywał na nią drwiąco. Już zdążyła mu podpaść, wypytując dość namolnie o słynnego Jana Kettlera. Nie udzielił jej żadnych informacji, tylko podśmiewał się z niej w duchu, i nie tylko w duchu, bo w jego oczach widać było kpinę, gdy spoglądał na Hanię z wysokości wielce prestiżowego stanowiska pracy.

Niech sobie myśli, co chce.

Hania chciała zobaczyć wyrodnego tatuśka.

I już.

Znowu zerknęła w stronę windy. Jak na zawołanie drzwi się otworzyły i zobaczyła w nich Kettlera.

Tak o nim myślała - Kettler.

Chwilę się zawahała, ale ruszyła w jego kierunku - niech się dzieje, co chce.

Pogada z nim. Zapyta. Albo i wykrzyczy.

W końcu mu się należy. Gdy pod wpływem impulsu zrobiła dwa pierwsze kroki, do Kettlera, no do ojca, podbiegła dziewczynka, mała śliczna dziewczynka. Złapała go za rękę jak swojego, a on się do niej uśmiechnął, nachylił, coś zagadał i wziął ją w ramiona.

W ślad za dziewczynką pojawiła się też kobieta, zapewne jej matka, młoda, ładna, niewiele starsza od Hani, ubrana dość ekstrawagancko, ale widać, że spokojna i z klasą.

Hania znieruchomiała.

Kobieta uśmiechnęła się i coś powiedziała, a Kettler kiwnął głową raz i drugi, że tak, że się zgadza i wszyscy troje poszli do sali konferencyjnej, gdzie czekał na nich widoczny przez szeroko otwarte drzwi tłum dziennikarzy.

Hania, jak zahipnotyzowana, poszła za nimi.

Było jej gorzko, bardzo, bardzo gorzko. Kettler najwyraźniej miał nową rodzinę. I nową córeczkę. I młodą żonę, za młodą, pomyślała Hania.

Rozejrzała się półprzytomna.

Konferencja prasowa.

Otrząsnęła się i *wróciła do* realnego świata.

Zapomniała o tej konferencji.

Właśnie.

To też była niesamowita historia.

Może teraz tylko takie będą się jej przytrafiać?

Żyła tak spokojnie, a tu naraz spotkało ją tyle dziwnych rzeczy.

Przedwczoraj, gdy jeszcze nic nie wiedziała o Kettlerze, nawet że ktoś taki istnieje, naczelny zlecił jej napisanie tekstu o European Show Dance. Wtedy po raz pierwszy usłyszała zarówno nazwę tego konkursu, jak i nazwisko: Kettler.

Niezbyt chętnie, ale zgodziła się napisać tekst. Szefowi się nie odmawiało. Hania nie miała blade-

go pojęcia o balecie, o czym nie omieszkała naczelnego poinformować.

Remek Zawada stwierdził, że to nie problem.

Dziennikarz to człowiek do wszystkiego, nie musi wiedzieć, by pisać.

Na tym polega profesjonalizm.

Podobno.

Co miała powiedzieć na takie *dictum!* Tylko pokiwała głową, co mogło oznaczać wszystko.

Czuła się beznadziejną amatorką, ale skoro trzeba, to trzeba, napisze o tym Kettlerze i o konkursie.

Dopiero rozpoczynała pracę zarówno w zawodzie, jak i w tej właśnie gazecie, której szefem był najbliższy przyjaciel Sławka, jej narzeczonego.

Powinna się wykazać, wiedziała to dobrze. Znalazła się w niezręcznej sytuacji jako dziewczyna i protegowana kolegi. Powinna być podwójnie dobra. *Poczwórnice*.

Może skupi się na człowieku i motywacjach, tak myślała wczoraj, gdy wyszła z redakcji.

I tak myślała dziś, gdy już wiedziała, że słynny Jan Kettler jest ni mniej, ni więcej, tylko jej własnym ojczulkiem.

Ależ to życie pisze scenariusze!

Sama by tego nie wymyśliła.

Wciąż jednak kołatało jej w głowie słowo - motywacje. Tak. Może trochę w innym kontekście. Skupi się na motywacjach.

Proste pytania, a pierwsze - dlaczego?

To jednak będzie temat, pierwszy duży tekst i od razu o odnalezionym ojcu.

Z drugiej strony pomysł artykułu był teraz jak znalazł. Miała znakomity pretekst, by poobserwować tego pana Kettlera i dowiedzieć się, jakim był, jakim jest człowiekiem.

I jakie miał - właśnie - motywacje. Czemu?

Hania poprawiła ciemne okulary, które oczywiście jak każdy profesjonalny agent wywiadu miała na nosie, i uplasowała się dyskretnie w rogu pokoju prasowego, za kolejną kolumną.

Dzięki ci, panie architekcie, za kolumny na sali konferencyjnej - powiedziała sobie w duchu i oddała się uważnemu kontemplowaniu swojego wyrodnego tatusia.

Był przystojny. Opanowany. Podobnie jak ta druga.

Nie polubiła tej drugiej. Sama nie wiedziała dlaczego. A może wiedziała. Tylko nie chciała się przyznać, nawet przed sobą.

Kettler i ta pani usadowili się wreszcie za stołem. Mała usiadła grzecznie, nad podziw spokojnie w samym narożniku i coś tam z wysuniętym języczkiem mazała na podsunętej kartce.

Siostra?

Czyżbym miała siostrę? Na to wygląda, pomyślała Hania. I zrobiło jej się naprawdę dziwnie.

Szum i gwar powoli przycichły, podobnie jak odgłos dzwonu w pobliskim kościele.

Gdy tylko wybrzmiało ostatnie uderzenie, moderator prowadzący konferencję bez zbędnych

wstępów wskazał na pierwszego z brzegu dziennikarza z gorliwie podniesioną ręką.

Chłopak w wyciągniętej koszuli w zielone zygzaki zadał pierwsze pytanie, a Hania zamieniła się w słuch.

- Prasa określa pana jako jednego z najwybitniejszych choreografów ostatnich dwudziestu lat. Według „Dance Variety” pana dokonania rozpoczynają XXI wiek w tańcu, a taniec po Janie Kettlerze nie będzie taki sam jak przedtem.

- Prasa kłamie - zaripostował błyskawicznie Kettler, ale ten dowcip, dość wyświechtany, jak oceniła Hania, jakoś jej nie bawił, choć gdzieś tam słychać było śmiechy zgromadzonych żurnalistów.

Widać masochiści, myślała sobie z przekąsem.

Hania była zdecydowanie nastawiona anty.

Coś jej ten Kettler nie pasował.

W ogóle nic jej nie pasowało.

Dziennikarz, który zadał pierwsze pytanie, nie-zrażony uśmiechał się przypoehlebnie i kontynuował:

- Ma pan przygotować parę, która będzie nas reprezentować na European Show Dance. Jakie będą kryteria wyboru?

Jan Kettler chwilę milczał, przyglądał się swoim paznokciom, a potem powiedział krótko i sucho:

- Bezwzględne.

Hanię przeszedł zimny dreszcz. Myślała nasrożona: Wygląda na takiego. Właśnie takiego. Bezwzględnego. Tak.

Inny dziennikarz, któremu udzielono głosu, rzucił pytanie:

- Podobno podjął się pan tej pracy za darmo? Trudno w to uwierzyć, gdyż o pańskich honorariach krążą legendy. Jeśli tak, to dlaczego?

- Może mam tu jakieś długi do spłacenia? A może to po prostu... kaprys?

Dziennikarze się śmiali, ale Hania ciągle była poważna. Jej to nie bawiło. Słuchała i usiłowała coś ze słów ojca wyczytać, rozpoznać, jakim jest człowiekiem.

Widziała jego podobieństwo do siebie, oczy, owal twarzy, mimika, i to jeszcze bardziej ją mroziło, napawało przerażeniem, a każda jego odpowiedź wydała jej się na przemian to głupia, to podła, to napuszona.

Albo płytka. Tak.

Do mikrofonu znów dostał się pierwszy dziennikarz, ten w rozchełstanej koszuli, jakiś nadgorliwiec widać, i dalej wypytywał:

- Czy para tancerzy, których pan wybierze, ma szansę wygrać European Show Dance?

Ojciec.

Nie.

Kettler.

Kettler zmarszczył brwi.

- Państwa interesują tylko wygrani lub przegrani. No tak, od kiedy Grecy wymyślili igrzyska, nic się nie zmieniło. Może ktoś jednak chciałby dowiedzieć się czegoś o tańcu?

Dziennikarze zareagowali śmiechem, a jeden z nich, ten, który zadał pytanie, szybko je uściślił:

- Miałem na myśli to, że podobno wszyscy, którzy wychodzą spod pana ręki, wygrywają.

- Rzeczywiście, podobno. Dziennikarze się zaśmiali.

Z czego oni się śmieją - znów nabzdyczyła się Hania. - Facet w ogóle nie jest zabawny. Ani sympatyczny.

Padło następne pytanie.

- W takim razie jak, według Jana Kettlera, brzmi definicja tańca?

Kettler przez chwilę się skupił, zamyślił się i odpowiedział. Tym razem poważnie, bez tego sardonicznego grymasu, który tak raził Hanię:

- Taniec jest jak muzyka lub malarstwo: nie ma celu. Ale czy możemy żyć bez tańca? Nie. Tak samo jak nie możemy żyć bez sztuki. To jest powietrze, którym oddychamy. Dlaczego chcemy malować, dlaczego chcemy tańczyć? Dlaczego chcemy robić coś po nic? Dlaczego chcemy kochać? Bo tylko wtedy nasze życie jest pełne. Taniec jest więc językiem duszy, pozwala wyrazić czystą radość życia. W tańcu nie ma żadnych ograniczeń. Nawet małe dzieci, nieskładnie machając kończynami, wyrażają swój zachwyt życiem i tańczą, bo wciąż pamiętają rytm bicia serca swojej mamy.

- To znaczy, że każdy może być tancerzem?

- Tańczyć mogą wszyscy, oczywiście. Tancerzami zostają nieliczni. Jeśli chcesz być profesjonalnym tancerzem, musisz nie tylko polegać na emo-

cyjach i duszy. Musisz się poddać morderczemu treningowi, który i tak nie daje gwarancji na sukces.

Dziennikarze przekrzykiwali się pytaniami i trudno było je wyłapać w narastającym hałasie. Sytuację porządkował prowadzący i wskazał na stojącą z przodu młodą kobietę w szafirowej bluzce.

- Bardzo proszę, pani.

- Nie wyjaśnił pan, dlaczego w Polsce pracuje pan za darmo.

Kettler przelotnie popatrzył na swoją partnerkę, czy nawet żonę, co Hania natychmiast zarejestrowała. Z niechęcią.

Wymienili spojrzenia nic nieznaczące, a może i znaczące, ale trudne dla Hani do rozszyfrowania, i Kettler spokojnie odpowiedział:

- Ponieważ chcę dać szansę młodym ludziom z Polski, żeby nie musieli z tylu rzeczy rezygnować, by się przebić, jak to było w moim przypadku. Czasami wystarczy tylko lekko kogoś nakierować, aby bardzo mu pomóc. Okazuje się, że żeby być dobrym czy nawet wyjątkowym tancerzem, nie trzeba poświęcać wszystkiego. Ja tę prawdę odkryłem sam dla siebie niestety zbyt późno.

- Tak wiele poświęcił pan dla tańca?

- Dziś jestem pewien, że zbyt wiele.

- Czy jest problemem dla choreografa, że wielu tancerzy to geje?

- Wielkim problemem są osły, które zostają dziennikarzami.

Dziennikarze wybuchnęli śmiechem.

- Czy to prawda, panie Kettler, że zostawił pan w Polsce rodzinę? - pada pytanie z głębi sali.

Hania gwałtownie się odwróciła, by zobaczyć, kto je zadał, ale pytający już skończył mówić, więc nie mogła go zlokalizować.

Skąd wie... - tłukło jej się po głowie i z drzeniem w sercu czekała na odpowiedź Kettlera, ale ten tylko zmarszczył brwi, pominął pytanie i wskazał na kolejnego dziennikarza.

- Proszę.

Konferencja toczyła się jeszcze przez czas jakiś, padały pytania mądrzejsze i głupsze, aż w końcu czas przeznaczony na ich zadawanie minął, prowadzący podziękował zgromadzonym dziennikarzom i Kettler wyszedł, niosąc na ręku dziewczynkę, a za nim szła jego partnerka. Hania śledziła ich wzrokiem, z goryczą w sercu i ściśniętym gardłem.

Ileż to razy zazdrościła koleżankom ojców, a teraz widzi swojego ojca.

Tak czułego i miłego dla drugiego dziecka, dla innego dziecka.

A może on ma tych dzieci więcej?

Po co przyleciał? - myślała, zła i zbuntowana.

Było mi tak dobrze - niedługo ślub ze Sławkiem i ta praca, pierwsza, wymarzona. Wszystko świetnie się układało, a ten tu przyleciał i wtargnął w życie moje i mamy.

Po co on nam? Niech spada. Hania bojowo odwróciła się do wyjścia i zobaczyła jeszcze Kettlera wsiadającego z dzieckiem do luksusowej limuzyny. Czowała się jak, nie przymierzając, jakaś cholerna

sierotka, stojąca w tłumie innych ludzi i patrząca na swojego ojca w wypasionym autku.

Czuła złość i bunt, i w tym momencie ktoś się do niej odezwał.

Najpierw nie rozumiała, co ten ktoś mówił, po chwili zobaczyła chłopaka, ale jego słów nadal nie rozumiała...

Wysoki, z miłą sympatyczną twarzą i marzycielskimi oczami, ale kompletnie jej obcy, zapytał:

- Fajny facet. Niesamowity, nie?

Hania popatrzyła na niego, jakby spadł z księżyca, i wycedziła niezbyt przyjaźnie:

- My się znamy?

Ku jej zdumieniu koleś uśmiechnął się i powiedział:

- Nie pamiętasz mnie?

Przyglądała mu się uważniej, ale za nic nie mogła go sobie przypomnieć. Kto to może być?

Nie miała ochoty na żadne pogaduchy, to nie ten moment, więc odpowiedziała z pańska, by go spławić:

- Nie przypominam sobie też, żebyśmy byli na ty.

- Przepraszam. Nie poznaje mnie pani? Hania zrobiła pytającą minę.

A on podpowiedział:

- Potwór ze śmieci...

Wciąż nie bardzo wiedziała, o co chodzi, ale po chwili zwróciła uwagę na zabandażowaną rękę i zaczęła kojarzyć fakty. Widziała tego chłopaka

dziś rano, gdy szła do redakcji. Tańczył na ulicy i rusztowaniu, a na koniec spadł wprost do pojemnika ze śmieciami, koło którego akurat przechodziła. Bardzo efektownie! I tańczył, i zakończył.

Hania uśmiechnęła się na samo wspomnienie jego lądowania w pojemniku i wykrzyknęła:

- Ach! To pan spadł z nieba prosto do kontenera. Wszystko w porządku?

- Tak, w najlepszym. Dokładnie mówiąc, nie z nieba, tylko z rusztowania, ale w śmieci, tak, w śmieci!

Chłopak też był lekko rozbawiony, ale Hania już się nie uśmiechała, tylko obejrzała za samochodem Kettlera, który zniknął za zakrętem.

- Interesuje panią Jan Kettler?

- Nie, w ogóle.

Chłopak niedowierzająco uniósł brwi i przyjrzał się jej uważnie.

- Widziałem panią na konferencji prasowej. Hania wzruszyła ramionami.

- Ach, to! Nic wielkiego. Piszę o nim artykuł.

- Szczęściara.

- Zlecenie jak każde inne.

- No to się pewnie zobaczymy. Biorę udział w castingu.

Podał Hani rękę i przedstawił się:

- Jestem Wojtek.

- A ja Hania.

Chwilę trzymali się za ręce i w ten to sposób Wojtek poznał Hanię...

STYCZEŃ 1984

Warszawa

Na żyrandolu wisiały mokre śpiochy.

Asia zawadziła o nie nosem i poczuła niezbyt przyjemny zapach - skwaśniałe mleko i cóż, siuśki.

Na podłodze w rogu dużego pokoju piętrzyła się spora górka brudnych pieluch, na krzesłach, wszystkich czterech, leżały stosy ubrań, na krzesle najbliżej drzwi ten stos był dodatkowo zwieńczony zwisającym z wierzchu gigantycznych rozmiarów stanikiem dla karmiących matek.

Ten biustonosz, różowy jak prosię na Wielkanoc, obleśny do kwadratu i przybrudzony, spowodował, że Aśka zamknęła na moment oczy. Miała wrażenie, że śni. Ale zapach mleka, co gorsza: starego mleka, był w mieszkaniu wszechobecny. Nie śniła.

Postąpiła krok do przodu, potknęła się i kopnęła leżącą na podłodze szklaną butelkę dla niemowląt, która potoczyła się pod kaloryfer z głośnym szurgotem i znów wykapało z niej mleko.

- Boże! Co tu się dzieje?! - rozdarła się z furją, rzucając na podłogę torbę z nartami i plecak. -Koniec świata czy inwazja kloszardów? Syf i malaria! Jak na Dworcu Wschodnim i na peronie w Koluszkach.

- Baśka!!! Baśka! Urodziłaś?! Kurczę!!! - znów krzyknęła i przedzierając się przez ustawioną na środku pokoju zaporę z krzeseł, dobiegła do drzwi małego pokoiku zajmowanego przez Basię.

- Baśka! Nie żyjesz czy co? Czemu się... - Otworzyła drzwi jednym szarpnięciem i zamarła.

Obraz, jaki przedstawiał jej dawny pokój, spowodował, że ją cofnęło, o dwa kroki co najmniej.

Kompletna ruina, a w tym wszystkim na tapczaniku leżała Basia, przykryta jakąś szmatą, i dziecko, niemowlaczek, przytulone do jej piersi i zawinięte w ręcznik, najpiękniejszy Asiny chiński ręcznik kąpielowy, z trudem zdobyty i wywieszany w łazience tylko wtedy, gdy jacyś lepsi goście mieli się pojawić albo rodzice wpaść na kontrolną wizytę.

No piekło i szatani!

Co ta Baśka sobie w ogóle myśli, by tak brać, co nie jej?

Baśka jednak nie wyglądała na osobę, która jest zdolna do myślenia.

Otworzyła jedno zapuchnięte oko i przyjrzała się Aśce kompletnie nieprzytomnym wzrokiem. A potem je zamknęła.

Tyle.

Niemowlę nie otworzyło nawet i oka, tylko kom-pulsywnie zaczęło ssać maminą pierś...

- Co to? Kto to? - wymruczała zza spierzchniętych warg Basia. - Kto to?

Aśka się przeraziła. Depcząc po jakichś betach walających się po podłodze, podeszła ciut bliżej do tapczaniku.

- Baśka! Co ty? No, co ty? Co tu się dzieje? Czemu do mnie nie zadzwoniłaś, że urodziłaś?

- Nie chciałam - wyszeptała Basia - nie chciałam ci psuć ferii - mówiła z trudem. - Dopiero

wyjechałaś... i... chciałam sama dać radę... sobie, ale nie dałam - złapała oddech i zamilkła, jakby już nie miała sił, by mówić.

Asia ochłoneła trochę i wsunęła się dalej w głąb pokoju, torując sobie drogę wśród pieluch wyglądających jak pakunki i śpiochów wyglądających jak szmaty. Dotarła do samego brzegu tapczanika i nachyliła się nad Bašką.

Starła się nie oddychać, tak było lepiej.

Przyłożyła rękę do jej czoła i aż odskoczyła.

- Boże ty mój, ale masz gorączkę! O kurdemele, leż spokojnie. Zaraz zadzwonię po pogotowie. Leż...

STYCZEŃ 1984

Warszawa

Doktor Węglowska różne rzeczy w życiu widziała, ale takiego bałaganu z niemowlęciem w tle to jednak nie.

Dziewczyna miała ponad czterdzieści stopni gorączki, piersi twarde jak orzechy kokosowe i gdy jej dotykała w czasie badania, wyła z bólu. Brudne niemowlę też płakało, ale jakby słabo, widać już swoje wykrzyczało.

- Jak można było?! Jak można? Pani tu zupełnie sama? Kto miał się panią opiekować? Przecież tak nie można... - Powtarzała trochę bez sensu.

Basia nieprzytomna potrząsała sklejonymi od potu włosami i szeptała cicho:

- To nic, to nic, ja nie mogłam iść po pomoc... Nie miałam siły... Więc tak leżałam- Ktoś dzwonił, a nawet dobijał się do drzwi, ale ja nie miałam siły...

Aśka blada i przerażona trzymała ją za rękę:

- Ale czemu po mnie nie zadzwoniłaś?

- Nie chciałam ci psuć urlopu, i tak dużo już dla mnie zrobiłaś. Przepraszam za ten bałagan. - Basia rozejrzała się wokoło. - Posprzątam...

- Mowy nie ma, by pani sprzątała - zaproponowała lekarka. - Powinna pani leżeć i brać antybiotyki. A gdzie ojciec?!

Basia i Asia popatrzyły na siebie i Asia wystękała:

- W delegacji... To mój brat. W ZSRR jest. Na Barnie. Ale zaraz wraca...

Sama nie wiedziała, skąd jej ta historia przyszła do głowy. Ale szczęśliwie przyszła.

- A! Bogu dzięki! - powiedziała Węgłowska. - Jeszcze małej nie widział? Powinien wrócić natychmiast. Ma przecież taką śliczną córcię! - Musnęła dłonią główkę Hani ozdobioną kilkoma niesfornymi kosmykami. - Szczęśliwie małej nic nie jest. Ale to się mogło źle skończyć...

Podeszła do najbliższego krzesła i jednym wprawnym ruchem zrzuciła na podłogę stos łańców.

W białym fartuchu, zielonych okularach i wysokim koku wyglądała niezwykle profesjonalnie, jak osoba z zupełnie innej bajki.

Taka czysta i schludna. Wyciągnęła z czarnej torby receptariusz i zaczęła wypisywać receptę.

- Ampicylinę proszę brać trzy razy dziennie, a potem to drugie. Piersi trzeba masować i ściągać pokarm, nawet jak i nie leci. Jest ostry stan zapalny. Ma pani laktator?

- Nie - wyszeptała Basia, krzywiąc się z bólu.

- To proszę poszukać w sklepach. Trzeba kupić albo pożyczyć... I zgłaszam panią do siostry rejonowej przy tutejszej przychodni pod specjalny nadzór. Rozumiem, choroba, ale to niedopuszczalne. Dziecku mogło się coś stać, gdyby pani...

- Proszę nie zgłaszać! To się nie powtórzy - zaprotestowała Asia. - Ja już wróciłam i tu będę.

- Nie! Zgłoszę. To mój psi obowiązek. Ale proszę się nie bać. To niczym nie skutkuje. Na razie. Po prostu siostra rejonowa będzie panią odwiedzać częściej niż innych i sprawdzać, czy wszystko w porządku. Przecież wszystko będzie w porządku? Prawda?

- Tak! Będzie!!! - nad wyraz żywo wykrzyknęła Baśka. A Aśka jej zawtórowała.

Lekarka pokiwała głową.

- No właśnie! Ale ja muszę zgłosić. Dla dobra dziecka...

Basia jakoś nie mogła się z tym pogodzić:

- Tak, ale naprawdę to przypadek, że ja akurat byłam sama. To się stało troszkę za wcześnie, ten poród, i Asia akurat wyjechała i...

- Wszystko rozumiem, ale zgłoszę. To naprawdę niczym nie skutkuje... - powtórzyła lekarka, już lekko zniecierpliwiona, ściągając zarówno brwi, jak i wargi.

Basia rozgorączkowana, czerwona na twarzy, z czarnymi sińcami pod oczami, coś jeszcze mruczała z głową zwieszoną z poduszki, ale Asia postanowiła przejść od słów do czynów, więc tylko uśmiechnęła się ślicznie, ściągnęła przez głowę swój sweter z góralskiej wełny, podwinęła energicznie rękawy flanelowej zielonej koszuli, demonstrując w ten sposób swoją gotowość do roboty, i jakby to nie było jeszcze jasne, opisała swoje intencje słowami:

- Ja już się biorę za porządki. Proszę się nie martwić. Jutro tu będzie lśniło!

Lekarka pokręciła głową.

- Nie martwię się. Dacie sobie, dziewczyny, radę, ale sprzątanie może poczekać. Tu ma pani receptę, pani Asiu. Niech pani szybko pobiegnie do apteki. Jeszcze pani zdąży przed zamknięciem...

Aśka przerwała zatem spektakl pod tytułem: już sprzątam, odprowadziła lekarkę do drzwi i sięgnęła po kurtkę.

- Tak, ma pani rację. Najpierw antybiotyk... Obie wyszły z mieszkania. Basia leżała dalej na

tapczaniku i coś mruczała do siebie, Hania zaś spała wtulona w matczyną pierś, posapując sobie milutko.

STYCZEŃ 1984

Warszawa

Przed kamienicą stało pogotowie. Danusia Sumiszko wyjrzała raz i drugi przez okno, a ono ciągle stało.

Do kogo mogło przyjechać?

Jakoś nic jej się nie kojarzyło. Przecież wszyscy w domu byli zdrowi, nie słyszała, by ktoś zachorował. Coś jednak musiało się stać, no bo przecież bez powodu ono by tak nie stało, to pogotowie.

Spokoju jej nie dawało, że nie wie, co się dzieje w domu, którym, było nie było, przecież rządzi, więc znów wyjrzała przez okno, tym razem kuchenne, i miała więcej szczęścia - zobaczyła lekarkę w wysokim koku i białym fartuchu, z płaszczem tylko zarzuconym na ramiona, a przy niej Asię Kamocką w kurteczce byle jak włożonej, przestępującą z nogi na nogę i słuchającą uważnie, co mówi doktorka.

I już Danusia była w domu. To pogotowie musiało być u tej małej, co dopiero rodziła.

Ani chybi jakieś nieszczęście się stało!

A ona miała się nią opiekować, przecież papier w szpitalu podpisała!

Danusia wystraszyła się nie na żarty. Gdy ta panna zadzwoniła, prosząc o pomoc, pomyślała: co jej szkodzi dziewczyninę z tego szpitala wyciągnąć. Taki miała smutny i przygnębiony głos przez telefon, ale co się dziwić - same to jak palec było w tym szpitalu i wcześniej przecież też.

Czasem ją widywała, gdy wchodziła do domu taka przygarbiona, przygnębiona i z wielkim, coraz większym brzuchem. No i żadnego kawalera przy niej nie było widać, a wiadomo, co to oznacza.

W świat sobie poszedł, gagatek jeden, i dziewczynę zostawił. Jej też się tak kiedyś przytrafiło. Starła się nie pamiętać tych lat, gdy sama Grzesia chowała. Właśnie wtedy, by mieszkanie dostać, tego dozorcostwa się chwyciła.

Dopiero gdy mały miał z dziesięć lat, poznała Andrzeja Sumiszkę, elektryka, i odtąd jaśniej się w jej życiu zrobiło. Tak więc gdy ta Baśka zadzwoniła po prośbie, nawet długo nie myślała, że to przecież zobowiązanie jest, tylko od razu się zgodziła wyciągnąć ją ze szpitala.

A potem przecież jej rosołu zaniosała, no i była jeszcze przedwczoraj pod drzwiami Kamockich, by sprawdzić, co się dzieje, czy czegoś nie przynieść, ale drzwi nikt nie otwierał, więc sobie pomyślała, że Baśka, bo Baśka tej młodej z dzieckiem było, do rodziców pojechała.

Pewnie ją zabrali, tak jak się przecież należało.

A tu pogotowie. Chwilkę się pokręciła po mieszkaniu. Zabrała szklankę ze stoliczka, wstawiła do zlewu i już miała zmywać, gdy nie wytrzymała, nie wytrzymała po prostu, tylko szczotkę w zlew rzuciła, złapała w przelocie sweterek z wieszaka i pobiegła do windy szczęśliwie wczoraj naprawionej.

Nóg już nie miała, by tak chodzić po tych piętrach wte i wewte. Wieczorami, tak jak dzisiaj, całkiem była skonana.

Dobrze, że jedzie, ale pewnie zaraz stanie, pomyślała ponuro.

Co do tej windy to Danuśka Sumiszko była pozbawiona złudzeń i wsiadała, bo wsiadała, ale ze strachem, że ją uwięzi, tak jak się to Elce od Jelonków przytrafiło.

Pół wigilii w windzie przesiedziała.

- Co też tam się u Aśki stać mogło? - dumiała, gapiąc się na siebie w lustrze, co w ścianie windy było zamontowane. - Może dziecko chore albo co.

No, papier podpisała, a nie zatroszczyła się wcale. No, jakoś jej było nieswojo, no. Tyle tych spraw człowiek ma, że o drugich czasem całkiem zapomina, a przecież ona taka nie była.

Nie tak ją tatko uczył. Zawsze mówił: „Na drugich patrzaj, a nie na siebie, to szczęśliwsza będziesz”.

I jakoś jej się to sprawdzało przez całe życie, a tu o tej dziewczynie ze wszystkim zapomniała.

A podpisała przecież papiery.

To wszystko przez tę awarię kanalizacji w piwnicy, ale co to za wytłumaczenie. Westchnęła ciężko, wysiadła na szóstym i zadzwoniła. Słyszała dzwonek skrzeczący w mieszkaniu, ale nikt nie otwierał.

Znów zadzwoniła. Cisza. Tylko ten dzwonek.

Danusia się zamyśliła, bo jeśli przyjechało pogotowie, to ktoś musiał być w mieszkaniu. Aśka na chorą nie wyglądała w żadnym razie.

Nacisnęła ostrożnie klamkę, a ta ustąpiła bez problemu.

Było tak przedwczoraj zrobić, pomyślała. No, ale może przedwczoraj to zamknięte było, uspokoiła się sama.

Weszła trochę chyłkiem do mieszkania, do którego tydzień temu przywiozła Basię. Wtedy ład i porządek panował aż miło, a teraz?

No, koniec świata, pani Sumiszkowa!

Wyglądało, jakby wybuchł tu granatnik, albo co.

Przeszła przez pokój i podobnie jak wcześniej Aśka, potknęła się o tę samą butelkę, która z pomocą jej buta znów zmieniła miejsce i poszusowała dalej. Ostrożnie zajrzała do mniejszego pokoju, gdzie ulokowała dziewczynę i dziecko. Dziewczyna żyła, ale spała jak zabita z małą zamotaną w ręcznik i przytuloną do piersi. W pokoju zaś panowało istne piekło. Dawno Danka Sumiszkowa czegoś takiego nie widziała. Bałagan jak u starej Ostapczykowej, którą musieli eksmitować, bo zwariowała i nic, tylko śmieci zносиła.

Ale tu widać było na pierwszy rzut oka, że dziewczyna chora i straszny gorąc ją męczy. Czerwona taka była na twarzy i ciężko oddychała.

Danusia nie omieszkała się też przyjrzeć dziecku - szczęśliwie mała zdrowo wyglądała. Spała spokojnie niczym jakiś aniołek.

Po cichu wysunęła się z pokoju, choć jeśli dzwonek nie obudził ani Basi, ani dziecka, to i ona nie miała szans.

Stała na środku pokoju i rozejrzała się po dziennym. Co by tu...

Nie wiadomo było nawet, od czego zacząć.

No nic, pomyślała sobie, jak nie wiadomo od czego, trzeba od początku. I sięgnęła po wiszące na żyrandolu śpiochy, a potem zaczęła metodycznie zbierać z podłogi pieluchy.

Gdy nazbierała wielki stos, zniosła go do łazienki i rzuciła na podłogę.

Zerknęła na pralkę. Szczęśliwie automat. Otworzyła drzwiczki i zaczęła po kolei wrzucać zasiusiane pieluchy.

MARZEC 1984

Warszawa

W marcu 1984 roku zupełnie nieoczekiwanie Basia została kobietą sukcesu.

A stało się to za sprawą Elki od Jelonków, co stała na rogu Poznańskiej tuż przy Jerozolimskich i wyglądała klientów.

Nudziła się tam setnie, nogi ją bolały i marzła.

Ale co było robić - taki fach. Zimno i nudno. W przerwach oczywiście.

Tak stojąc i przestępując z nogi na nogę, Elka wpadła na pomysł, by sobie sweter zrobić, ale taki porządny, z grubej i cieplej wełny w kolorze rudo-czerwonym.

Wełnę Elka przyuważyła już wcześniej, w małym sklepiku na Nowogrodzkiej, gdy od klienta wyszła. Dziś do domu wracała w południe i miała trochę gotówki. Bez namysłu wkroczyła więc do ciemnej, położonej w zakolu bramy nory, w której mieścił się sklepik, i kupiła tyle motków wełny, że na duży i obszerny sweter, kardigan, jak mówiła sprzedawczyni, powinno starczyć aż z naddatkiem.

Miała zatem Elka wełnę, ale nie miała wykonawcy, bo sama na drutach robić nie umiała i nie знаła nikogo, kto by tę trudną sztukę posiadał. Trochę się martwiła, wracając z siatką wypchaną wełną, że tak na wariata kupiła, no bo kto jej to zrobi, gdy zobaczyła siedzącą na ławeczce przed blokiem Baškę, co panińskie dziecko miała i mieszkała kątem u Asi Kamockiej.

Baška siedziała na ławeczce okutana w barwny wełniany szal skrywający lichą budrysóweczkę, jedną nogą bujała wózek, a wolnymi rękami pracowicie coś tam dziergała na drutach. Elka ostrożnie podeszła bliżej i przyjrzała się migającym drutom i zwisającemu z nich sweterkowi, który, tak, wyglądał jak marzenie!

Czarny z wielką czerwoną różą pośrodku!

- Dzień dobry, śliczniusi ten swetereczek - zagaiła Elka słodziutko, jak to miała w zwyczaju.

- Dzień dobry - odparła uprzejmie Basia, podnosząc znad robótki oczy i przestając na chwilę dziergać. - Podoba się pani? To może i Asi się spodoba - uśmiechnęła się i potrząsnęła robótką, pokazując ją w całej krasie.

Elką aż zatrzęsło, taki to był śliczny sweterek. Akurat jak znalazł do jej czarnych skórzanych spodni.

Ale z jej czerwonej wełny też ładny wyjdzie i pasujący. Wełna była cudności po prostu, moherek najczystszy, jak zapewniała ją sklepowa.

Zresztą sama miała oczy i widziała, że towar był pierwszorzędny.

Jak by tu tę pannę do roboty namówić, kombinowała intensywnie.

Basia tymczasem mówiła:

- Poprułam jakieś stare swetry, co zalegały u nas na pawlaczu, i chcę Aśce coś naprawdę ładnego zrobić. Ten wzór wzięłam z „Burdy”, fajny, prawda?

- Cudność! - aż sapnęła Elka ze szczerego zachwyty i przysiadła koło Baśki na ławce. - Tak za darmo jej pani robi? Czy ona płaci?

- Pani Elu! Oczywiście że za darmo, ma ze mną tyle kłopotów. Mała czasem płacze po nocy, budzi, a ona uczyć się nie może i rano idzie niewyspana na studia. Czasem to mi aż głupio...

- E, co pani... To koleżanka przecież i nie słyszałam, by narzekała.

- No nie narzeka, to prawda, ale przecież nie każdy by tak jak ona mnie wziął i... - tu westchnęła głęboko i przerwała na moment. - Tyle co mogę, to chociaż jej w rewanżu ten sweter zrobię.

- A mnie by pani nie zrobiła? Dobrze zapłacę! -zagadnęła Elka.

W ten oto sposób Basia Brzozowska została kobietą interesu, a później i sukcesu.

Bo tak: zrobiła sweter dla Elki, a potem natychmiast zamówienie złożyły jej trzy koleżanki, w tym gruba Berta, co zapłaciła podwójnie, bo i sweter był, zważywszy na jej rozmiary, podwójny.

Jeden klient, Elki klient, zachwycił się jej swetrem i zapragnął ofiarować żonie taki sam.

Bardzo tym wzruszył wszystkie dziewczyny z rogu Poznańskiej, ale nie Basię. Basię trochę mniej, ale co tam.

Klient nasz pan.

Zrobiła mu taki sam sweter jak Elczyny, tylko ciut mniejszy, bo żona szczuplejsza była. I to był już piąty klient.

Baśka tylko migiała drutami i inkasowała należności. Z małą w wózek biegała po sklepach szukając wełen, by móc je zaproponować klientom.

Wkrótce wydeptała sobie różne dróżki i ścieżki i sklepowe same jej te wełny zostawiały i nawet ją polecały, zapewniając, że jest świetna w tym, co robi, i co ważne, wcale a wcale niedroga.

Gdzieś w połowie maja, gdy Hania miała pół roku, Baśka, która w tym czasie wróciła już i na studia, i do teatru, postanowiła przyjąć podwykonawczynię.

Lato było w pełni, słońce przygrzewało, ale ona nie narzekała na brak zleceń i ciągle jeszcze obrabiała zimowe zamówienia. Kolejka chętnych się nie zmniejszała, bo klientki polecały ją następnym.

Małą Hanią opiekowała się stara Jelonkowa, bardzo rada z tej robótki. Jelonek słabował na serce i często gęsto popijał, tracąc pieniądze. Miło jej

było, że ma własne i nie musi do niego ciągle ręki wyciągać.

A Hania była takim dobrym, spokojnym niemowlaczkiem, że tylko całe dnie spała. Basia skarżyła się, że nocą ożywa, ale to akurat Jelonkowej nie przeszkadzało, ot, nakarmiła, przewinęła, chwilkę pogugala z malutką, a ta ryms i spała.

Basia odsypiała rankami zarwane noce, ale nie traciła czasu, bo patrząc na gryzącą swoją stopkę Hanię, pracowicie dziergała coraz bardziej wymyślne swetry albo też uczyła się do zaliczenia czy egzaminu.

Pieniądze dawały jej wolność. Mogła w każdej chwili zatrudnić Jelonkową i robiła to wtedy, gdy szła na studia czy do pracy.

Nie chciała zostawić teatru, lubiła tam być, pracować i oddychać tą czarowną atmosferą niepodobną do żadnej innej. Czasem myślała o Jaśku. Ale odganiała od siebie te myśli.

Nie chciała o nim pamiętać.

Okazało się, że talent do dziergania ma w bloku jeszcze niejaka Majchrzakowa, co z jednej tylko renty żyła, i z polecenia Danusi Sumiszkowej Baśka zatrudniła ją do prostszych zleceń. Kupowała „Burdę” i francuskie „Tricotage” i tłukła sweterek za sweterkiem, a klientki oglądały te magazyny, gdy czekały na zapakowanie swetra, i często zabierając jeden, już na drugi, znaleziony w katalogu, miały ochotę.

W sklepach nie było nic, a Basine sweterki wyglądały jak rajskie ptaki. Kolorowe i wesołe. Z na-

szytymi parasolkami, kwiatami, uśmiechami i słoneczkami.

Wypuściła też całą serię dziecięcych sweterków z lwami i tygrysami, co z przodu miały wyhaftowane wielkie, ale przyjazne pyski zwierzaków, a z tyłu wypuszczone fikuśnie ogonki, za które mamy lubiły łapać swoje pociechy biegające wokoło piaskownicy.

Na tych Basynych sweterkach kłębiły się postacie z bajek, które pamiętała z dzieciństwa, i motywy z malarstwa prymitywnego.

Nawet Breughel był dla Basi inspiracją i zaludniała swetry jego pomarańczowymi ludzikami. Wymyślała, co tylko mogła, i sprawiało jej to wielką radość. Każdy sweterek to było małe dziełko, tak, sztuki.

Uważała dzierganie za sztukę.

Tak więc Baśka rozkręcała firmę na całego.

Na studiach wszystkie egzaminy miała zaliczone, poza jednym, ale ten jeden to była istna kobyła nie do przejścia i pół roku się na nim wywróciło, więc ten jeden egzamin nie stanowił dla niej problemu. Uznała, że jeden ma pełne prawo zawalić.

Któregoś lipcowego popołudnia w mieszkaniu Aśki na Woli pojawił się ojciec. Basi ojciec.

Gdy go zobaczyła, stojącego o dwa kroki od niej przed drzwiami, z ręką uniesioną do dzwonka, zaczęła płakać. Jakoś tak rozpaczliwie. Sama nie wiedziała, skąd jej się to wzięło.

I on też zapłakał. Płakali więc oboje, gdy weszli do mieszkania, i całe szczęście, że akurat nie było Aśki, boby się może i śmiała.

Stali w przedpokoju, ściskali się i przytulali.

- Nie mogłem cię znaleźć, Basiu! Szukałem, ale mama mi nie chciała dać adresu, w teatrze też zastrzegłaś, by obcym nie podawano, nie mogłem cię odnaleźć...

- Mnie też nie chciała dać twojego - zachlipała Basia, wtulając się w ojca...

- No, właśnie. Taka ona właśnie jest, ta mama -tata westchnął głęboko jakby na potwierdzenie czy dla przypomnienia, ale szybko porzucił temat niezręczny dla nich obojga.

- Zostawmy to. Nie ma o czym gadać. Mów, jak żyjesz, opowiedz, i pokaż, pokaż mi wnusię.

Tata, mówiąc to słowo, zaczerwienił się i pewnie trudno było mu się pogodzić z tym, że został dziadkiem, skoro ma nową kobietę, nowe życie, i jak się okazało za chwilę:

- Bożena jest w ciąży - powiedział, patrząc z uśmiechem na machającą nóżkami Hanię.

- Bożena? - zapytała Baśka, choć już wiedziała.

- Tak. Moja Bożenka. Mama nie chce mi dać rozwodu, złośliwie, jak zwykle, więc to dziecko też będzie bęka...

Tu tata przerwał i znów się zaczerwienił. W oczach pokazały mu się łzy.

Pogłaskał Hanię po nóżce, starając się opanować emocje.

Baśka przełknęła gulę, co jej się utworzyła w gardle, i poklepała ojca po plecach uspokajająco:

- Nie martw się, tato, teraz są inne czasy. Takie bardziej nowoczesne...

Teatr jak zwykle pauzował latem i był czas na wszystko - naukę zaległego materiału na studia, dzierganie sweterków i opiekę nad Hanią. Mała chowała się dobrze i wakacje mogła Basia poświęcić na organizowanie produkcji.

Tylko tęskniła za Jaśkiem.

Głupio tęskniła i nic na to nie mogła poradzić.

Płakała nocami, czuła się tak, jakby jej w piersiach zalegał wielki, ciemny, ciężki i oślizgły kamień.

Miała takie dziwne poczucie, że nic już nigdy nie będzie tak naprawdę dobrze i że zawsze już będzie nieszczęśliwa.

Czasem żałowała, że go odrzuciła i nawet gadać z nim nie chciała, gdy przychodził po spektaklu pod teatr i prosił, ba, nawet błagał, by do niego wróciła.

Nie chciała.

Źle zaczął, a ona się zacięła.

Gdy pojawił się pierwszy raz po tym, jak uciekła i zniknęła, miał tylko pretensje, że nie zrobiła zabiegu, krzyczał przeokropnie, i właśnie wtedy coś w Baśce stwardniało, zacięła się, odwróciła się na pięcie i poszła.

Potem Janek zmienił ton, próbował z nią inaczej, łagodniej, ale Baśka już nie słuchała i nie chciała z nim rozmawiać.

Nie wychodziła do niego, gdy prosił o rozmowę. A kiedy czekał w bufecie, ukrywała się gdzieś w zakamarkach teatru, wyczekując na moment, kiedy sobie pójdzie.

Naprawdę się zacięła.

To nie tak miało być.

Czuła zaokrąglający się brzuch, nabrzmiąte piersi i było jej tak słodko, tak dobrze. Tylko nie mogła, nie chciała myśleć o tym, co za nią i co przed nią. Więc nie myślała.

Wyrzuciła z serca złe myśli i żyła tylko dniem codziennym. Tak było łatwiej, tylko tak mogła funkcjonować i być w jakiś sposób szczęśliwa.

Aż w końcu, pewnego wieczoru, gdy już się Janka nie spodziewała, bo przestał przychodzić jakiś czas temu, dał sobie spokój, gdy się zaczęto z niego podśmiewać, pojawił się ponownie i wywołał ją przez Ryśka Minca.

Wyszła.

Tęskniła za nim.

Chciała go zobaczyć, choć przez chwilę na niego popatrzeć.

Stał oparty o ścianę, w małym korytarzyku tuż przy wyjściu, gdzie o tej porze, gdy trwało przedstawienie, nikt się nie kręcił.

Trzymał ręce w kieszeniach, miał pociemniałe oczy i sklezione włosy i powiedział, że wyjeżdża.

Tak po prostu.

Wtedy dopiero zrobiło się Basi jakoś strasznie. Nagle zdała sobie sprawę, że to się dzieje naprawdę, że to koniec, że go traci.

Wyjeżdża i już nigdy go nie zobaczy.

Jaś też nie wyglądał na szczęśliwego, mimo że przecież spełniało się jego wielkie marzenie. Miał zaciśnięte wargi i chmurę gradową na czole, gdy jej zakomunikował, że jedzie tańczyć dla Brookesa do Nowego Jorku i da znać, co i jak.

Miał już wizę, paszport i bilet.

Prosił, by Baśka przyjęła pieniądze.

To też ją zabolalo. Trzymał w trzęsących się dłoniach białą kopertę i usiłował jej ją wcisnąć.

Jakby to miało być wszystko, jakby to coś załatwiało.

Co on sobie myślał? Za kogo ją miał?

Ten żal, złość i smutek spowodowały, że wytrąciła mu kopertę z rąk i krzyknęła histerycznie:

- Jedź, jedź! Wreszcie jedź! Nie chcę cię znać. Ani ja, ani dziecko. Jedź!

W tym momencie mała kopnęła ją w brzuch, jakby na potwierdzenie, że ona też go nie chce znać.

Choć potem Basia czasem myślała, czy to kopnięcie nie oznaczało: Co robisz, głupia! To przecież tata, mój tata.

Ale to potem.

Wtedy dostała amoku, złe w nią wstąpiło i wyrzuciła z siebie nagromadzony żal i ból. Chce jechać, niech jedzie. Nie potrzebuje go, nie chce. Niech jedzie.

Jan jeszcze próbował Baśkę objąć, ale wyrwała mu się z furją i odwróciła.

Nie chciała, by widział łzy, które jedna za drugą, jak rozkręcająca się wiosenna ulewa, kapały

jej z oczu już prawie nieprzerwanym strumykiem...

Janek nie nalegał, cofnął ręce i też się odwrócił, machinalnie podniósł kopertę z ziemi, jakoś tak bezradnie trzymał ją w rękach i schylił głowę.

By ukryć, też ukryć łzy.

Ale tego Basia nie widziała. Stała tyłem i płakała bezgłośnie.

Jan zatrzymał się na chwilę w połowie korytarzyka, jakby się wahał. Odwrócił się, spojrzał na jej plecy i odszedł. Nienawidziła go. Basia.

Widział to wyraźnie.

Nie chciała go, nie kochała, nie miał po co tu być. To wszystko było pomyłką. Wielką pomyłką. Nikt nigdy, przecież wiedział już od czasu Pabianic, że nikt... Nie kocha. Nie. Odszedł.

Gdy po chwili Basia się obejrzała, zobaczyła tylko bujające się wahadłowe drzwi. To był ostatni raz, gdy widziała Jana. Potem już nigdy.

CZERWIEC 2008

Warszawa

Hania nie miała serca. Do ślubu nie miała serca. Sławek, jej narzeczony, nalegał, więc się zgodziła. Tak ją zamotał, że nie mogła odmówić, i teraz patrzyła bez przekonania na suknie ślubne w sklepie i miała ochotę kopnąć welon, zrzucić buty i zmienić się w uciekającą pannę młodą.

No, ale przecież tak się nie robi. Sławek na to nie zasługiwał. Był porządnym człowiekiem. Może trochę nudnym. Może trochę bez polotu, ale ją kochał i był jak opoka.

Wiedziała, że zawsze będzie przy niej, że będzie z nim bezpieczna.

A tego właśnie potrzebowała. Życie tylko z mamą nie było łatwe.

Ciągle coś się działo, gdzieś się przenosiły i Hania musiała się przyzwyczajać. Do nowych przedszkoli i szkół. Nowych znajomych. W końcu zamknęła się, może zanadto, w sobie, słabo nawiązywała kontakt z rówieśnikami.

Aż pewnego razu poszła do dentysty.

Tak, wiedziała, że to mało romantyczne, ale dentysta się w niej zakochał.

I to był właśnie Sławek, jej Sławek. Czekał pod liceum z kwiatami. Koleżanki padały na trawnik z wrażenia, gdy widziały jego pajero. Ale nie o to w tym wszystkim szło.

Hani nie chodziło o jego kasę, samochód, ale o uczucie. Zakochał się.

Naprawdę o nią dbał. Opiekował się nią. Był starszy, sporo starszy, ale przecież nie stary. Kochał ją. Czuła to na każdym kroku i nie przeszkadzały jej jego dziwactwa i śmieszności. Ona też miała swoje. I czuła się dzięki nim bezpieczniej. Przyzwyczajenia i rytuały pozwalały oswajać świat. Wiedziała, że Sławek też potrzebuje tego swojego prawie obsesyjnego ładu i porządku, by być w pełni szczęśliwym.

Imponował Hani spokojem, jaki panował w jego życiu, życiu, do którego ją zaprosił, bo widział w niej kogoś podobnego do siebie. Hania też odnalazła u jego boku spokój, a tego potrzebowała.

Wszystko było jasne i przewidywalne, nie miała żadnych kłopotów, ani miłosnych, ani bytowych.

Sławek może troszkę zastępował jej ojca, ale i to Hani się podobało.

Zawsze wiedział, co dla niej będzie najlepsze, i spełniał wszelkie jej zachcianki, o ile były rozsądne, choć tak naprawdę Hania nie miała zachcianek. Ale gdyby tak miała...

W każdym razie można było się z nim bez problemu dogadać.

Czy dziewczyna może chcieć więcej?

Hani wydawało się, że nie.

Była szczęśliwa, a może wydawało się jej, że jest?

Ale w końcu - czy to jakaś różnica?

CZERWIEC 2008

Dzień zaczął się fatalnie.

Najpierw Jan wylał na swoją piękną błękitną koszulę od Armaniego kawę, i to bynajmniej nie jakąś kroplę, tylko prawie całą filiżankę espresso, co źle wróżyło koszuli nie tylko teraz, ale i w przyszłości.

Wściekły, bo musiał się przebierać, a czasu nie było za wiele, nie szczędził sobie obelg. Na szczęście albo na nieszczęście, bo przyjemniej byłoby pokrzyczeć na kogoś konkretnego, niż tylko kląć w samotności, zdzierając z furii marynarkę, krawat i w końcu koszulę.

Chwilę później, gdy wreszcie się przebrał, zniknęła gdzieś jego komórka i nic, zero, nul - nie można było jej znaleźć.

Diabeł nakrył ogonem albo krasnoludek ukradł, bo przecież nie wezwana na pomoc pokojówka, która z niechęcią popatrując na niego spod oka, leniwie pomagała przeszukiwać apartament, w czasie gdy Jan wydzwaniał do Moniki, asystentki,

no cóż, bardzo osobistej, która, jak sądził, powinna była wiedzieć, gdzie jest ta komórka, bo zawsze wszystko wiedziała, co zwalniało go na ogół z każdego nadprogramowego wysiłku.

Jan nauczył się wyrzucać z pamięci rzeczy nie tylko zupełnie nieważne i te mniej ważne, ale czasem i te najważniejsze. Wszystkie szczegóły pamiętała Monika, od tego była, a on dzięki temu mógł się skupić na tańcu, bo tylko taniec był ważny, a duperele tylko go dekoncentrowały.

Monika była z nim czy przy nim już chyba sześć czy siedem lat. Nie pamiętał ile, ale bez niej wszystko się rozsypywało w pył. Rozpadało się.

Właśnie tak jak teraz.

Zniknęła komórka i nie pamiętał, a może po prostu nie wiedział, gdzie ma pierwszy casting.

Zwykle wiadomość o miejscu i godzinie spotkania czy próby Monika wysyłała esemesem na jego komórkę i ten system się sprawdzał, bo kartki nagminnie mu przepadały, a do komórki był w zasadzie przyspawany. Gdy tego oczywiście chciał, bo czasem, kiedy miał wolne, jak ostatnio na Kortu, wrzucał komórkę do szuflady i starał się zapomnieć o jej istnieniu.

Nie pamiętał numeru do Moniki, bo też nigdy go nie potrzebował. Był zapisany w pamięci komórki, a Monika nie odbierała telefonu stacjonarnego w pokoju hotelowym.

Gdzieś zapewne wyszła, diabli wiedzą po co, a Jan już zupełnie nie wiedział, co ma dalej robić, do kogo się zwrócić.

Kopnął zatem krzesło, co mu krztynę pomogło. Ale spłoszyło pokojówkę, która wystraszona zanurkowała pod łóżko, by poszukać aparatu albo tylko po to, by zniknąć mu z oczu.

Bez Moniki Jan był całkiem bezradny.

Zaiste było to opatrnościowe popołudnie, chyba w 2002 roku, a może w 2001, gdy włóczył się dość bezmyślnie po Rzymie.

2002 ROK

Rzym

Słońce prażyło niemiłosiernie, duchota była taka, że powietrze prawie stało, niczym wielka kostka galarety ze smogu i gorąca. Idąc ulicą, miał wrażenie, że uderza twarzą w coś niewidzialnego, co stawia mu opór i jest rozgrzane do granic wytrzymałości.

Było to dość przeraźliwe uczucie i wiedział, że w zasadzie powinien teraz spać w chłodnym pokoju hotelowym z włączoną na full klimatyzacją i opuszczonymi żaluzjami, że powinien wziąć zimny prysznic, by się jakoś zregenerować przed wieczorną próbą. Ale jakoś nie mógł, coś go nosiło, miał chyba gorszy dzień, więc wypuścił się, jak jaki głupi, na spacer po Rzymie, gapił się na zabytki i kobiety, a czasem, zupełnie już znudzony, na wystawy.

Przedzierał się przez rozżarzone od upału place, ulice i skwery wyblakłe od słońca, zakurzone i nagrzane jak kamienie na plaży w Rio, aż wreszcie,

że nie dał rady iść dalej, więc przysiadł na chwilę w jednej z tych uroczych kawiarenek przy Piazza Navona.

Schronił się pod zbawczym płóciennym parasolem zacieniającym trzcinowy stolik i zamówił affogato u kelnera przepasanego białym fartuchem i z kołnierzem takim samym, jaki preferował znany mu skądinąd poeta Słowacki Julek.

Zapewne gej, tak jak kelner.

Ucieszony tą myślą, wyciągnął wygodnie swoje długie nogi i poczuł, że jest tu całkiem miło i tego właśnie potrzebował, gdy nagle objawiła się przed nim Monika.

Usiadła znienacka na foteliku *vis-à-vis*, zasłaniając mu częściowo widok na fontannę Czterech Rzek, którym to widokiem miał właśnie zamiar się delektować w czasie tej krótkiej sjesty, którą sobie zafundował.

Niezła sztuka, pomyślał, ale kudy jej do fontanny! Niech mi spada...

Podniósł brwi i spojrzał na nią zarówno pytająco, jak i z dezaprobatą, ale nie zrobiło to na niej żadnego, jak się wydawało, wrażenia. Usiadła tylko wygodniej, wyciągnęła nogi podobnie jak i on i rzuciła z rozmachem torebkę na sąsiednie krzeselko, a potem rozczochrana, czerwona od upału i emocji, dramatycznie wykrzyknęła:

- Jean, Jean! To istny cud, że cię tu teraz spotkałam! ***Mon Dieu! Quelle joie!*** Jak się cieszę!

Śmiała się jak dziecko, a Jan, który wcale się nie ucieszył, bo też nie miał z czego, zasłaniała mu

przecież widok i mówiła za głośno, popatrzył na nią wrogo, przyjrzał się jej uważnie i w żaden, ale to w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, kim ona jest.

Użyła jego imienia, ale nie kojarzył jej zupełnie.

Nie miał pamięci do twarzy. W ogóle nie miał pamięci. Nie potrzebował pamięci.

Zawsze był zajęty czymś, przeważnie pracą, pomysłem, projektem, inscenizacją i myślał o czymś ważnym, innym, nie o ludziach wokół, ale o ideach, swoich ideach.

Kim, na Boga, była ta dziewczyna?

Jednak nie pierwszy raz zdarzyło mu się nie pamiętać czyjejś twarzy, więc spokojnie się uśmiechnął, tak półgębkiem, bo nie wiedział, jakie relacje ich niegdyś łączyły, i powiedział nader uprzejmie:

- Miło cię widzieć... tak... - poszukał przez moment stosownego słówka - ...nagle.

Wpatrywał się w nią dość uporczywie, usiłując przywołać jej twarz z mroków niepamięci.

Znał ją, tyle już skojarzył.

Ale kto to był i gdzie się spotkali?

Miał pustkę w głowie.

Kim była? Francuzką? Mieszkała francuski z angielskim.

Nie mógł sobie przypomnieć.

A ona, niez mieszana ani trochę, szczęśliwa ze spotkania, już machała ręką na kelnera i zamawiała dla siebie wodę mineralną z lodem i cytryną.

Gdy kelner zniknął gdzieś w głębi mrocznej kawiarni, popatrzyła na Jana już poważniej, nagle

uśmiech zniknął z jej z twarzy i powiedziała tonem, który mu się wcale a wcale nie spodobał, tonem dość kategorycznym:

- Z nieba mi spadłeś, Jean! Musisz mi pomóc. Jestem w desperacji!!!

Teraz przestraszył się nie na żarty, bo w żaden sposób nie mógł jej sobie przypomnieć i umiejscowić, a tu ona coś o jakiejś pomocy i desperacji.

Jakoś nie lubił kobiet w desperacji.

Tak miał.

Był jednak człowiekiem dobrze wychowanym, a przynajmniej starał się być czy sprawiać wrażenie, że jest, że jest wychowany, bo przecież wcale nie był. Nie wiedział, kim ona jest, ale niewątpliwie skądś ją znał, więc zapytał nader uprzejmie:

- Co się dzieje? Masz jakieś problemy?

Miał nadzieję, cichą nadzieję, że może się zgubiła lub złapała oczko w pończosze, choć na to drugie raczej nie liczył, bo był upały i nie miała pończoch, tylko gołe opalone, ale bardzo zgrabne nogi, co usposobiło go do niej trochę życzliwiej.

Zawsze milej pomóc komuś, kto ma zgrabne nogi.

To wiedział na pewno.

- Tak, i to poważne! - Właścicielka zgrabnych nóg spojrzała na niego błagalnie, w oczach pokazały jej się łzy, a on, jak głupi, nadal liczył, że może się tylko zgubiła.

Powiedziała:

- Nie mam pieniędzy, nie mam mieszkania, zostałam okradziona, jestem w ciąży i po prostu nie wiem, co dalej.

LIPIEC 2002

Jan zamarł z filiżanką w pół drogi do ust.

Nic gorszego nie mogło go spotkać, wiedział to na pewno.

Szybko wypił resztkę affogato i poprosił o rachunek kelnera, który opatrnościowo właśnie pojawił się przy ich stoliku i postawił przed dziewczyną dużą szklankę napełnioną wodą z połyskującymi w niej kostkami lodu, zwieńczoną bladożółtą cytryną.

W promieniach słońca cytryna wyglądała orzeźwiająco i przyjaźnie. Zapatrzył się na nią i milczał. Dziewczyna zdjęła krążek i wrzuciła do szklanki, a Jan podniósł wzrok, popatrzył jej w oczy i z nieznacznym opóźnieniem zareagował na jej, no, cóż, exposé...

- Wiesz, ja chętnie ci pomogę, tak, ale teraz muszę już biec... Próba... - Uśmiechnął się bezradnie, miał to przećwiczone, i sprawdził, czy kelner nie spieszy mu na ratunek z rachunkiem, by mógł zapłacić i zniknąć.

Jednak Słowackiego z miasta Romulusa i Remusa nie było widać na horyzoncie, więc na razie zapytał:

- Ile... ci...

W końcu pieniądze nie stanowiły problemu. Dziewczyna przyjrzała mu się uważniej i chyba odczytała jego zmieszanie i panikę, bo zapytała:

- Daj spokój, czy ty mnie, Jan, nie poznajesz? Jestem Monika, Monika Jansen. Byliśmy... razem.

Tu już kompletnie wpadł w panikę, bo nagle mu się wydało, że będzie usiłowała mu wmówić dziecko, ale ona dokończyła:

- Byliśmy ze sobą cztery lata temu, w Zurychu. Nie pamiętasz mnie?! - spojrzała na niego z wyrzutem oczami błękitnymi jak niebo nad Alpami, a teraz zasnutymi łzami, które pojawiły się, gdy mówiła o tarapatach, w jakich była. Gdy spojrzał w te oczy o koloru akwamaryny, momentalnie ją sobie przypomniał.

Te oczy. Takie niebieskie.

Oczywiście.

Szkła.

Ale pięknie wyglądała.

Miał z nią romans, tak. Cztery lata temu, szmat czasu. Mógł zapomnieć.

Była tancerką Zurich Ballet i Polką po mamusi, o ile dobrze teraz pamiętał. Gdy robił u nich gościnnie choreografię do *She Was Black*, jakoś się dogadali, zaprzyjaźnili i spędzili ze sobą dwa przemiłe miesiące.

A potem wyjechał i zapomniał nawet do niej zadzwonić. A może zadzwonił. Nie pamiętał. To było w końcu cztery lata temu.

Dziecko zatem nie mogło być jego, więc opanował chęć ucieczki, obudził w sobie dżentelmena i postanowił jej pomóc. W końcu, jak sobie przypominał, to była naprawdę miła dziewczyna.

Przyglądając się jej zaczerwienionemu nosowi i płaskiemu brzuchowi, zapytał:

- Co się stało, co ci się przytrafiło? Nie becz -przykazał kategorycznie, wyciągając z kieszeni

chusteczkę nazbyt może elegancką, by w nią smarkała byle smarkula, ale co było robić, nie miał innej. - Nie płacz - powtórzył, widząc łzy w jej oczach. - Opowiedz, co się stało. Oczywiście, że cię pamiętam. I ci pomogę.

Monika wytarła dość rozczulająco nos w jego batystową chusteczkę, łyknęła duży haust wody i zaczęła opowiadać krwawe story o łajdaku, z którym ostatnio była, niejakim Jorge, Brazylijczyku czy Ekwadorczyku, co na wieść o dziecku dał nogę ze wspólnego lokum przy via Garibaldi, zabierając całą gotówkę i karty.

Była rzeczywiście w beznadziejnej sytuacji, ciągle mieszkała w hoteliku, ale personel zaczynał się już niepokoić i żądał, coraz brutalniej, uregulowania należności i zwolnienia apartamentu. Mogła oczywiście uciec, ale gdzież by nocowała?

Nie miała już dosłownie ani euro.

Kiedy się jej przypatrywał, opowiadającej i wymachującej żywiłowo rękami, by podkreślić co bardziej dramatyczne fragmenty swojej historii, przypominał sobie Monikę coraz lepiej.

To była miła i dobra dziewczyna, lepsza niż większość tych, z którymi się na ogół zadawał. I pewnie dlatego że była taka miła i dobra, spotkało ją to, co spotkało, i ten Meksykanin czy Ekwadorczyk rzucił ją i okradł.

Może zresztą to był Brazylijczyk?

Nieważne.

Była, jak pamiętał, zaradna i w Zurychu organizowała mu wszystkie sprawy. Nudziła się, ale nie

leniła, tylko mu pomagała, jak mogła. Potem wyjechał i nawet mu jej brakowało.

Przez jakiś czas, zanim zapomniał.

Tak, była pożyteczna.

Przyjrzał się jej jeszcze raz i powiedział:

- Może potrzebujesz pracy? Miałbym dla ciebie pracę.

W ten sposób Monika została jego asystentką i była to, trzeba przyznać, dobra decyzja, której ni-* gdy nie żałował.

Życie z nią było znacznie łatwiejsze. Początkowo nie sypiali ze sobą, ale rok po urodzeniu Karoliny, jakiś alkohol, jakieś przyjęcie i znowu wylądowali w łóżku.

Gdy zatrudnił Monikę, był sam. Później, gdy już razem pracowali, kobiety przestały mu być potrzebne, mimo że przecież początkowo z nią nie sypiał.

Była, jak czasem mówił, takim damskim pierwiastkiem w jego życiu, namiastką żony i przyjaciółki.

Tak jak Lola była dla niego namiastką córki.

Ciąża i macierzyństwo trochę oddaliły go od niej.

Ale w końcu, gdy zaczęli znów ze sobą być, czuł, że w tym wszystkim czegoś brakuje.

Może namiętności. A może miłości.

I Monika miała zapewne te same odczucia, bo pewnego dnia powiedziała, żeby poszukał szczęścia gdzie indziej.

Zrobiło mu się przykro, ale wzięła go za rękę i patrząc prosto w oczy, powiedziała:

- Przecież mnie nie kochasz, Janku.

I to była prawda. Nie mógł zaprzeczyć.

_ Widzisz - kontynuowała. - Jeśli będziemy ze sobą sypiali tak po przyjacielsku, bez miłości, nigdy nikogo nie spotkamy naprawdę, będziemy zawsze w pół drogi do szczęścia. Oczywiście, o ile ono istnieje - przerwała i spojrzała na Jana, chcąc chyba wyczuć, czy rozumie, o co jej chodzi, a może chodziło jej o to istnienie szczęścia?

W każdym razie nie czekała na jego odpowiedź, tylko od razu dokończyła:

- Nie wiem jak ty, ale ja chciałabym kochać... On nie chciał.

Nie zależało mu na miłości. Układ z Moniką odpowiadał mu idealnie i zastanawiał się, co ma w tej sytuacji zrobić, jak ją przekonać, gdy Monika zakończyła rozmowę:

- Ktoś mi się podoba, Janie, i nie miej do mnie żalu, że kończę tę część naszej... współpracy... - zaśmiała się.

Nieszczercze - i to się w tym śmiechu słyszało.

- Jeśli chcesz, odejdę z pracy - dodała na zakończenie.

Tego nie chciał w żadnym razie, więc zważowo zaproponował i ich stosunki wróciły do stanu przed urodzeniem Loli.

Monika była mu potrzebna jak powietrze. Lola też.

Kochał ją niemal jak własne dziecko i później, gdy w ich życiu pojawił się Bruce i stał się dla małej tym, czym on stać się nie mógł - ojcem, zazdrościł mu piekielnie.

Ale tak jak zawsze, jak zwykle, nauczył się o tym nie myśleć. Oddalał się od nich.

Monika organizowała mu zarówno pracę, jak i życie, uwalniała od wszelkich uciążliwości, ale trzymała się na dystans.

Kochała Bruce'a i coraz rzadziej jeździła z Janem w trasy. Ostatnio rozstali się na pełne trzy miesiące i tylko raz przyleciała na Korfu, by z nim omówić plany, właśnie plany wyjazdu do Polski...

Brakowało mu jej, ale rozumiał, że chce mieć normalne życie i dom.

On tego nigdy nie pragnął i gdy przez jedną zwariowaną chwilę pomyślał, że może się Monice oświadczyć, momentalnie odrzucił tę ideę.

Nie kochał jej.

Lubił, lubił je obie, ale to przecież za mało...

SIERPIEŃ 1990

Kruklanki

Komunizm się skończył - powiedziała blondynka w telewizji. Dla Basi to wcale nie było radosne wydarzenie, bo nagle jej swetry przestały się sprzedawać.

Szły jak woda jeszcze kilka miesięcy temu, a tu nagle klops. Import dzianin z Włoch, Chin, Korei no i przede wszystkim Turcji - kobiety rzuciły się na nowości, które w gruncie rzeczy, Basia to widziała, były tandetą, ale miały metki z pięknie brzmiącymi na-

zwami i kosztowały, no cóż, dużo mniej. Inna sprawa, że gdyby chciała, też mogłaby takie metki kupić.

Na Próżnej w Warszawie było tych metek, ile kto chciał.

Ale ona jakoś nie chciała.

W skąpym bikini siedziała na drewnianej, lekko omszałej i mokrej kładce nad jeziorem, którego kraniec rysował się gdzieś w oddali linią ciemnego lasu, moczyła nogi w wodzie i patrzyła, jak fale się powoli rozchodzą.

Cecilia Bartoli wyśpiewywała *Sposa son disprezzata* i była to chwila, której powinno się powiedzieć: trwaj.

Basia słuchała jej przez słuchawki swojego nowego walkmana i rozkoszowała się muzyką, starając się zapomnieć o kłopotach.

Wiedziała, że musi przeorganizować swoje życie po raz kolejny.

Ale na razie zamierzała po prostu odpocząć. Tylko że myśli niespecjalnie dawały się odgonić.

Hania siedziała na pieńku wyrzuconym na brzeg przez wodę, niedaleko niej, w zasięgu wzroku, i rysowała patykiem na piasku cyfry.

Ostatnio matematyka stanowiła jej prawdziwą pasję. Przedtem z zapalem malowała. A jeszcze wcześniej, tak, chyba tańczyła...

Miała na sobie tylko majteczki, włoski związane w kitkę na samym czubku głowy dodawały jej uroku i zadziorności.

Basia była z niej bardzo dumna: śmiesznotka i ślicznotka.

Taka była ta jej córeczka.

Teraz pracowicie dodawała i odejmowała. Kreseczka na piasku plus druga kreseczka i mamy dwie kreseczki.

Uspokojona Basia uśmiechnęła się i odwróciła wzrok. Znów pograżyła się w świecie Vivaldiego.

Głos Bartoli i Vivaldi byli idealnym dopełnieniem piękna wokół.

Dawno nie była na żadnym wyjeździe.

To, co zarabiała, mimo że zarabiała całkiem nieźle, nie starczało na takie luksusy jak wakacje.

Dopiero w tym roku się zmobilizowała, trochę uskładała i odłożyła premię roczną z myślą o wakacjach.

A tu taka wpadka!

Właściwie z dnia na dzień przestały się sprzedawać jej cudnościowe swetry.

No, katastrofa. Zerowe dochody.

Nie powinna wyjeżdżać w żadnym razie, ale nie mogła tej przyjemności odmówić Hani, która cały rok czekała na wymarzone i zaplanowane wakacje.

Pomyślała zatem w rytm piosenki: „Trudno, będzie, co ma być, czas przędzie zdarzeń nić”. Na razie odpoczywajmy, a później się zastanowię, co powinnam zrobić.

No i właśnie mocząc nogi w ciepłej wodzie, usiłowała coś wymyślić:

Za chwilę nie będziemy miały z czego żyć. Coś mi na to wygląda. Sam teatr to za mało. Pensja starcza tylko na wynajęte mieszkanko.

Cudu. Potrzebuję cudu.

Albo pomysłu.

Cuda się zdarzają, innym, ale nie mnie. Ja muszę coś wymyślić.

Odwróciła wzrok od jeziora, spojrzała w stronę Hani, ale Hani nie było na pieńku ani w pobliżu.

Nigdzie jej nie było.

Pustka.

Poderwała się szybko, za szybko, i walkman upadł na ziemię, ale Basia nawet na niego nie spojrzała.

Hania...

Boże! Hania!!!

SIERPIEŃ 1990

Kruklanki

Holger Van den Est leżał w płytkiej wodzie tuż koło brzegu. Niebo było jak zwykle niebieskie i jakiś ptak darł się dość przeraźliwie, nie szanując tego, że on właśnie postanowił się tu zrelaksować. W ciszy.

Z zamkniętymi oczami dawał się unosić fali. Był upał nie do zniesienia i można go było wytrzymać jedynie w jeziorze. Obok niego leżały dwa piwa, zanurzone w wodzie i zakopane ciut w piasku, i było mu dobrze, naprawdę dobrze.

Holger nie tylko się relaksował, ale też usiłował myśleć, co było w ten letni dzionek doprawdy ambitnym zadaniem, ba, nawet wyzwaniem...

Od upału warzył się mózg, ale tu, w tej cichej zatoczce, dawało się pomyśleć.

To było jego ulubione miejsce, odkąd zamieszkał w tej głuszy.

Musiał rozważyć, co ma dalej robić.

Holandia była dla niego zdecydowanie niedobrym miejscem. Dusił się w niej.

I tak, tu mu się podobało. Cisza, przyroda i przestrzeń. Niezbyt gorąco, na Goa było zbyt gorąco, w Bombaju zbyt gwarno, a w Australii za dużo kurzu. Tu jest w sam raz, piękna przyroda i piękne kobiety.

Może tego mu właśnie trzeba? Może to właśnie to miejsce, którego z uporem szukał, wędrując po świecie?

Miejsce, jak mu się wydawało, zapomniane przez Boga i ludzi?

Siedzi tutaj już drugi miesiąc, opala się, czyta i maluje.

Jest dobrze.

No i skończył się komunizm. Sam słyszał w telewizji. Taka blondynka mówiła.

Tylko czy można wierzyć blondynkom?

Jego dotychczasowe doświadczenia z blondynkami nie należały do najlepszych.

Ale z brunetkami też nie było lekko. Uśmiechnął się do wspomnień, jakże przecież miłych o blondynkach i brunetkach, i znów wrócił do głównego toku swojego myślenia.

Tak.

Powiedzmy, że komunizm się skończył.

Przyjmijmy to za pewnik.

Był więc chyba we właściwym miejscu o właściwym czasie.
A to miejsce takie piękne!

Żeby tu zostać, trzeba coś wymyślić, przeorganizować swoje życie. Od czegoś zacząć.

Pensjonat Krukłanki to świetne miejsce na tydzień, góra dwa.

On zaś zakotwiczył tutaj i siedzi dwa miesiące, nawet z okładem, ku oczywistemu zachwytowi gospodarzy Joasi i Stasa Wiecki... Wieckie wicóf, tak to jakoś idzie, zdaje się.

Te polskie nazwiska są doprawdy *afschuwlijk**

Życie w małym i ciasnym pokoiku przeznaczonym dla letników też nie jest dla niego.

Choć te pirogi Joasi, no cóż...

Dużo rekompensują.

Właściwie na początku to został przez te pirogi... No, ale teraz zjadł dość pirogów i czas pomyśleć. Coś wymyślić.

Zamknął oczy i znów pogrążył się w zadumie.

Leżał na dość płytkiej łasze, parę metrów od brzegu, falująca woda działała na niego uspokajająco.

Dawał jej się unosić, tak jak zawsze dawał się unosić życiu.
Co powinienem zrobić teraz? Tu i teraz?

* (holend.) - okropne.

Nagle woda zafalowała i poczuł, że coś uderzyło go w policzek. A potem zakłuło.

Otworzył niechętnie oczy i zobaczył małą, rozczochraną, prześmieszoną dziewczynkę, która patykiem usiłowała mu wykłuć prawe oko.

Dzierżyła w dłoni odrażający, sękaty badył i szturchała go nim bez pardonu.

Woda sięgała jej do pach, ale nie robiło to na niej wielkiego wrażenia i z uporem godnym lepszej sprawy i z zaciśniętymi wargami dźgała go patykiem.

Gdy zobaczyła, że otworzył oczy, powiedziała ze zdziwieniem, równocześnie wwiercając mu patyk w policzek:

- Żijesz? Myślałam, że nie żyjesz... - Wyglądała na rozczarowaną tym, że żyje, więc zapewne dlatego znów go dźgnęła i tym razem trafiła w ucho, co mu się zbytnio nie spodobało, bo zabołało jak diabli.

Holger złapał patyk i powiedział:

- Żijesz, żyje, nie kuj... Myślałaś, że jestem trup?

- No! - Dziewczynka pokiwała płową główką z pełnym przekonaniem i domieszką źle skrywanego entuzjazmu. - Nie ruszyłeś się, tylko bujałeś. Jak zwłok.

- Troszkę byłem zewłokiem. Czasem lubia być zwłokłem... - zakomunikował małej i zaraz się zainteresował: - A czemu ty tak wchadzasz do woda sama? To nie jest przezpieczne. Gdzie jest twoja mamusza?

I wtedy ją zobaczył... Mamusię.

Była śliczna. Krągła jak pączek wypieku Joasi, apetyczna jak jabłuszko i przerażona niczym sarna, co wypadła na szosę.

Biegała po brzegu w tę i z powrotem z obłędem w oczach i wołała:

- Haniu! Hania! Gdzie jesteś?! Hania!

Holger wylegiwał się w wodzie zaledwie kilkanaście metrów od niej, ale kładka i zakole jeziora skutecznie go jej zasłaniały.

Usiadł czym prędzej w wodzie, i w tej samej chwili mała zrobiła jeden krok za dużo i zniknęła w dole czy rozpadlinie.

Była, i po sekundzie jej nie było.

Zerwał się jak oparzony i rzucił się szczupakiem w miejsce, gdzie przed chwilą widział znikającą płową główkę.

Sam się zapadł i zniknął porwany nurtem jeziora. Dwa kroki od niego rozciągała się głębia, z której istnienia nie zdawał sobie wcześniej sprawy.

A może utworzyła się po wczorajszej burzy?

Wszystko możliwe. Nie myślał jednak o tym, tylko rozpaczliwie wymachiwał rękami w nadziei, że trafi na małą.

Złapał równowagę, ale stracił orientację w wodzie. W tej mętnej, zagłonionej cieczy nie było widać ani dziewczynki, ani jego własnej nogi.

Rozpaczliwie nurkował i przeczesywał dno.

Nic.

Wychynał na powierzchnię i znów dał nurka w głębinę, tym razem szczęśliwiej, bo zauważył jakiś ruch, jakiś obły kształt, złapał coś i poczuł, że to dziecięca nóżka.

Chwycił ją mocno, pociągnął i wypłynął błyskawicznie na powierzchnię.

Ile czasu trwała ta cała akcja - nie wiedział.

Czy to były sekundy, czy minuty?

Ile było tych minut?

Gdy wreszcie stanął na stałym gruncie, potrząsnął mocno wiotkim i bezwładnym ciałkiem i poczuł rozpaczliwą pewność, że jest już za późno.

Mała nie żyje.

Przelewała mu się przez ręce. Nie czuł ani pulsu, ani oddechu. Odwrócił ją, złapał pod pachy i wylewał z niej wodę, idąc w kierunku brzegu.

Kobieta biegająca po plaży zauważyła wreszcie i jego, i dziewczynkę. Rzuciła się w ich kierunku, krzycząc coś, czego Holger nie rozumiał. Szarpała go za ramię i usiłowała wyrwać dziecko.

Odsunął ją energicznie i położył małą na piasku. Szczęśliwie nie musiał nawet robić sztucznego oddychania, bo dziewczynka złapała nagle powietrze w płuca, wykrztusiła resztkę wody i otworzyła nieprzytomnie ślepka.

Miał ochotę porwać ją w ramiona i podziękować za to, że się wybudziła, ale nie miał szans, bo matka zrobiła to szybciej.

Przytuliła małą do piersi i zaczęła głośno płakać, znów wymawiając to imię: Hania, mała musiała mieć na imię Hania.

Ładnie.

Mamusza była zasmarkana, załzawiona i utyłana mokrym piachem, ale no, naprawdę, podobała się Holgerowi. Nader.

Poncek.

Do tej pory była skamieniała ze strachu, teraz zaś wtulona w mokre włoski dziecka lepiące się do jej policzków i warg, szeptała:

- Hanusiu, Hania, Haniu... Jakby się zacięła.

Holger dotknął jej ręki:

- Będzie topse. Nie placki. Jusz teraszi bedzi topsze...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Komórka rozdzwoniła się jak szalona i wystarczył jeden ruch ręki do kieszeni wczorajszej marynarki, powieszonych już bardzo porządnie w szafie, by ją znaleźć.

Jan sięgnął po nią prawą ręką, lewą zaś wskazał pokojówce drzwi, a ona, nie kryjąc zadowolenia, zniknęła za nimi w mgnieniu oka.

W komórcie usłyszał głos rozwścieczonej Moniki piekłającej się, gdzie też on jest, więc sam też zaczął się złościć, dla symetrii, ale i z potrzeby serca, że nie ma jej przy nim i on sam musi...

Powściekali się tak symultanicznie przez parę minut, aż w końcu, gdy przestali na siebie krzy-

cześć, Jan zapytał wreszcie, gdzie jest ten przeklęty casting. Wypadł z pokoju na korytarz, a gdy znalazł się na dole, wskoczył do jednej ze stojących przy wejściu limuzyn, głośno zatrzaskując drzwi, i pomknął na Nowogrodzką, gdzie kłębił się już bajecznie kolorowy tłum czekających na niego ludzi: tancerzy, dziennikarzy i zwykłych gapiów.

W aucie udało mu się trochę ochłonąć i poskładać w całość, niemniej zdecydowanie nie był w dobrej formie.

Ta kontuzja, potem historia z Basią, która uparcie nie odbierała telefonów, kompletnie wyprowadziły go z równowagi. Zrobił się jakiś nerwowy, a do łagodnych nigdy nie należał, wiedział to na pewno.

I cóż, lubił.

U siebie.

Ten brak łagodności.

By tańczyć i tworzyć, potrzebował spokoju, a cała ta sytuacja wybijała go z rytmu, stresowała go. Nie podejrzewał, tam na Korfu, że nawiązanie kontaktu będzie takie trudne.

Basia i dziewczynka najwyraźniej nie chciały go znać. A przecież powinny myśleć racjonalnie - miał im niemało do ofiarowania.

Tylko że jak już dawno zauważył, w tym kraju ludzie nie myślą albo nie myślą racjonalnie. I to ich gubi.

Poddają się emocjom i złudzeniom. Chorym ambicjom, tak. Od bandy do bandy.

Jedni byli skrajnie interesowni, inni skrajnie romantyczni. >
Tak jak Basia.

On myślał racjonalnie. Zawsze.

A o Basi i małej musi na razie zapomnieć, później wróci do tematu.

Teraz jest robótka. A to lubił.

Usiadł na proscenium, gapił się na tancerzy i nikt, i nic mu się nie podobało. Poskakał trochę po jakimś hiphopowcu, potem po jednej łamadze, drugiej, i humor zmienił mu się diametralnie.

Odreagował, i było okej.

I wtedy właśnie zauważył tego chłopaka z lewej. Nie był zły. Ba, był dobry.

Przyjrzał mu się uważniej, i tak, był niezły.

No dobrze, przynajmniej jeden.

Powoli zapominał o porannych przygodach i wciągał się w pracę.

Po godzinie, gdyby ktoś go zapytał o Basię, musiałby sobie przypominać, kto to.

Cedził oceny przez zaciśnięte zęby i eliminował kolejnych kandydatów.

Było nieźle. Całkiem zabawna grupa mu się formowała.

Bezlitośnie wywalał tandeciarzy i nieuków.

Odprężał się, skacząc po nich, obsztorcowując ich i obserwował uważnie tych dobrze rokujących. Szukał pomysłu.

To był jego żywioł, a nie jakieś durne minione romanse i utracone dzieci.

Żałosne.

Ten chłopak, który tańczył z lewej, był naprawdę niezły. Jak on kiedyś...

Nachylił się do Moniki i wskazując go wzrokiem, zapytał:

- Jak się nazywa?

- Wojtek Kowalewski.

Popatrzyli na siebie przez moment i już wiedzieli, że mają kogoś, dla kogo warto było tu przyjechać...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Hania siedziała na brzeżku kanapy i klęła w duchu swoją głupotę: dała się zwabić do meliny zboczeńca.

Wojtek, ten nowo poznany chłopak, był taki miły na spacerze, który zafundowali sobie bezpośrednio po eliminacjach w ramach relaksu, że dała się zwabić na herbatę.

Do niego, do domu.

Teraz żałowała.

Siedząc podczas castingu na ławce pod ścianą wraz z innymi dziennikarzami, obserwowała eliminacje i Kettlera szeroko otwartymi oczami, prawie w transie. Był to dla niej egzotyczny świat i czuła nieomal głód, głód wynikający z chęci poznania. Chłonęła wszystko wokół.

Jak zaczarowana patrzyła na barwne typy ludzkie, niesamowite układy taneczne prezentowane przez kandydatów, ale też na te nieudane, nietrafione czy po prostu śmieszne.

świat i życie kłębiły się na scenie, a jej ojciec, słynny Jan Kettler, oceniał, krytykował, wyśmiewał i rozdzielał pochwały i nagany.

Był niczym Bóg w dniu sądu ostatecznego.

Otoczony szacunkiem i uwielbieniem, ale surowy i sprawiedliwy.

Od Boga jednak różnił go zdecydowany brak czegoś takiego jak dobroć czy łagodność.

Był taki, jak zapowiadał: bezwzględny.

Jego wyroki były po prostu porażające, sarkazm zaś zabójczy.

Nie był miły. Oj, nie...

A Wojtek, ten dopiero co poznany Wojtek, po prostu zatańczył, i to zatańczył genialnie.

Udało mu się to, co nie udało się nikomu ze współzawodników - oderwać uwagę Hani, ale też uwagę wszystkich innych, od Kettlera, gwiazdy tych eliminacji i w ogóle gwiazdorka, jak go w duchu przezwiała Hanka.

Odstawił tuż przed nosem mistrza improwizowaną miniaturkę taneczną, która wprawiła wszystkich, z Hanią na czele, w osłupienie i jednocześnie w zachwyt.

Tańcząc, dał jej ojczulkowi pstryczka w nos, zademonstrował swoją niezależność, no i wygrał casting.

Nie mało.

Był bez wątpienia najlepszy ze wszystkich startujących i Hania się zachwyciła. Po prostu.

Nigdy nie sądziła, że w ogóle można w ten sposób tańczyć, tak wyrażać tańcem uczucia.

To było tak oszałamiające, tak była ciekawa tego na pozór zwykłego Wojtka, że kiedy w czasie spaceru zaproponował, że pożyczy jej płytkę z nagraniem scen baletowych z udziałem Kettlera, z zamierzonego już 1983 roku, więc jeszcze przed jej narodzinami, nie mogła się oprzeć takiej propozycji, dała się zaprosić do domu i teraz siedziała przerażona jak mysz w łapach kota i zastanawiała się, gdzie trafiła.

Pokój był zabałaganiony albo raczej zabagniony w sposób nie do pojęcia, więc najpierw nie zauważyła nic niezwykłego w mrowiu przedmiotów zalegających meble i podłogi, bo też i trudno było w nim cokolwiek wyłapać.

Ale kiedy ten cały Wojtek zniknął na moment, by zrobić herbatę, i mogła się spokojnie rozejrzeć, wpadła jej w oko kolekcja małych statuetek, na których widok ogarnęła ją prawdziwa panika.

Było ich multum i stały na każdym dostępnym czy wolnym miejscu.

Przedstawiały ludzi tak dziwnie ze sobą splecionych, że najpierw nie zrozumiała, co ci ludzie naprawdę robią.

No, głuptas z niej.

Ale po chwili załapała i kompletnie ją замуrowało.

Czy w ogóle tak można?

Nie wiedziała.

Nieopodal jej nosa, na zagraconym stoliczku, stała rzeźba przedstawiająca parę uprawiającą seks w taki sposób, że koniuszki uszu Hani poczerwieniały, poczuła się wręcz wstrząśnięta, a nie tylko zmieszana.

Odwróciła wzrok, bo mogła dostać zeza. Na stałe.

Gdyby Sławek, jej przyszły mąż Sławek, to zobaczył, pewnie by zemdłał. Powędrowała wzrokiem po pokoju.

Na pobliskim stoliku dostrzegła kolejną statuetkę, ale tym razem, co wydawało się niemożliwe, pozycja była jeszcze bardziej wyuzdana.

Na każdym nieomal sprzęcie stały następne posążki, coraz to bardziej zadziwiające.

Co to w ogóle miało być? Nikt normalny nie trzyma takich rzeczy na wierzchu. No, w ogóle nie trzyma.

Przynajmniej ona nigdy nie zetknęła się z tak obscenicznymi przedmiotami.

Popatrzyła z przerażeniem w kierunku kuchni, myśląc, jak by się tu szybko wymknąć, póki Wojtek jest zajęty parzeniem herbaty.

Człowiek zbierający takie przedmioty nie mógł być normalny.

Postanowiła uciec, czym prędzej.

Ale było już za późno.

Wojtek stał w drzwiach i gapił się na nią, bo zauważył jej przerażenie. Zadrzała.

A on uśmiechnął się tylko szeroko i stawiając przed nią kubek z parującą herbatą i talerz spaghetti, powiedział lekko, omiatając wzrokiem rzeźby:

- To kolekcja Marcina. Mojego kumpla. Z Indii. Statuetki z Indii.

On jest stąd.

- A, kumpla - odetchnęła głośno i z ulgą Hania. - Już myślałam, że trafiłam na jakiegoś...

- Kolekcjonera?

- Tak, motyli... - zażartowała i dodała tytułem wyjaśnienia. - Wiesz, czytałam taką książkę, *Kolekcjoner*, nie pamiętam autora. To było o takim wariacie, co pannę więził w piwnicy. Kolekcjonował motyle i dziewczyny - powiedziała, patrząc na Wojtka i starannie omijając wzrokiem posążki.

- No, to chyba już niemodne: zbieranie motyli, a panny kolekcjonuje wielu facetów i to jest jak najbardziej trendy, choć może nie trzymają ich w piwnicach - roześmiał się, a Hania mu zawtórowała. - Ale motyle i znaczki - dodał - to już raczej przeszłość. O! Te statuetki Marcina są jednak bardziej na czasie - uśmiechnął się ponownie do Hani i sięgnął po wyschnięty herbatnik z talerzyka na stole.

- Być może motyle rzadko kto teraz zbiera. Ale panny w piwnicach są bardzo, jak mi się wydaje, na czasie - powiedziała Hania. - Ja zupełnie nie przejmuję się modą i... zbieram znaczki! - zakomunikowała nieco wyzywająco.

A czemu właściwie ma się z tym ukrywać. Przyjrzała się herbatniczkom, ale się nie skusiła. Były jakieś takieś...

- Serio?

- Tak. Zaczęłam zbierać w dzieciństwie i teraz czasem jak widzę ciekawą serię, nie umiem się oprzeć i jeszcze dokupuję, choć to takie oldskulowe i niemodne. A ty coś zbierasz?

- Nie. Ja tylko tańczę... Tylko tańczył.

Tak jak jej ojciec. Hania popatrzyła w oczy Wojtka i pomyślała, że może przyjście tu wcale nie było takim błędem, jak sądziła na początku, może on jej opowie o tym, jak to jest i dlaczego ktoś wybiera taniec zamiast dziecka...

- Widziałeś, Wojtek, na tym castingu, jak ten... Kettler pomiatał ludźmi? - zapytała. - Drwił z nich! I wstawiał na tej konferencji takie dyrdymały, że aż uszy bolały. O! Rym! - ucieszyła się, trochę bez sensu, ale Wojtek nie zareagował uśmiechem, tylko zauważył, lekko się jej sprzeciwiając:

- Mnie to się akurat podobało, jak powiedział o tym języku duszy. Jedzmy spaghetti, bo wystygnie.

Usiadł *vis-à-vis* niej i sięgnął po widelec. Zaczął jeść jak głodny wilk na przednówku. Aż mu się uszy trzęsły - tak mówiła Kowalikowa o swoich dzieciakach. Hania przyglądała się Wojtkowi i coraz bardziej jej się podobał. Miły koleżka, co tu kryć, i przystojny po prostu zjawiskowo.

No zaiste, gdyby nie Sławek...

Ale był Sławek i nie było o czym myśleć.

Hania nadzieja na widelec farfalle, wsadziła do ust i powiedziała, wydymając wargi z niesmakiem,

który odnosił się do wypowiedzianej kwestii, a nie farfalli, bo farfalle były fcalle fcalle, co zauważyła z ukontentowaniem:

- To beznadziejne. Nie rozumiem, skąd to całe halo wokół Kettlera.

- Może dlatego że jest geniuszem? On nie tylko haruje, by każdy gest był perfekcyjny, ale widać ma z tego piekielną zabawę. Rozumiesz? Połączenie koszmarnego wysiłku z superzabawą.

Hania pokiwała głową bez przekonania:

- Aha.

A Wojtek widząc, że nie bardzo to do niej dotarło, dalej próbował jej wytłumaczyć swoje racje. Tak jak tłumaczył je zawsze, od zawsze, wszystkim wokoło: ojcu, bratu, przyjaciołom.

Chciał, by ta dziewczyna, ta Hania, zrozumiała, czym jest taniec.

Dla niego i w ogóle...

Więc zaczął znów, tak jak zwykle, dyskusję, w której nigdy nie wygrywał, ale zawsze próbował przekazać to, co było dla niego najważniejsze, czyli miłość do tańca.

Zapytał zatem podstępnie: . - A ty? No co robisz, żeby się dobrze bawić?

Wiedział, że ludzie na ogół nie umieją się bawić, że brakuje im pasji, a ich życie jest normalne do bólu i mdłe, że uciekają od wyzwania, wysiłku i perfekcji.

Nie wiedzą, nie rozumieją, jakie to kręcące, i że dopiero to daje życiu prawdziwy smak.

Przyglądał jej się uważnie i Hania się zmieszała.

Co robiła, by się dobrze bawić?

Nie wiedziała, więc odparła po prostu:

- Wiele rzeczy... - i miała nadzieję, że na tym się skończy i że da jej spokój.

Ale Wojtek nie ustawał w dociekaniach:

- Na przykład?

Doprawdy co miała mu odpowiedzieć?

Właściwie to nigdy się dobrze nie bawiła. Robiła to, co powinna. Pracowała, była obowiązkowa i jakby nic więcej.

Ale przypomniała sobie swoją ulubioną holenderkę i ucieszyła się, że ma coś, co naprawdę lubi:

- Jazda na rowerze, bardzo mnie to kręci - zakomunikowała z triumfem.

- I?

- Bieganie.

- I?

- No nie wiem. Znaczki zbieram. Już mówiłam... Wojtek nie był zachwycony:

- To wszystko? Ale to cię tylko kręci czy jest twoją pasją? Usiłujesz w tym być jak najlepsza, przekroczyć jakieś granice?

Zapadła chwila milczenia, Hania nie odpowiadała, tylko pochyliła głowę i obrysowała palcem kształt wzorku na niezbyt czystej serwecie, którą był przykryty stół.

Wojtek niefortunnie dodał jeszcze:

- Wyzwała cię to?

- Jeżdżenie na rowerze?! - zdumiała się Hania.

- No, jeśli to pasja... To powinnaś się jakoś w tym spełniać.

- W jeżdżeniu na rowerze?! - powtórzyła Hania.

A Wojtek znów poczuł się jak głupi. Ale trzymał się twardo swego:

- Tak. Jeśli to pasja, to powinno cię to wyzwalać...

Hania patrzyła na niego przestraszona i zastanawiała się nad swoimi zainteresowaniami i nad tym, co one jej dają.

Jakby - nic.

Czas. Zabijają czas. Figurę ma od biegania lepszą. O!

Rzeczywiście, coś tego mało i jakieś to żalosne, więc dorzuciła już rozpaczliwie i naprawdę straceńczo:

- Jeszcze sprzątanie...

Wojtek popatrzył na nią jak na głupią i teraz ona z kolei czuła się jak głupia.

- Sprzątanie? - zapytał ze zdumieniem w głosie.

- No tak. Lubię sprzątać, czy to coś złego? Gdy posprzątam, czuję się lepiej...

Dla Hani sprzątanie to bezpieczeństwo. To dom. To ucieczka. Ład i harmonia, a także kontrola.

Zawsze się uspokajała, gdy porządkowała swoje rzeczy i tworzyła wokół siebie ład.

Tylko wtedy czuła się naprawdę bezpieczna.

Basia dbała o nią i kochała ją, ale często w tym zamęcie, jakim bywało ich życie, w szale pracy nie miała dla niej czasu. Ciągłe zmieniały wynajmowane mieszkania i do domu przychodziły coraz to nowe obce kobiety, opiekunki, gosposie, czy tylko sąsiadki, i zajmowały się Hanią.

Czasem były miłe, ale czasem nie. Krzyczały na nią, gdy coś zbroiła, a jedna taka Wandzia to nawet ją biła po nogach sznurem do bielizny. Och, jak to bolało.

No, gdy mama zobaczyła ślady sznura na łydkach Hani, to Wandzia straciła nie tylko posadę, ale nieomal i życie, bo Basia wpadła w szal, co przecież nigdy jej się nie zdarzało, i Wandzię wyrzuciła, popychając ją ze schodów, gdy ta coś tam pyskowała i stawiała się.

Ale po tej Wandzi Hania zawsze już się bała obcych kobiet, które miały się nią zajmować. Najlepiej czuła się w jakimś kąciuku, gdzie mogła się zaszyć i czytać lub odklejać w wodzie znaczki od kopert, suszyć je i delikatnie, z pietyzmem sadowić pęsetką w ciemnoczerwonym klaserze, który dostała od Willema.

Czasem tęskniła za Willemem, który był dla niej prawdziwym przyjacielem, prawie ojcem.

Ale zniknął. Przeminał.

Tak jak wszyscy. Przychodzili i odchodzili.

Tak, była perfekcyjna, utrzymywała porządek, bo po prostu się bała.

Najpierw bała się, że nianie zaczną ją bić, tak jak ta Wandzia, jeśli będzie bałaganić, albo odejdą, bo nie była dobra. A poza tym, gdy sprzątnęła i poukładała wszystkie rzeczy, opanowała chaos i bałagan, każde miejsce stawało się bardziej jej i przestawała się bać.

Czuła się bardziej u siebie. Bezpieczniej.

Ale o tym Hania już w tej chwili nie myślała. To są sprawy, które wyrzuciła z głowy.

Patrzyła na Wojtka i czuła, że chciałaby już pójść do domu, do Sławka, a nie odpowiadać na takie trudne pytania.

Sławek też jest jak skała i Hania wiedziała, że on nigdy z niczym nie wyskoczy i że życie z nim będzie spokojne i stabilne, a właśnie tego ona chciała od życia. Stabilności. Bezpieczeństwa.

Nie chciała odpowiadać na głupie pytania o pasję, ona nie potrzebowała pasji, miała zamiar podnieść się z krzesła i zniknąć z życia Wojtka raz na zawsze. Nie chciała, by zburzył w niej ład i spokój, które sobie i w sobie starannie wypracowała...

Trudno, nie wiedziała, czym może być taniec.

W zasadzie, po co jej to? W końcu ten Kettler to żaden ojciec, dawca nasienia. O!

Willem był dla niej jak ojciec i nie potrzebowała innego.

Wojtek widział, jak Hania podniosła się z krzesła i miała zamiar wyjść, nie bardzo rozumiał, czemu tak nagle wstała, więc poderwał się, by ją zatrzymać, ale nagle usłyszał głosy dobiegające z korytarza i do mieszkania wpadali jego współspacze.

I trochę był zły, bo czuł, że oni się Hani nie spodobają.

Byli jej zaprzeczeniem.

Całe to spotkanie okazało się jedną wielką porażką, ale przecież tego nie chciał, tylko sytuacja wymknęła mu się spod kontroli.

Chciał jej po prostu opowiedzieć o tańcu.

Musiał. Nie umiał nie opowiedzieć, potrzebował się podzielić.

Ale przecież jej nie znał. A mówienie o pasjach budziło niechęć, bo większość ludzi nie rozumiała ani jego, ani jego pasji. I dziewczyny też nigdy nie rozumiały. Kiwały głowami, ale nie rozumiały, o czym on mówił.

Chciały, by był tylko dla nich.

A on miał taniec i musiał się dzielić, znajdować czas, a często go nie znajdował, bo też nie był z gumy, więc dziewczyny, jedna po drugiej, odchodziły i obiecał sobie, kiedy odeszła ta ostatnia, Agnieszka, że już nie będzie mówił o tańcu. Ale jakoś nie mógł.

Hania, ta Hania, podobała mu się tak bardzo, że chciał, by zrozumiała.

Chciał zrozumienia.

A nie fałszu i powierzchownej znajomości, kiedy się stoi jedną nogą w związku, a drugą w swoich sprawach.

I tak naprawdę w ten związek nie wchodzi.

On chciał związku, który by był pasją. Namiętnością. Jednością.

Tak jak taniec, jak w tańcu.

Bo inaczej to jest tylko seks i oganianie się, dawanie czegoś po to, by coś dostać, ale dawanie jak najmniej.

Seks i pensum - tak o tym myślał, ale tego nie chciał.

Chciał pasji. W miłości też.

Ale to pragnienie dzielenia się tym, co własne i jego, było błędem, wiedział, że to się nie sprawdziło, bo i ta Hania krzywiła lekko nosek, gdy słyszała o jego pasji, i sięgała po torebkę.

Hania chciała już pójść.

Wojtek stał się męczący, a ci koledzy Wojtka, którzy się zniechęceni pojawili, no nie, to już zupełnie odpadają.

Wcale nie byli okej, choć myśleli, że są.

Ten typ tak ma, a ona znała ich na pamięć, choć ich nie znała.

Przypominali jej przyjaciół Holgera. Zawodowi nonkonformiści, którym się wydawało, że posiadli ni mniej, ni więcej, tylko prawdę.

Weszli do pokoju i choć było ich zaledwie trzech, to kłębili się, jakby była ich cała gromada.

Kłócili się o jakieś głupoty, zupełnie tak jak tamci, i Hania marzyła tylko o jednym: by jak najszybciej zniknąć.

- To było w maju! - wykrzyknął jeden z koleś.

- Gdzie w maju baba w futrze! - zaprotestował drugi. - To był styczeń, pamiętam, bo cholernie zmarzłem, jak czaiłem się przed sklepem z futrami. Już myślałem, że mi ręce odpadną, aż tu nagle wyszły dwie naraz, ale ta w lisach była trochę bliżej, więc podjąłem męską decyzję i chluzt z jednego wiadra i lecę z drugim za tą w szynszylach. Ale to była twarda sztuka. Natychmiast zaczęła kluczyć między samochodami, co znacznie zmniejszało celność, a przecież miałem jeszcze tylko jedno wiadro. No i się wywaliłem, bo nogi miałem sztywne z zim-

na, i pół farby mi się wylało. Już myślałem, że będzie porażka, ale zebrałem się w sobie, pomyślałem o tych wszystkich zwierzątkach futerkowych obdzieranych żywcem ze skóry. Jak ja zacząłem biec, jak ja biegłem. Przy kiosku Ruchu była moja. Chlust i mówię: nie łaska bez futerka? Zamurowało ją.

- Jest co wspominać. A grafficiarstwo to nuda. No tak. Idioci, pomyślała Hania i spojrzała na

Wojtka, śmiejącego się z tej durnej historyjki. Chłopaki wyglądali, jakby właśnie wrócili z Iraku czy Afganistanu, w wojskowych ubraniach i utyłani jak nieboskie stworzenia. No, dzieciaki.

Ale towarzystwo ma ten Wojtek, krzywiła się Hania. I na pewno nie dla mnie. Poprawiła swój kostiumik i sięgnęła po torebkę przewieszoną przez krzesło, manifestując w ten sposób swoją natychmiastową chęć opuszczenia mieszkania i Wojtka, który patrzył na nią bezradnie.

Dopiero w tym momencie jeden z zagadanych chłopaków, akurat ten jeden wyglądał nieco bardziej cywilizowanie i na dodatek trzymał w ręku książkę, zauważył Hanię, zbliżył się do niej i wyciągnął rękę, przedstawiając się nader dwornie:

- Dzień dobry. Miło mi. Platon.

Hania nie bardzo wiedziała, jak zareagować, ale podała dłoń i przywitała się, ukrywając panikę.

Platon, pomyślała, a ten drugi zapewne Sokrates. Wypisz, wymaluj...

Minutę wcześniej, zanim dostrzegła książkę, żadnego z nich nie posądziłaby o kontakt z czymś tak wyrafinowanym. Młotki i tyle.

Wojtek widział jej dystans i usiłował ratować sytuację.

- Cześć, chłopaki. Haniu, to są właśnie kumple, z którymi mieszkam: Marcin, Platon i Kuba.

Hania wbiła wzrok w podłogę i przedstawiła się z ociąganiem:

- Cześć, jestem Hania.

Trzeci koleżka objadający się falafelem w kolorze tektury z kapiącym z niego tradycyjnym składnikiem falafeli, czyli keczupem, na Hanię ani nie spojrzał, nie rzucił żadnego cześć, hej albo cze, tylko od razu zapytał obcesowo:

- Jedliście obiad?

Hania zgłupiała, a Wojtek zabił go nieomal wzrokiem i odpowiedział, nie, odburknął: -Tak.

- A umyłeś talerze?

- Kuba, proszę cię, oczywiście.

- A po obiedzie pozmywać to już nie łaska -cedził jadowicie ten, jak mu tam, Kuba, wskazując brudnym paluchem i takimże paznokciem, na dodatek połamanym albo źle obcięty, na dwa puste talerze stojące jeszcze na stole, i wyglądał przy tym jak wampir Nosferatu, bo z ust skapywał mu keczup.

Hania wzdrygnęła się z obrzydzenia i przerażenia. Miała zdecydowanie dość.

Nie cierpiała takich koleśi. Nie przypadkiem wybrała Sławka.

Założyła torebkę na ramię i odwróciła się już zdecydowanie w kierunku drzwi, gdy ten ekolog

amator w panterce, co dawała do myślenia, odezwał się dość bełkotliwie:

- Kuba, ja bym do tego podszedł bez emocji. To jest bardzo dobry przykład potwierdzający supremację zasady równowagi w przyrodzie.

No, ciekawe, pomyślała Hania, o czym on? - i na chwilę zamarła, przysłuchując się rozmowie.

Za Boga nic nie rozumiała.

Ci faceci to kosmici - takie miała wrażenie i choć ten Wojtek może i był miły, to jednak zdecydowanie nie były to jej klimaty.

Czy miły facet może mieć durnowatych przyjaciół?

Kuba, amator sprzątanina i jak można było podejrzewać, czystości, wycierał sobie dłonie poplamione falafelem, keczupem i tłuszczem o spodnie i odpowiadał, zwracając się do Wojtka:

- No tak, luźna guma. Niemniej jednak, skoro już gościsz w moim mieszkaniu i przyprowadzasz do niego dziewczynę, powinieneś najpierw posprzątać. Zasady obowiązują.

Wojtek bronił się, no cóż, niezbyt zręcznie...

- Ale Hania to nie jest dziewczyna.

Hania otworzyła szeroko oczy, a może i usta. Ciekawostka.

Nawet Platon podniósł wzrok znad książki. Wojtek, widząc jej zadziwienie, uściślił:

- To znaczy dziewczyna, ale koleżanka. Ekolog Marcin wybuchnął śmiechem, ale po

sekundzie zamilkł i zapadła niezręczna cisza.

Hania miała zdecydowanie dosyć, szarpała Wojtka za rękaw i mówiła nieśmiało, bo wpa-

trzone w nią oczy jego kompanów peszyły ją niezmiernie:

- Chyba powinnam pójść...

Ten od falafela, Kuba, powstrzymywał ją.

- Siedź, Haniu, pełen luz. Przeszkodził mi wam. O czym rozmawialiście?

- No właśnie miałem Hance pokazać „Dużą prawdę prawd”.

- Teraz?

- Czemu nie?

Hania znów się zainteresowała, co to takiego: duża prawda.

- Jaką prawdę prawd? Zresztą to nie ma... -Machnęła ręką. -
Może już pójdę.

Ale Kuba, który jak się zdaje, nagle zapalał do niej sympatią, co czasem się facetom zdarza, gdy widzą ładne oczy czy zgrabne nogi, popychał ją, zdumioną tą poufałością, na kanapę i nakazał kategorycznie:

- Luz, siedź, Hanka. Dobra. Platon, wybierasz.

I Hania usiadła. Zawsze była zbyt uległa, wiedziała to dobrze.

Nawet kiedyś poszła na kurs asertywności, ale, jak widać, niewiele pomógł.

Zresztą co tu kryć, była ciekawa, co to ta duża prawda. Zawsze chciała poznać prawdę, jak wszyscy.

A co dopiero: dużą. Oni tak przypominali kolegów Holgera. Z jego ostatniego okresu, rzecz jasna. Też robili wrażenie, że posiadli prawdę prawd. O ile

Basia pamiętała, potem czytała coś o aresztowaniu Dirka, tego najbardziej radykalnego.

Ci tutaj też znali prawdę. Ciekawe jaką?

Platon, ten od książki i dętych zdań, co nic nie oznaczają, mówił z namaszczeniem:

- Nie wiem, czy sobie przypominasz, ale ostatnio ja wybierałem, Jakubie.

Hania nie wytrzymała i zapytała:

- Co?

I przebiegło jej przez myśl, że może jednak to są jacyś zbrodniecy, więc znów się poderwała z kanapy, ale Platon, jak to on, odpowiedział z namaszczeniem:

- Hanno, w istocie to był dźwięk. Pojedynczy i rytmiczny.

Dźwięk.

No, może nie będą gwałcić.

Hania uśmiechnęła się do własnych myśli i trochę odprężyła. Jednak anarchiści.

W końcu ekolog Marcin przerwał tę nieco bezsensowną dyskusję, mówiąc:

- Dobra, ja wybieram.

Chłopaki zajęli miejsca: Kuba został przy lodówce, Marcin wziął butelkę po piwie, Platon usiadł przy stole z książką w ręce, a Wojtek chwycił za sztuce.

Wszyscy zamknęli oczy. Zapadła cisza.

Hania patrzyła na nich jak na wariatów. Po chwili wśród dźwięków, jakie niosły miasto i dom, przez otwarte okno dobiegł odgłos trzepania dywanów. Wybijał się spośród innych swoją miarowością i Marcin rzucił hasło:

- Dywan!

Na tę komendę Wojtek i jego przyjaciele zaczęli poruszać się w rytmie trzepania dywanu.

Marcin jako pierwszy dmuchnął w butelkę, łapiąc ton i wtórując dźwiękom dobiegającym z podwórka. Po chwili Kuba otworzył i zamknął drzwi od lodówki, a Platon jednym palcem kartkował książkę, czasem stukając w nią miarowo.

Wojtek zaczął uderzać w różne naczynia. Trzepanie dywanu było podstawowym rytmem, a to, co robili chłopcy, dopełniało go, wzbogacało i prowadziło dalej.

Robił się z tego muzyczno-onomatopeiczny utwór. Muzycy coraz bardziej się rozkręcali. Zaczynali odważniej się poruszać, ktoś coś dośpiewywał. Wojtek walił już na całego w naczynia i zaczął tańczyć.

Hania uśmiechnęła się. To jest super!

Wojtek widząc jej uśmiech, odetchnął z ulgą, szybko rozejrzał się po kuchni i w końcu wziął ze stołu dużą łyżkę do spaghetti. Podszedł z nią do Hani i powiedział:

- Wstań, Haniu.

- A po co?

- Po prostu rób, o co cię proszę. Weź łyżkę. Hania wzięła lekko brudną łyżkę i zapytała z trwogą w oczach:

- Co mam z tym zrobić?

Wojtek nie odpowiedział, tylko chwycił jedną z butelek po piwie, których, jak zauważyła

Hania, niemało stało w rogu pokoju, i ująwszy jej dłoń z łyżką w swoje ręce, rytmicznie uderzał w butelkę.

Hanię przeszył dziwny dreszcz, gdy poczuła rękę Wojtka na swojej, i przerażona tym uczuciem, wyszarpnęła mu się.

- Wojtek, nie chcę, nie potrafię. Ale on nie przyjmował jej odmowy.

- Każdy potrafi. Dalej, wczuj się.

Puścił jej dłoń, a Hania niepewnie zaczęła uderzać w butelkę i po chwili złapała, o co w tym wszystkim chodzi.

Uśmiechnęła się do Wojtka, a ten polecił:

- Teraz zacznij się ruszać.

- Jak? Nie umiem.

- Każdy umie.

Hania zaczęła niepewnie się poruszać w rytmie uderzeń.

Teraz już naprawdę rozumiała, o co biega, i zatopiła się w rytmie.

Uciekła. Nie było jej. Sama była rytmem.

Wyginała się, tańczyła i zapomniała, gdzie jest, po co i dlaczego. Waliła w butelkę brudną łyżką i tańczyła, była tańcem i była rytmem.

A Hani, tej grzecznej Hani, wcale nie było.

Muzyka, powiedzmy, kocia, w mieszkaniu Kuby osiągnęła apogeum. Wszyscy tańczyli i walili w co popadnie, jakby ich opętało złe czy dobre, jakby ich zagarnęła fala.

Hania cała była rytmem i uderzała już nie tylko w butelkę, ale też w stół, krzesło i dzbanek na

stole. Nogą potraçała stołek i też nim wystukiwała trata mam ram tam tam.

Rytm ją porwał i wciągnął. Hania czuła, że opuściła swoje ciało i świat i wreszcie była wolna. I kiedy miała wrażenie, że uleciała gdzieś w dal i poszybowała, zabawa została zakłócona.

Ktoś walił w sufit z furją i krzyczał:

- Cisza, do jasnej cholery! - co w gruncie rzeczy jeszcze bardziej muzycznie wszystko dopełniło.

Chłopaki nie przestali grać, ale Hania nagle straciła rytm i wróciła do świata żywych, do swojego ciała.

Zawsze była grzeczną dziewczynką.

Przerażona tym, że tak się zatraciła, robiła wrażenie obudzonej ze snu.

Przestraszona patrzyła na Wojtka, walącego zapamiętane w jakąś rurę, i pytała:

- Co się dzieje?

Wojtek nie słyszał, tylko walił jak szalony, i nie było go dla nikogo, ale Kuba odpowiedział:

- Sąsiedzi. Zawsze wracają o szesnastej. To straszni sztywniaczy.

Hania przerażona rzuciła na stół brudną łyżkę od spaghetti i poderwała się jak chłośnia bitem:

- Już jest czwarta?!

Miała być o czwartej u jubilera. Kupować obrączki. Ze Sławkiem...

PAŹDZIERNIK 1990

Brzezina Reinholda

Łęgi wydawały się bezkresne. Trudno było dostrzec linię horyzontu, bo teraz, w październiku, narysowana była cienką, jakby ołówkową kreską. Niewielkie wzgórki, krzaki i tylko gdzieś tam wybudowane, wbrew prawom przyrody, drzewo tworzyły krajobraz z jednej strony przyjazny, a drugiej dość monotony.

Przyjazny, bo oczy odpoczywały, gdy patrzyło się na ciągnącą się prawie w nieskończoność równinę, ale monotony, bo kiedy ktoś zapuścił się tu na spacer, to nietrudno było mu się zgubić, skoro nie było żadnych znaków, które można zapamiętać, a za jedną dalą rozciągała się kolejna.

I tak, jak się wydawało, bez końca.

W zakolu rzeki stała chata, czy może raczej domostwo, bo jak na chatę była dość sporą budowlą z ciemnych bali, wzniesioną, jak można się domyślać, przed wiekami. Jednak dokumenty wydobyte z miejscowego starostwa zaświadczały, że 18 sierpnia 1898 roku mistrz kowalski Jacob Rejer wraz z żoną Emilią ze Zweigertów postawili dom drewniany na fundamencie murowanym i na zakończenie budowy wydali ucztę dla sąsiadów. Zakończyła się ona dość niefortunnie bójką, w której poturbowano niejakiego Petera Mraczka, pomocnika zduna, i jak zapisano w dokumentach: oddał on ducha Panu w dni pięć po rzeczonyj uczcie.

Zapewne dom wyglądał pięknie w owym czasie, gdy nieszczęsny Peter Mraczek odchodził do Pana.

Dziś jednak przypominał ruinę. Malowniczą, ale ruinę.

Bale, z których go zbudowano, połączone były z czerwoną cegłą białą zaprawą, która po tylu latach prawie całkiem zanikła, wszystko się powykrzywiało, a fragmenty muru, ongiś otynkowane, teraz były obdrapane i obtłuczone.

Wyglądało to tak, jakby dom zapadł na jakąś chorobę, może skórą? Liszaj albo egzemę.

Ukośnie od okien pięterka widniało w ścianie kilkanaście dziur, których pochodzenia łatwo się było domyślić - ktoś kiedyś puścił po oknach serię z karabinu maszynowego.

Co najmniej - jak podejrzewała Basia.

A może to było nawet jakieś działo, skoro te dziury takie wielkie?

Ciekawe, czy wtedy kogoś zabito? Tu w domu.

Basia zawsze się nad tym zastanawiała, gdy patrzyła na te ślady.

Narożnik, do którego dochodziły dziury po pociskach, był utracony, może na skutek tej strzelaniny, a może odpadł po innej, wcześniejszej, kto to wie?

Budynek nie porażał urodą, widać kolejne pokolenia w miarę swoich potrzeb dobudowywały przybudówki, przygórki, balkoniki i werandki i w ten sposób powstał dom spory, acz niekształtny.

Obrośnięty dzikim winem, cały zatopiony w zieleni otaczającego go zdziczałego sadu, nie przycią-

gał wzroku i wcale niełatwo było go dostrzec z niedalekiej przecież drogi.

Ale miał w sobie coś, co przywodziło na myśl dawne historie i dawnych mieszkańców.

W tym pokrętnym domostwie zapewne miała miejsce niejedna tragedia, nie tylko Mraczkowa, niejedne urodziny i niejeden zgon.

Za budynkiem rozciągały się łęgi nadrzeczne, pełne ptaków wodnych i jaszczurek, a w dole, dwa kroki od domu, szumiała rzeka, na której wzniesiono niewielki młyn wodny.

Hania stała na mostku, ubrana w kalosze i ciepłą kufajkę pożyczoną od Kowalików, zamieszkujących najbliższą, bo położoną w odległości dwóch kilometrów od Brzeziny leśniczówkę, i wrzucała do wody patyki, obserwując, jak je porywa wir. Chętnie by weszła do wody i pobrodziła w niej w tych nowych, specjalnie kupionych na wyjazd kaloszkach, ale miała to zakazane przez mamę, której musiała przyrzec, że nigdy, ale to nigdy do wody sama, bez jej pozwolenia, nie wejdzie.

Zresztą - zastanawiała się, gapiąc się w wodę wirującą pod mostkiem - włożenie do wody mogło być niebezpieczne, na pewno mieszka tu wodnik albo ten utopc.

A utopce przecież za włosy do toni wciągają, Maryśka Kowalikówna opowiadała i Hania teraz wiedziała, że wtedy, gdy się topiła, to jak nic, właśnie utopc ją do wody zaciągnął.

Opuściła mosteczek i poszła dalej, pod sam dom, by poszukać kamyków. Ostatnio bezustannie cwi-

czyła puszczanie kaczek, kiepsko bowiem jej, miastowej, to wychodziło i dzieciaki ze wsi się z niej podśmiewały.

Pomyślała, że znów poćwicz, skoro dorośli najwyraźniej o niej zapomnieli.

Pod oknem usłyszała mamę rozmawiającą z Holgerem, ale nie przysłuchiwała się zanadto, dostrzegła właśnie podskakującą w wodzie rybę i zaczęła ją bacznie obserwować, podobnie zresztą jak i bocian, który siedział na wielgaśnej oponie umocowanej na słupie, jak mówiła mama Hani, specjalnie dla niego postawionym.

Czemu on tak siedział, skoro już powinien odlecieć? - zastanawiała się Hania.

Zastanawiała się też, czy jeśli się rzuci kamieniem w rybę, to grzech będzie?

W rybę to chyba nie grzech - zdecydowała i rzuciła.

Nie trafiła, kamień upadł z pluskiem daleko od ryby, ale wystarczająco blisko, by zniknęła w głębinie. Hania czym prędzej zamierzyła się, by znów rzucić, ale skoro ryby już nie było, walnęła kamieniem, ot tak, w wodę, która z pluskiem się rozstąpiła i połknęła kamień.

Hania przez moment miała wrażenie, że w tej wodzie zobaczyła utopca.

Coś jakby utopca.

Ale czy to możliwe?

Usiadła na mostku z uzbieraną sporą kupką kamieni przy boku i zaczęła obserwować wodę. Może znów się pokaże?

A wtedy ona tak go walnie, że już żadnego dziecka ten utopć nie porwie.

PAŹDZIERNIK 1990

Brzezina Reinholda

Holger opierał się o parapet okna, a Basia o Holgera. Tak trwali, patrząc na największy pokój w Brzezynie Reinholda.

- Podoba ci się? - zapytał Holger.
- Tak - odpowiedziała Basia i pokiwała głową z pełnym przekonaniem.
- W takim razie nie ma co myśleć. Kupuję.

GRUDZIEŃ 1990

Brzezina Reinholda

Holger Van den Est nie był łatwym człowiekiem. Mówił niewiele i robił też niewiele.

Dużo natomiast myślał i jak uważał, to był jego wkład w historię ludzkości.

Gdy poznał Basię, uznał, że już myśleć nie musi.

Nadszedł czas działania.

Ale zawsze liczył na to, że sprawy same się rozwiążą, i teraz też tak właśnie było. Zakochał się. To rozwiązywało wszystko.

Można powiedzieć, że od pierwszego wejrzenia. Gdy zobaczył Baškę biegnącą po plaży w poszukiwaniu córki, wiedział.

Od razu coś poczuł.

Tak.

Potem, co tu kryć, miał farta.

No, został zbawcą i rycerzem, co wcale mu nie zaszkodziło w kampanii, którą poprowadził, by Baškę zdobyć.

Był to prawdziwy Blitzkrieg, bo nie minął miesiąc, gdy Basia zasypywana kwiatami, przeważnie polnymi, bo w Kruklankach nie było dostępu do kwiaciarni, doceniła w pełni wysiłki Holgera i zgodziła się z nim być.

Holger założył jej na palec uplecioną przez siebie obrączkę z trawy i rzekł:

- Terasz będziesz moja. Będziemy szobie gruchotacz.

A potem bynajmniej nie gruchotał, ale całował długo i namiętnie i Basia poczuła, że znów żyje, że jest kobietą, a nie tylko skołataną matką w wiecznej pogoni za groszem, za mięsem, papierem toaletowym czy za czymkolwiek.

Życie było do tej pory pędem, gonitwą, kłopotem i wyzwaniem, któremu jakoś dawała radę, ale kosztem siebie.

Teraz czuła zapach mięty, trawy i Holgera i miała nadzieję, że życie wreszcie zacznie mieć smak...

Holger kupił Brzezinę Reinholda za psi grosz, ale kupił na Basię, cudzoziemcy mogli kupować w Polsce nieruchomości tylko po otrzymaniu spe-

cialnego zezwolenia, ale cała procedura mogła trwać latami. Nie chciał czekać, więc na początku grudnia pojechali oboje do notariusza w Fojutowie, a ten wypisał akt notarialny, w którym w tonie nader uroczystym, czarno na białym było stwierdzone, że: dnia 11 grudnia roku 1990 przed notariuszem Janem Kropidłowskim stawili się:

Barbara Brzozowska urodzona itd., zamieszkała w Warszawie, przy ulicy, itd., i Horacy Jan Pomiechówka zamieszkały w Brzezynie Reinholda 7.

I oznajmili, co następuje...

Basia patrzyła na ten dokument i nie mogła uwierzyć w to, co można było tam wyczytać - miała dom...

Dom kompletnie zrujnowany, zapchlony, zagrzybiony i wyziębnięty, ale przecież jej i taki piękny. Choć ktoś mógłby rzec, że to dom brzydki, ponury i wilgotny, dla niej był piękny.

Nigdy nie marzyła.

O domu.

Coś takiego było całkowicie poza jej możliwościami, więc nie marzyła.

Po co marzyć o czymś, co nie jest możliwe?

A tu tak nagle, ni stąd, ni zowąd, wszystko się zmieniło.

Przytuliła się do Holgera i wyszeptała:

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć...

- Basia, uwieszy. To nasze. To twoji. Już na zawsze...

Objął ją, przytulił, a potem pocałował w szyję. Basia przylgnęła do niego jeszcze mocniej.

- Holger, a Hania?

- Hania? Bawi się z dziećkami somsiaduf, nie martwi się, na pewno tu nie wpadni, ma lepszejsze rzeczy do zabawa.

Powoli zaczął rozpinać jej sweterek, najgrubszy ze wszystkich, które miała, bo ziąb panował przeokropny w tym domu niedogrzewanym od pokoleń.

Powoli głaskał jej piersi, a ona topniała od tego dotyku i czuła palącą potrzebę, by się pospieszył. Przycisnęła się do niego mocniej, ale Holger się nie spieszył, chciał smakować chwilę, całował powoli, zapamiętał każdy skrawek jej ciała wyłaniający się spod zdejmowanych przez niego fatalaszków, a potem oboje opadli na dywaniki leżące tuż koło pieca kaflowego, a służące Hani za miejsce zabawy.

Basia szybko rozpięła suwak w spodniach i Holger ściągnął je dość sprawnie. Westchnęła i sama sięgnęła do jego suwaka. Gdy już i jego spodnie wylądowały na podłodze, Holger zaczął językiem obrysowywać kształt jej piersi. Basia gładziła nagie plecy, pośladki i poddawała się pieszczotom, gapiąc się w żar widoczny w szparach ażurowych drzwiczek popielnika.

Podłoga była ciepła, pachniała woskiem i wodą.

Myła ją zaledwie przed godziną. Holger zsuwał się coraz niżej, a jej było tak dobrze, jak chyba nigdy w życiu.

Podniosła nogi i przytuliła się do niego ściślej, a on na ten sygnał wsunął się w nią i ogarnęło ich

tak wielkie zapamiętanie, że nie wiedzieli już, gdzie się znajdują, zapomnieli o świecie i sprawach. Byli tylko oni...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Sławek leżał w piżamie w łóżku i przeglądał „Contents of stomatological curricula in Europe”.

Koło niego położyła się wpatrzona w niego Trusia.

Trusia była małym czarnym szkaradzieństwem, jednak pełnym wdzięku i bezbrzeżnej miłości do Sławka.

Hania niekiedy myślała, że uczucie Trusi znacznie przewyższa jej własne, ale o to nie było trudno, bowiem swoje uczucia zakwalifikowałaby do letnich. Lubiła Sławka i była do niego przywiązana. Byli ze sobą już sześć lat i no, cóż: stare małżeństwo.

O namiętności trudno było mówić. Czy ona kiedyś była? Hania już nie pamiętała. Pamiętała jednak ich wspólne wakacje, weekendy w Paryżu, Rzymie i Londynie. Bawili się razem dobrze i może właśnie tak być powinno - przyjaźń i poczucie więzi.

Wielkie namiętności nie każdemu przypadają w udziale. Nie każdy też ich chce. Hania była zadowolona z tego, co miała.

Umyła zęby i weszła do sypialni, akurat by usłyszeć, jak Sławek mówi do psa:

- Słyszysz, Trusiu, jak pani ładnie myje ząbki, żeby nie mieć próchnicy? Trusia wie, że próchnica jest be. Mądra Trusia.

No, cóż, Sławek po prostu taki czasem był - nie-dorosły.

A Trusia zdawała się rozumieć, co do niej mówił, bo pochyliła łepkę i przywarła do jego ramienia.

Byli tacy, którzy nie znosili ratlerków, ale Sławek Trusię po prostu uwielbiał, a Trusia rewanżowała mu się uczuciem, którego ogrom możliwy jest tylko u psa.

I Hania akceptowała ich wzajemną miłość, cóż, Trusia pojawiła się przed nią i Hania byłaby doprawdy śmieszna, gdyby chciała rywalizować z suczką wielkości wypasionego kota.

Ale chcąc zwrócić na siebie uwagę Sławka, zajętego czytaniem i konwersacją z psem, stanęła na środku sypialni i zademonstrowała swoją całkiem nową piżamkę nabytą dopiero co w Marksie i Spencerze.

W bladuróżowych kropeczkach na zielonym tle było jej bardzo do twarzy i kupując, wiedziała, że to będzie dobry wybór. Teraz, gdy ją przymierzyła, miała wrażenie, że coś nie gra.

Sławek dzięki Bogu zauważył, że demonstruje nowy ciuszek, bo zaszczekał potwierdzająco:

- Hau.

Trusia nie załapała jednak dowcipu swojego pana i zaczęła warczeć, nie wiadomo, czy na Hanię, czy na piżamkę.

Sławek pogładził ją po łebku, a do Hani przemówił jednak ludzkim głosem, co ją niezmiernie ucieszyło, bo nie zawsze tak bywało.

_ Wyglądasz oszałamiająco! - powiedział przypochlebnie, a pomyślał, że Hania wygląda zabawnie - troszkę jak klaunik, troszkę jak błazenek.

Ale przecież we wszystkim jej ładnie i nawet lepiej, że ta piżamka taka troszkę dziecinna, bo przecież...

- Nie za szeroka? - zapytała Hania, obracając się wokoło.

Sławek zmierzył ją wzrokiem konesera i rzekł znaczącym tonem:

- Niedługo po ślubie będzie za wąska. Wiesz, o czym mówię?
- i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

Ach.

Hania wiedziała, że chodzi o dziecko i przemknęło jej przez myśl, jak też Trusia, rozpieszczona do granic możliwości, przyjmie ewentualną rywalkę czy rywala do uczuć pana. Pewnie będzie ciężko, ale cóż, może chociaż dziecko wygra z psem, bo jej się jednak nie udało...

Wsunęła się do łóżka i jak na potwierdzenie tej myśli Trusia znów na nią zawarczała.

Paskudna zazdrośnica, pomyślała, a potem się zastanawiała: ja czy Trusia?

Obie, skonstatowała.

Sławek skarcił pieszczotliwie psa:

- Trusiu, zachowuj się.

I Trusia się zachowała. Usadowiła się między nimi i niczym miecz z Tristana i Izoldy czuwała nad ich cnotą.

Hania wzięła z szafki nocnej magazyn i zaczęła go przeglądać, ale ten złośliwie otworzył się na zdjęciach zmysłowej bielizny i Hania znów westchnęła ciężko, bo co prawda piżamka była urocza, ale...

Z drugiej strony, myślała, po co mi takie cuda? Sławek i tak...

A ta piżamka jest taka... ujutna...

Patrzyła przez chwilę na Sławka i sięgnęła ręką ponad Trusią, dotykając go lekko.

- Gniewasz się na mnie?

- Oczywiście, że nie. Co prawda czekałem na ciebie dwadzieścia osiem minut, ale te obrączki są tego warte. Zgadzasz się?

Hania zerknęła na leżące na jego stoliku pudełeczko i przytaknęła.

- Bardzo ładne...

Sławek wziął do ręki pudełko i otworzył jak mały chłopiec kinder niespodziankę.

- Chcesz popatrzeć? - zapytał dziecinnie. Hania nawet nie spojrzawszy w kierunku obrączek, przytuliła się do niego, lecz on zaprotestował:

- Haniu, Trusia patrzy.

- Na obrączki? - pyta Hania. - Z zazdrością?

Przytuliła się mocniej, ale Sławek był jak z drewna. Nie reagował na dowcip, ale może udałoby się go jakoś inaczej rozchmurzyć, kombinowała Hania i delikatnie ocierała się noskiem o jego ramię i dość śmiało wsuwała rękę pod kołdrę.

Sławek tym razem miał dość, odsunął ją delikatnie, ale stanowczo.

Pokazał na pierścionek w kształcie lilii i przemówił tonem małomiasteczkowego kaznodziei:

- Haniu, przysięgaliśmy księdzu Walentemu, że przez trzy miesiące zachowamy czystość. Haniu, hamuj się. Proszę, mnie też nie jest łatwo, ale pierścień zobowiązuje. Błagam, Haniu.

- Ale powiedz, czy ja w ogóle na ciebie jeszcze działam? - pyta Hania.

Sławek zacisnął powieki i zachrypnął:

- Jeszcze jak. Ale spróbujmy zasnąć, dobrze? Hania zareagowała i wkurzona wzięła ze stolika

„Vivę”.

Zaczęła ją kartkować naburmuszona i zła. Nie widziała ani obrazków, ani tym bardziej tekstu.

To wszystko nie miało sensu, pomyślała. Ja chyba zwariowałam. W co ja się wpakowałam?

Pasja. Ten chłopak, Wojtek, coś mówił o pasji, w Sławku nie było żadnej, to pewne.

A we mnie? Czy we mnie jest coś, coś drzemie?

Czy też jestem taka jak Sławek? Pasuję do niego?

Jakoś pasowała.

Ale czy do końca?

Sławek pocałował ją w ramię i zaszepotał do ucha:

- Nie dąsaj się.

- Czytam przecież - odpowiedziała Hania i zasłoniła się gazetą.

A Sławek, jak dziecko, znów sięgnął po pudełko z obrączkami i podsunął jej pod nos.

- A chcesz popatrzeć?

- Nie, dziękuję. Dobranoc - odmówiła Hania i pomyślała:
Może pokaż Trusi.

Nie miała jednak odwagi powiedzieć tego na głos.

Nie chciała patrzeć na obrączki. W ogóle.

Ani teraz, ani później. Coś się porobiło...

GRUDZIEŃ 1990

Brzezina Reinholda

Z ogrodu dobiegał głuchy odgłos rąbania drewna. Holger spocony i goły walnął siekierą w kształtny brzozy pniak, rozłupując go jednym wprawnym ruchem na cztery.

A potem brał następny i znów walił.

Basia stała przy kuchennym oknie i gapiała się na to z przyjemnością.

Był taki męski.

Gdy drwa rąbał.

Poza rąbaniem drzew niewiele się włączał w życie domu. Na stryżku urządził pracownię i tam spędzał całe dnie, rzeźbiąc i malując.

Wielkie okno w powale było pierwszą inwestycją, jakiej dokonali w Brzezynie.

Holger pracowicie mieszał farby, a potem je odstawiał i chodził godzinami po strychu.

Słyszała jego kroki i wiedziała, że wtedy myśli, a nie pracuje, ale czasem było cicho i wtedy coś robił: malował czy rzeźbił.

Jego obrazy powstawały powoli, dużo kombinował: faktura, temat - to wszystko miał już wymyślane, gdy siadał do sztalug, ale czasem nagle robił zupełnie coś innego, niż zaplanował. Niekiedy zaś to, co powstawało, nie zadowalało go, więc albo odstawiał obraz, albo go zamalowywał i tworzył kolejne wersje.

Szukał.

Basia przyglądała się jego obrazom i sama nie wiedziała, co o nich sądzić.

Były dziwne, świat kłębił się na nich, wszystko fruwało, chaos był wszechwładny. Czasem zastanawiała się, czy Holger tak naprawdę nie jest taki jak te obrazy, ale szybko odrzucała tę myśl, bo był spokojnym, flegmatycznym olbrzymem w sztruksowych spodniach i jakoś nie pasowała do niego taka burza uczuć.

Ale skądś to musiało się brać, to, co widziała na obrazach.

Znała go tak mało, tak szybko to przyszło. Najbardziej lubiła go takim, jakiego widziała teraz, przy pieńku do rąbania drewna. Silny mężczyzna. Ostoja i opoka. Takim go chciała mieć.

Nie poświęcała jego twórczości zbyt dużo czasu, bo życie w Brzezynie nie przyniosło, jak się spodziewała, ucieczki od kłopotów, tylko zmianę jednych kłopotów na inne, całkiem nowe, co było

jednak jakąś poprawą, bo lepsze przecież nowe kłopoty niż ciągle te same.

Kupno Brzeziny Reinholda było cudem, ale sama Brzezina tym cudem nie była.

Chociażby wczoraj: Basia poszła do piwnicy z majstrem, by mu pokazać, w którym miejscu trzeba zamontować piec do centralnego ogrzewania. Zeszli zaledwie trzy stopnie, gdy nagle miejscowy mistrz wszech dyscyplin remontowych znikł jej z pola widzenia.

Był i już go nie było.

W piwnicy oczywiście nie działało światło, więc w ciemności zobaczyła jedynie szybujący w dół ognik jego papierosa. Ale nim zdążyła pojąć, co to oznacza, sama też zrobiła krok do przodu i poleciała tuż za nim w ciemność.

Szczęśliwie miała miękkie lądowanie.

Na majstrze.

Ale głową rymsnęła o podłogę, tuż obok sterty cegieł, i gdyby mniej szczęśliwie upadła, to różnie mogłoby być.

Dziecko sierotą by zostało.

A tego nie chciała.

Majster też przeżył, ale zupełnie stracił entuzjazm do pracy.

- No, taki falstart - powiedział. - Ja przesądny jestem - i poszedł.

I nigdy nie wrócił.

Spróchniałe schody nie wytrzymały ciężaru dość mikrogo przecież majstra, a deski obszernej sieni zbiegającego z pięterka Holgera. Dziura, w której

się zaklinował, miała około metra i zimnisko przez nią wiało, że strach.

W tym domu wszystko zdawało się rozpadać, jakby tylko trwało, czekając, aż oni się tu osiedlą.

A potem odmawiało dalszej współpracy.

Na razie piwnica została wyłączona z użytku, a drzwi do niej zabite.

A do desek w sieni Holger osobiście przybił kawałek sklejki, co tymczasowo rozwiązało problem, ale urody holowi nie dodało.

Każdy dzień przynosił nowe atrakcje.

A to przestawała lecieć woda w kranie, a to kanalizacja eksplodowała i zalewała podłogę na parterze, a to, całkiem oryginalnie, gdy Baśka puszczała wodę do wanny, gasło światło.

No, działa się.

Ten dom potrafił zaskoczyć.

Ale go kochała.

Dziś zaś, jak widziała przez okno, pod naporem śniegu obluzowała się rynna i zwisała smętnie u powały.

Basia, patrząc na rąbiącego drwa Holgera, wiedziała, że za chwilę czeka ich akcja z oczyszczaniem rynien w środku zimy, bo zapewne następne rynny też polecą.

Powinni byli to zrobić jesienią, ale wszystkiego zrobić się nie dało, zresztą nie wiedzieli, że może się im przytrafić coś takiego jak oberwanie nie-oczyszczonej w porę rynny.

Oboje uczyli się domu, a właściwie to Basia się uczyła, bo Holger zniknął na całe dni w tej swoje

pracowni i przeważnie w niej chodził, a czasem malował, do prac domowych się zanadto nie kwapił, ale chętnie i bez dyskusji otwierał portfel, proponując, by znalazła takiego, co robótkę wykona zamiast niego.

Dobre i to, choć o robotników łatwo nie było.

Czasem Kowalik coś zrobił. Czasem Pomiechówka.

A gdy nagle coś wypadło, Baśka po prostu jechała pod sklep, gdzie zawsze stała grupka amatorów wina „Czar pegeeru”, i wybierała najtrzeźwiejszego z nich.

Miotła się dzień po dniu, by opanować żywioł, jakim był stary i zrujnowany dom.

Jeździła po okolicznych sklepach w poszukiwaniu rur, kranów i desek. Szukała gwoździ i śrub. Załatwiała w urzędach to, co w nich załatwić należało, i walczyła z coraz nowymi awariami.

Gdy tylko mróz na chwilę odpuścił, z dachu zaczęła cieknąć woda i płynąć dość wartkim strumieniem po schodach. Ot, taki wewnętrzny strumyk a la górski z małą prywatną kaskadą.

Szczęśliwie schody były kuchenne, więc niekonieczne, zatem podobnie jak i piwnicę wyłączyła je po prostu z użytku, podstawiała wiadro, położyła na stosownym kawałku dachu kawałek papy, przybiła papiakami i liczyła na to, że jakoś do lata przetrzymają z tym ciekącym dachem, skoro dom pewnie przetrzymał niejedną taką zimę.

Szczerniały do imentu schody świadczyły niezbicie, że ta woda tak pokapywała już czas jakiś, zapewne długi, bardzo długi.

Kupno papy było jednym z pierwszych wyzwań, z którymi przyszło się Basi zmierzyć.

Okazało się, że papa to rarytas. Trudno dostępny, a właściwie niedostępny.

Wizyty w miejscowym geesie niewiele dały -zawsze słyszała to samo „nie ma”...

W końcu zdesperowana pojechała do Kowalików, z którymi trochę się zaprzyjaźniła, i przy herbacie uraczyła ich opowieścią o tym, jak to usiłuje kupić papę w geesie.

Ta historyjka niezwykle rozbawiła Henia Kowalika.

No, obśmiał się jak norka - tak sam twierdził. Papę chciała kupić, ot tak, normalnie, w geesie! Naiwniaczka!

I pokazał Basi, jak należy załatwić papę. Wymienił ją po prostu na duży kupon krempliny, który Basia miała jeszcze z domu i tak się z nim przeprowadzała już po raz piąty czy szósty, nie wiedząc, co z tym paskudztwem zrobić, bo wyrzucić szkoda.

A tu w Fojutowie kremplina okazała się przebojem - sklepowa z geesu, Jola Rutko, zachwyciła się tą niebieskością dającą po oczach i papę nawet sama przywiozła, w swoim fioletowym 126p, po godzinach pracy, z wdzięczności za ofiarowany kupon.

Ten epizod był dla Basi nauką.

Już wiedziała, że nie będzie lekko, ale wiedziała też, że już wie, jak załatwiać.

Bo załatwianie było tu podstawą. Wymiana barterowa - towar za towar.

Tylko trzeba było mieć jakiś towar, coś na wymianę, niczym James Cook dla tubylców, ba! różne towary wymienne, bo przecież różne rzeczy były potrzebne - inne sklepowej, a inne elektrykowi czy hydraulikowi.

Pieniądz był rzeczą wagi mniejszej, choć oczywiście był konieczny, jakże inaczej, ale towar przede wszystkim...

No i znajomości...

MARZEC 1991

Brzezina Reinholda

Willem pojawił się nagle.

Po prostu zapukał do *drzwi i wszedł*.

Miał długą wąską twarz i rysy średniowiecznego ascety. Ubrany był w elegancki garnitur, który nijak nie pasował ani do Basi w spranych spodniach i wyciągniętym swetrzysku, ani do izby, ani nawet i do niego samego.

Wyglądał jak człowiek z innej bajki.

Pasowałby mu habit, pomyślała Basia, patrząc na jego smukłą sylwetkę w nienagannym garniturze i przejrzyste oczy fanatyka.

A potem zapytała:

- Czego pan sobie życzy?

Okazało się, że życzy sobie Holgera.

Baśka posłała Hanię na stryszek, by wywołała wujka, bo tak mała nazywała Holgera, a sama wskazała nieoczekiwanemu gościowi krzesło.

Po krótkiej przepychance językowej zaczęli rozmawiać po francusku, jako że Willem znał ten piękny język całkiem dobrze, no i Basia wolała się nim posługiwać niż słabiej opanowanym angielskim.

- Holger od dawna u pani mieszka? - zainteresował się gość.

Basia przyjrzała mu się uważnie, chwilę pomil-czała i odpowiedziała:

- Od kilku miesięcy. Napije się pan herbaty? W końcu, istotnie, Holger mieszkał u niej...

- Tak, chętnie - zgodził się Willem, ale ani Basia, ani Hania nie wiedziały wtedy jeszcze, że to Willem.

W tym momencie do izby wszedł Holger.

Gdy zobaczył, kto przyjechał, zatrzymał się na progu i powiedział coś, czego Basia nie zrozumiała.

Po holendersku powiedział, ale Basia zauważyła, że niezbyt się cieszy z tej wizyty, że jest przestraszony czy tylko zdystansowany.

Willem odpowiedział mu coś, podniósł się z krzesła i podszedł się przywitać, ale widać było, że Holger wita się niechętnie.

Uścisnął gościa jakoś zdawkowo i wskazując na Basię powiedział krótko:

- Moja kobieta...

Willem pokiwał głową i wyciągnął do niej dłoń, a Basia zauważyła, że ma wymanikiurowane paznokcie.

Nie wiedzieć czemu, ale to ją przestraszyło.

Uścisnął jej dłoń mocno, ale nie za mocno, a potem nie zwracając już na nią żadnej uwagi, zaczął coś Holgerowi wyjaśniać.

Holger zbladł jak ściana.

- Co ci? - zapytała przestraszona Basia. - Coś się stało? Kto to jest?

Holger popatrzył na nią, jakby jej nie znał, co ją jeszcze bardziej przestraszyło, oparł się jakby nagle pozbawiony sił o drzwi i ciężko oddychał.

Basia znów zaczęła nerwowo się dopytywać:

- Holger?! Co się dzieje? Kto to? Holger! W końcu usłyszała odpowiedź:

- To mój dziadek. Willem.

- Dziadek?! - zdziwiła się.

Jako żywo Willem nie wyglądał na dziadka. I to takiego ogromnego Holgera.

Miał na oko z pięćdziesiąt lat i Baśka poważnie by się zastanawiała, czy nawet nie mniej. Zadbany, elegancki i pachnący, był zupełnym przeciwieństwem brodatego i zaniedbanego Holgera.

Wydawałoby się, że są ludźmi z zupełnie innych światów.

- Taki młody?

- Nie jest taka młody, tylko dobsze wygląda. Przyjechał, jak mówi, zabrać mi do domu.

- Co to znaczy... zabrać?!

- Rodzice nie żyją...

- Boże! Holger. - Basia podeszła blisko niego, ale odsunął się od niej.

- Nie pocieszaj mi. Nie trzeba. Nie lubiłem je. , Byliśmy sobie obce i totalnie skłócone.

- Ale to przecież rodzice! Holger! W takim razie nie pojedziesz?

- Gdzie?

- Na pogrzeb.

- Na pogrzeb? - powtórzył Holger odrobinę bezmyślnie, jakby zastanawiając się. - Nie. Pogrzeb już była. Muszę pojechać, by podjąć spadka.

MARZEC 1990

Brzezina Reinholda

Basia szeroko otworzyła oczy:

- Spadek?!

- Tak, rodzinne przedsiębiorstwo.

Willem przysłuchiwał się ich rozmowie, stojąc kilka kroków od nich, i było to dość krępujące, więc Basia podsunęła mu krzesło i sama usiadła, zapominając w tym zamieszaniu podać gościowi herbatę.

- Wyjeżdżasz?! - zapytała przestraszona. Jak ona tu sama, bez Holgera...

Spojrzała na niego i aż ścisnęło się jej serce. Był jakiś inny, poważny, osobny.

Ta wiadomość zrobiła na nim wstrząsające wrażenie i to, że nie chciał, by go pocieszać, było tylko taką grą, obroną i ucieczką. Wyglądał jak człowiek, któremu spadł na głowę wielki głaz i nie może się pozbierać, choć udaje chojraka...

Stał na środku kuchni jakiś taki odklejony od rzeczywistości i nie patrząc na Basię, tylko gdzieś tam hen przez okno, odparł:

- Tak.

- Na długo? - wyszeptała zdrętwiałymi wargami.

- Nie wiem. Ty, Basza, teszszę przygotuj. Chciałbym wasz obie wziąć ze sobą.

- Teraz? Od razu? Obie?!

- Tak. Na co czekaci? Tam podobno źle się sprawy ido. Willem mówi, że muszę natychmiast wracaci. Nie chce się z tobą rozstawaci Baszu... - powiedział i wreszcie na nią popatrzył. Miał w oczach coś takiego... Tak to powiedział, że Basi pokazały się łzy w oczach. Podeszła do niego i go przytuliła, a w głowie jej się kłębiło. Ogarnęło ją przerażenie i strach przed nowym i nieznanym.

Czuła, że idzie jakaś wielka zmiana, a ona tak chciała stabilizacji i spokoju...

Ale Holger jej potrzebował i nie było o czym mówić, jednak ciągle niepewna zapytała:

- Do Holandii? Mamy jechać do Holandii? Wszyscy?

- Tak. Tam u nas majątko. W małe miasteczko Delfzijl. Spodoba ci się...

- Majątek?!

- Tak. Fabryczki. Nieduża, takich lekof, „Leka z domowa apteka”, tak to się nazywa. I gospodarstwo, gdzie produkujema składnika do leka. Zioła, krzewy, uprawiana i przetwarzama.

- A dom? Masz tam jakiś dom?

- Tak, dom też mam. Teraz będę miał - poprawił. Popatrzyła na niego przestraszona.

- Nigdy mi nie mówiłeś o tym wszystkim...

_ To nie było ważne przecież. Ja nie myślał, że ja tam wrócę kiedy. To nie tak miało być.

No, rzeczywiście nie było ważne. Ale nagle stało się ważne. Z tej miłej sielskiej Brzeziny mieli zatem wyjechać, i to wyjechać tak nagle, przesiadawszy w niej zaledwie jedną, choć niewątpliwie pamiętną, zimę.

Zimę wyjątkowo ostrą, w rozpadającym się domiszczu, gdzie wszystko się psuło i odpadało.

Ale byli tu tacy szczęśliwi.

Basia była szczęśliwa. I Hania.

A Holger?

Chyba też, choć tego już Basia nie wiedziała na pewno. Był taki spokojny i mało mówny.

A teraz, gdy najgorsze mieli już za sobą, przetrwali zimę, ogarnęli dom, Holger chciał jechać gdzieś daleko, gdzie ona nigdy nie była i nie zamierzała być.

- Ale co my tam będziemy robiły?

- Ta sama, co tuta. Ty będziesz prowadziła doma, a Hania będzie się bawiła - uśmiechnął się. - Ziabawki tam dają lepsze... Będziesz, Hanisiu, miała śliczne ziabawki - zwrócił się po polsku do Hani siedzącej nieopodal na stołeczku i usiłującej coś grać na fleciku, który Holger zrobił jej kilka dni temu.

Hani oczy zabłyśły, jak zwykle, gdy mowa była o zabawkach, i zapytała:

- A Barbi tam som? Ja bym chciała Barbi...

- Są. Ile chcesz i jakie chcesz. Szam ci kupię. Basia patrzyła na niego przerażona, nie chciała

Barbie dla Hani i nie chciała świata z Barbie dla Hani ani też Holandii dla niej i dla siebie, wiedziała, że Holger nienawidził tego typu zabawek, więc czemu teraz...

Chyba chce ją przekonać do tego wyjazdu, pomyślała i ponieważ nie wiedziała, co mówić, zapytała.

- A co się stało twoim rodzicom?

Holger spojrzał na Willema siedzącego przy stole i bacznie ich obserwującego. O coś go zapytał i Willem powiedział jakieś słowo, jedno, i Holger odpowiedział Basi:

- Wpadli swoja auta pod autobus... Zginęli od razu. Pogrzeba była w zeszła tydzień. Willem nie wiedział gdzie ja...

Basia zdjęła z pieca czajnik, zalała esencję, postawiła trzy kubki na stole i spytała Willema, czy nie jest głodny, a on potwierdził z błyskiem w oku, że tak, więc powędrowała do piwnicy, zeszła świeżo zamontowanymi, pachnącymi jeszcze sosną schodami, wyjęła z wielkiej zamrażarki porcję zmrożonego na kość i przeznaczonego na szczególne okazje bigosu i zamyślona wróciła do kuchni.

Holandia.

Miała jechać do Holandii. Zaiste, życie jej się dziwnie plotło.

MARZEC, KWIECIEŃ, MAJ 1990

Delfzjl Holandia

Miasteczko było prześliczne, a Basia nieszczęśliwa.

Holger niespodziewanie z leniwego malarza w poplamionej farbami koszuli przekształcił się w biznesmena.

Garnitur, teczka i buzi na drogę.

Znikał, a ona czuła się jak żona ze Stepford.

Tęskniła za Polską i Brzezina Reinholda. Mieszkała tam krótko, ale włożyła w ten dom całe serce.

Była dumna, że udało jej się odgruzować zawałony śmieciami salon, że sama wiórkowała podłogi, że zdobyła papę, cement i gips i że uprosiła zajętego i opornego hydraulika Mrocza o wymianę rur.

Snęła plany; chciała robić konfitury i marynaty, mrozić i suszyć, założyć warzywniak - i wszystko to zostało jej z dnia na dzień odebrane.

Teraz jedzenie kupowała w supermarkecie, gdzie wszystko było, nawet więcej niż wszystko, obiad robiła w kwadrans, nic nie musiała i nudziła się jak mops.

A do Brzeziny Reinholda, jej ukochanej Brzeziny, znów wprowadził się Horacy Jan Pomiechówka, poprzedni właściciel, podługowaty i żyłasty repatriant z kresów i on teraz tam rządził.

Miał pilnować domu w czasie ich nieobecności i robić dalsze remonty, w miarę napływających z Holandii środków.

Gdy Basia wsiadała z Hanią do wynajętej taksówki, która miała je zawieźć na lotnisko, Horacy Jan wyglądał, jakby wygrał milion na loterii.

Zjadł ciastko i miał ciastko.

A Basia czuła się tak, jakby ktoś jej to ciastko odebrał od ust.

Mieszkała w pięknym domu, sto razy wygodniejszym niż Brzezina, w malowniczym miasteczku, i czuła się całkowicie niepotrzebna i bezużyteczna. Gotowała, sprzątała, prała, ale to, co tutaj było pańszczyzną, w Brzezynie było wyzwaniem.

Tu miała pralkę, zmywarke, świetnie pachnące proszki i żadnych problemów, a czuła się jak robot, który co dzień robi to samo.

Tu nie pękały ani rury, ani rynny i cóż, grzeszyła, ale Bóg świadkiem, brakowało jej tego.

Hania zaprzyjaźniła się z Willemem, bawiła się z nim w domu, chodzili razem na wycieczki po mieście i pływali łódką na ryby. Basia pozwalała na to, bo raz, że Willem był uroczym człowiekiem i przepadał za małą, a dwa, że Hania rozmawiała z nim po angielsku, a z czasem i po holendersku, a to było ważne, bo przecież wyglądało na to, że pójdzie do szkoły tu, w Holandii.

Gdy Basia o tym myślała, serce jej się krajało.

W Fojutowie była taka śliczna szkoła w poniemieckim pałacu i miała zamiar się tam zgłosić do pracy, uczyć dzieci francuskiego, nawet i za darmo.

Za rok, gdy Hania pójdzie do szkoły. Taki miała plan. Sekretny.

A teraz patrzyła na nowoczesny klocek pobliskiej szkoły i żółty autobus, który woził okoliczne dzieciaki, i czegoś było jej żal, choć przecież to głupie było.

Czasem Basia miała ochotę wykrzyczeć Holgerowi, że nie tak się umawiali i nie na to, ale nie mogła.

Bo Holger też był nieszczęśliwy.

Widziała to wyraźnie.

Zamiana życia, które prowadził od lat, życia wędrowca i artysty, po trosze hipisa, na nudne życie biznesmena była dla niego jeszcze cięższa niż dla niej, a przystosowanie się do nowych okoliczności kosztowało go niemało.

Był takim dużym dzieckiem, zagubionym w świecie biznesu.

I widać było od razu, że nie pasował do tego świata, ale się starał, starał się poprowadzić rodzinny biznes najlepiej jak umiał, a jak się zdawało, niespecjalnie umiał.

Martwił się, że zawali, że nie potrafi, że to nie dla niego.

Ale chciał się z tym zmierzyć. Pokazać ojcu, który przecież nie żył, że sprostą, i dziadkowi, że podoła. Potrzebował udowodnić.

Czemu? - zastanawiała się Basia. Jakie tu się musiały rozgrywać dramaty między nim a rodzicami, że teraz próbował wbrew sobie robić coś, od czego uciekł wiele lat temu i do czego się nie nadawał.

Holger uparł się, że zostanie w rodzinnym biznesie i nie zamknie firmy, którą założyli jego przodkowie dwieście czterdzieści lat temu.

Pięknie.

Cóż pozostało Basi - jedynie sekundowanie mu w tych planach, wspieranie oraz szykowanie obiadu i koszul.

Kochali się każdej nocy.

Szukali w sobie pociechy i odprężenia, a potem spali przytuleni do siebie. Gdy rano widziała go wychodzącego z domu, z czarną grubą teką, to był już ktoś inny, kogo wcale nie znała.

Odnajdywała dawnego Holgera jedynie w nocy, w łóżku.

Wtedy wiedziała, że nie zniknął, nie uciekł, nie umarł w nim ten dawny, dobry, czuły i spokojny człowiek, którego pokochała.

Za dnia stawał się kłębkim nerwów.

Ręce mu drżały i złościł się o byle co.

Basia domyślała się, że sprawy w firmie idą źle i że Holger sobie nie radzi, ale trudno się było czegoś dowiedzieć, bo mówił tylko, że wszystko jest okej i ma tylko trochę zwykłych problemów, które zdarzają się w każdej firmie.

Pod koniec kwietnia Basia zebrała się w sobie i w niedzielne popołudnie, wyprawivszy wcześniej Hanię na przejażdżkę łodzią z Willemem, rozpoczęła poważną rozmowę z Holgerem.

- Dlaczego to robisz? Przecież tego nienawidzisz... Czy nie mógłbyś sobie odpuścić? To cię zjada. Wróć do malarstwa, Holger. Nam przecież dużo nie trzeba. Nie musisz, Holger...

Ale znów ją zbył.

Musiał.

Nie rozumiała tego. Czemu musiał? Chciał pokazać, że potrafi. Ale komu? Poza sobą. Nie rozumiała tego.

CZERWIEC 2008

Warszawa Noc

Hania wysunęła się po cichutku z łóżka. Trusia warknęła coś tam przez sen, ale jakoś się nie obudziła. Sławek posapywał rytmicznie.

W swojej zielono-różowej pizamce potupała bosymi stopami do living roomu i starannie zamknęła za sobą drzwi.

A potem wrzuciła do DVD płytkę.

Siedząc z podkulonymi nogami na kanapie obejrzała film pożyczony od Wojtka.

Gdy się skończył, siedziała chwilę bez ruchu.

A potem znów go wrzuciła i znów obejrzała. I tak raz za razem.

Czasem cofała nagranie i patrzyła z zachwytem, jak ojciec tańczy, nieomal płynie w powietrzu, i jej złość zaczynała topnieć.

Był wspaniały. Fascynujący. Taki przystojny i młody.

Po prostu piękny. Jej ojciec.

Mogłaby się w nim zakochać.

Biedna mama.

Gdy patrzyła na tańczącego ojca, rozumiała go. Czemu odszedł od tego zwykłego życia w świat, gdzie fruwał w powietrzu, gdzie choć na scenie wszystko było niezwykle i wzniosłe.

Perfekcyjne.

Jakoś to rozumiała.

Ale nie chciała tego, nie chciała rozumieć.

Nie chciała, by złość ją opuściła.

Chciała być zła, więc wyłączyła DVD, wyjęła płytę i po cichutku wróciła do sypialni, wsunęła się do łóżka i przytuliła się do Sławka. Jak tonący.

Wpatrywała się w jego plecy, słyszała rytm jego oddechu i czuła się taka osobna. Przyłgnęła mocniej.

Ojciec, kiedy tańczył, wydawał się taki swobodny i wolny.

Ona nigdy taka nie była. I mama. Basia. Też nie.

CZERWIEC 2008

Warszawa

Grupa dziennikarzy stłoczona na małej przestrzeni wąskiego korytarzyka czekała cierpliwie, brzęcząc niczym chmara much.

Wśród tego niewielkiego, ale barwnego tłumku była też i Hania, ale jakoś się z tą gwarną gromadką nie identyfikowała.

Była tu w innej sprawie.

Nie interesował jej casting i zawody jak pozostałych, interesował ją tylko własny ojciec.

Słyszała dobiegające z tłumu pogaduszki, ale ich nie słuchała.

Bacznie obserwowała Monikę, która z papierosem w ustach właśnie się do nich zbliżała.

Szykowna, władcza i wyniosła. Tak ją postrzegała.

Monika jednym szybkim ruchem wrzuciła papierosa do stojącej na parapecie popielniczki i powiedziała donośnym i autorytarnym głosem, który spowodował, że w rozgadanej grupce nagle zapanowała cisza i wszyscy wlepili w nią wzrok:

- Dzień dobry. Proszę państwa, oto zasady: nie korzystamy z telefonów komórkowych, nie rozmawiamy, nie robimy żadnych zdjęć i przede wszystkim nie palimy.

Proszę za mną...

Na to hasło cały tłum ruszył za nią, a dwie osoby niemal równocześnie zapytały:

- Czy można zrobić *wywiad* z Janem Kettlerem?

- Co z wywiadami? Czy można...

Monika, posuwając się szybko do przodu w swojej powłóczystej szacie, nie oglądając się na pytających, odpowiedziała:

- Żadnych wywiadów. Przykro mi.

CZERWIEC 2008

Warszawa

Grupa żurnalistów, idąc krok w krok za Moniką, weszła do sali, dużej, jasnej i pełnej rozewiczających się zawodników.

Hania rozejrzała się nerwowo wokół, szukając Wojtka. Powinien tu przecież być, a go nie widziała.

Nie ma go, a więc się nie dostał, przepadł.

Ale to przecież chyba niemożliwe, był najlepszy.

Może był za dobry, pomyślała Hania. I Kettler dlatego...

Brzydko myślała, sama się zaraz zganiła za paskudną myśl, która przyszła jej do głowy.

Nagle go zobaczyła, Wojtek stał tuż koło niej radośnie uśmiechnięty, więc wykrzyknęła równie szczęśliwa jak on:

- Udało ci się! Super!

A Wojtek, ujrawszy jej radość, odpowiedział poważnie:

- Fajnie, że też jesteś.

Hania przez chwilę patrzyła mu w oczy i to, co w nich zobaczyła, spowodowało, że zrobiło jej się nieswojo, że poczuła się śmieszna i zawstydzona, więc odwróciła wzrok i zaczęła szukać czegoś w torbie. Po chwili wyciągnęła płytkę i podała ją Wojtkowi.

- Dziękuję.

- Oglądałaś do końca? - zapytał chłopak, a Hania, choć było jej trochę głupio, że jest taka szczerą, odpowiedziała:

- Kilka razy.

I nagle zrobiła się czerwona, jakby przyłapano ją na czymś złym i niedozwolonym. Wojtek patrzył na nią tak śliczną i zmieszaną i miał ochotę ją objąć, ale w tym momencie ktoś wychylił się zza drzwi i zawołał:

- Uwaga! Kettler idzie!

Na sali natychmiast zrobiło się cicho jak makiem zasiał i gdy wchodził Kettler, słychać było jego kroki i nic więcej. Hania myślała, że słychać byłoby głos z Litwy, gdyby ktoś zawołał.

W czarnych trykotach i z marsem na czole ojciec wyglądał jak chmura gradowa, jak Mefisto na występach gościnnych w Warszawie...

Nie wiedzieć czemu, Kettler znów im się przedstawił:

- Dzień dobry. Nazywam się Jan Kettler. To jest Monika, moja asystentka. Będziemy razem pracować przez najbliższe trzy tygodnie. Kto wie, może nawet nauczymy się tańczyć.

I uśmiechnął się sardonicznie. Istny diabeł, przyszło znów Hani do głowy. Był nim czy się kreował?

CZERWIEC 2008

Warszawa

Godzinę później Sala prób

Stop! - krzyknął Kettler.

Blondynka w szafirowym trykocie w jednej chwili zamarła i patrzyła na niego wystraszona.

A Kettler, spoglądając na nią ponuro, zniemacka zapytał:

- Czy widzisz tu gdzieś kamery?

- Nie - odpowiedziała przerażona dziewczyna tak cicho, że nie słysząc jej było nawet w odległości dwóch kroków.

Kettler odwrócił się od niej i powiedział do wszystkich, bo gdy krzyknął, wszyscy, ale to dosłownie wszyscy, zamarli w pół ruchu.

Hania patrzyła na to zafascynowana i słuchała z zainteresowaniem. Czuła, że skorupa wrogości powoli pęka, chciała się dowiedzieć, chciała zrozumieć, a nie tylko znaleźć kolejne argumenty na nie.

Jakoś się otworzyła, więc patrzyła na Kettlera i słuchała go uważnie:

- Właśnie! Nie jesteście w telewizji. Tańczyć. Żadnego mizdrzenia.

Dziewczyna, przez którą powstało całe to zamieszanie, usiłowała się bronić:

- Ale ja...

Kettler jednak uciszył ją jednym stanowczym ruchem ręki.

- Zobaczcie...

A potem zaczął ją przedrzeźniać. Było to śmieszne, ale i okrutne. ;

Wszyscy jednak się śmiali.

Miał zmysł komiczny, trzeba mu to przyznać.

Hania przypomniała sobie, że czytała o tym w internecie, gdzie bardzo podkreślano jego talenty komiczne, ale to przykra parodia...

Dziewczyna, którą Kettler małpował, miała łzy w oczach i była czerwona.

Hanię Basia zawsze uczyła, że przedrzeźnianie jest brzydkie.

I chyba nic się w tej materii nie zmieniło?

Sprawianie bólu, przykrości było nieetyczne.

Można przecież wytknąć błąd w sposób cywilizowany, myślała.

Ale to droga na skróty. Tak było łatwiej.

Ale czy naprawdę zabawniej?

Innym jednak, jak się wydaje, ten żart przypadł do gustu, bo zarówno tancerze, jak i obserwujący próbę dziennikarze śmiali się w głos.

Jakoś nie wychodził Hani ten obiektywizm.

A może ojciec nie był okej. Już sama nie wiedziała, co myśleć.

Hania przypomniała sobie Willema.

Willem nigdy się z niej nie śmiał, zawsze spokojnie tłumaczył, co i jak, jej, małej polskiej wieśniaczce, zagubionej w Holandii, co była zapewne ze dwadzieścia lat do przodu przed Polską.

Mama też na początku sobie nie radziła. Hania Pamiętała, jak Basia zablokowała się kiedyś

w drzwiach do banku. Był to bez wątpienia obciach, ale przecież Holger wcale się z mamy nie śmiał.

Albo ta historia na samym początku, gdy w samolocie nie umiała spuścić wody w toalecie. Ale się wstydziła.

Tysiące drobiazgów, które obie musiały poznać, których musiały się nauczyć.

Nikt nigdy się z nich nie śmiał. Ani Willem, ani Holger.

I w szkole też nikt...

Czy on nie mógł tej dziewczynie jakoś inaczej wytłumaczyć? Powiedzieć ogólnie.

Czy on ze wszystkiego musi robić spektakl?

A może słusnie się z tej panienki wyśmiewał. Może to mizdrzącym się panienkom się należy?

Hania już sama nie wiedziała. Ale jakoś jej było z tym niezręcznie.

Kettler zwrócił teraz swoją uwagę na tancerza z czarną przepaską na czole, tego, który śmiał się najgłośniej.

- Ja bym na twoim miejscu się nie śmiał. Tańczyłeś kiedyś w klubie go-go?

- Oczywiście, że nie.

Kettler zaczął go parodiować, a potem skomentował:

- Szkoda. Bo wtedy miałbyś może coś więcej oprócz tej sztywnej techniki.

Odwrócił się, stanął na środku sali i powiedział:

- Zmysły! Wiecie, do czego służą zmysły?

Tancerze zmieszani znów się śmiali przymilnie, przestraszeni jak dzieci w toksycznej szkole. Nie bardzo wiedzieli, co odpowiedzieć, więc mistrz sam im podrzucił odpowiedź:

- Żeby nie pomylić trocin z pyszną potrawą? Potakiwali.

Kettler jednak zaoponował:

- Nie! Służą do pomyłek. Żeby smakować życie, trzeba się mylić. I trzeba pasji. Chcę zobaczyć w was pasję i głód życia, zamiast grzecznego skubania po kawałeczku.

Na sali zrobiło się cicho. Nikt już nie miał ochoty na śmiech. Wszyscy patrzyli na niego i rozważali jego słowa. Hania też.

To skupienie przerwał ostry dźwięk. Czyjaś komórka rozdzwoniła się na całego.

Jeden z dziennikarzy w panice szukał jej w torbie, a Jan Kettler patrzył na niego z odrazą i przemówił ostro:

- Umówiliśmy się na absolutną ciszę. Zgadza się?!

Patrzył na nich przez chwilę tak, że Hani aż się zjeżyły włoski na rękach.

A potem się odwrócił i kontynuował trening.

Po półgodzinie obserwowania monotonnych ćwiczeń dziennikarze powoli wymykali się z sali. Hania podążyła za nimi. Wyszła na podwórko, przed salę prób, i zobaczyła bawiącą się małą dziewczynkę. Tę, która przyleciała z Kettlerem.

Być może to siostra. Moja siostra, zadzwieczało jej w głowie.

I zrobiło się jakoś miło i ciepło. Patrzyła na dziewczynkę przez dłuższą chwilę z oddali, ale w końcu nie mogła się oprzeć i zaciekawiona podeszła bliżej. Zauważyła błękitne oczka i ciemną cerę i usiłowała się doszukać podobieństwa.

Do siebie albo ojca.

Mała grała w staroświeckie klasy i Hania przypominała sobie, jak Basia uczyła ją tej gry, tam, w Delfzijl.

Dobra zabawa dla samotnego dziecka.

Niania czy opiekunka siedziała na pobliskiej ławeczce, czytając książkę, i nie zwracała uwagi ani na Hanię, ani na małą, więc Hania odważyła się zapytać:

- Ja jestem Hania. A ty mi powiesz, jak masz na imię?

Mała odpowiedziała:

- Lola.

Dziwne imię, myśli Hania, dobre dla tancerki. Lola. Lola.

Hania to takie grzeczne imię.

Może mój los przesądził się właśnie wtedy, gdy mama tak mnie nazwała?

Może zawsze będę taką miłą dobrą Hanią, która nikomu nic złego nie powie, zawsze pokiwa głową i robi to, co powinna, co jej się każe.

Hania.

Taka Lola... z takim imieniem na pewno można więcej...

W sali prób przy oknie stała Monika i wyglądała na podwórko, obserwując Hanię i Lolę.

Uśmiechnęła się i już miała zamiar zejść do córeczki, próba właśnie się skończyła, wszyscy wychodzili, czas i na nią, myślała, chciała zabrać małą na lunch, gdy wtem rozdzwoniła się jej komórka.

Zerknęła na wyświetlacz.

Bruce.

Cała się rozpromieniła. Tęskniła za Bruce'em jak diabli.

- Hi, Bruce. Yes, we are still working in Poland. Yes, of course, but after European Show Dance. No, Jan can't earlier. We have to be in Paris before. Sorry, we have to be professional. Yes, probably yes.

Rozmawiając, zeszła po schodach do Loli, którą tymczasem Hania przepytywała, sprytnie i podstępnie, jak jej się wydawało:

- A ty jesteś tancerką?

Mała patrzyła na nią nieco podejrzliwie:

- Nie, ja nie, moja mama jest. Tata też.

Hania już wiedziała.

Tak, to na pewno była jej siostra. Zrobiło jej się ciepło, patrzyła na małą tak jakoś inaczej i miała ochotę jej dotknąć, przytulić. Siostra. Miała siostrę. Zawsze przecież chciała mieć i proszę...

Wyciągnęła już dłoń w kierunku główki Loli, gdy wychyliła się będąca już w połowie schodów Monika i zawołała:

- Pani Agnieszko, proszę założyć Loli płaszczyk.

Pani Agnieszka spojrzała najpierw na słońce, potem na Monikę i wzruszyła ramionami.

Cóż, co jej tam zależy. Założy. Sięgnęła po leżący na ławeczce płaszcz i zbliżyła się do dziewczynki.

A Hania, nie zwracając na nią żadnej uwagi, wciąż próbowała się czegoś wywiedzieć.

- Jan Kettler jest słynnym tancerzem.

Lola popatrzyła na nią pytająco, więc Hania zadała podstępne w założeniu pytanko:

- Znasz go?

- Wujek jest fajny - mówi Lola. Hania aż podskoczyła.

- Jaki wujek?

- Wujek Jan. Co się głupio pytasz? Nie siostra! Łał.

Hania otworzyła szeroko oczy i zapytała:

- A twój tata? ,

- Co mój tata?

- Gdzie jest?

Lola miała już dość tej wścibskiej pani, więc niezbyt grzecznie odpowiedziała:

- W Chicago... Gdzie ma być? Co ty niczego nie rozumiesz?

CZERWIEC 2008

Dzień po dniu Hania wytrwale chodziła na treningi prowadzone przez Kettlera. Inni dziennikarze powoli się wykruszali, a ona trwała. Zgłosiła Remkowi, że zrobi duży reportaż, i zamiast w pracy meldowała się na sali prób.

Siadała w kąciaku, na stojącej tam niezbyt Wygodnej ławeczce, i obserwowała. j I słuchała.

Dziś Kettler tworzył pary, wskazywał poszczególne osoby i jednocześnie mówił do grupki niezbyt może zadowolonych z tych wyborów tancerzy.

- Od teraz jesteście związani z waszymi partnerami. Jesteście całkowicie zależni od siebie nawzajem. Jeśli jedno z was ma problemy z barkiem, drugie też je ma. Jeśli jedno jest chore, drugie nie tańczy, jeśli ktoś odpadnie, partner może iść szukać normalnej pracy. Osobiście wiem, że w administracji państwowej nieźle płacą, a i praca kończy się o ludzkiej porze. Na jakiś czas musicie też zapomnieć o życiu prywatnym. To jest wasz nowy dom. Ta sala.

Kiedy Kettler mówił, Hania rozglądała się i napotkała wzrok Wojtka, który uśmiechał się do niej.

Zauważyła to Sylwia, stojąca już z nim w parze. Sylwia, wysoka atrakcyjna blondynka. Nie była zadowolona, że to Wojtek został jej partnerem. Widać to było wyraźnie, gdy Kettler ich wybrał.

Hania widziała, jak się skrzywiła i przewróciła oczami.

Może to i dobrze, myślała, gorzej by było, gdyby na niego leciała.

Jakoś miała ochotę zatrzymać tego Wojtka dla siebie, choć to przecież zupełnie bez sensu, bo przygotowania do ślubu ze Sławkiem szły pełną parą i każdą wolną wspólną chwilę poświęcali

na załatwianie a to wodzireja, a to fotografa, na wybór menu i inne tego rodzaju przyjemności. Na stole w ich salonie leżała długaśna lista spraw do załatwienia i co dzień skreślali z niej jedną, a czasem, jak dobrze poszło, dwie pozycje.

Tak więc w żadnym razie Hania nie powinna myśleć o tym dziwnym Wojtku, ale jednak myślała i cieszyła się, że ta Sylwia, jak się zdawało, nie będzie go uwodziła, skoro nie pasował jej jako partner.

Ale właściwie czemu jej nie pasował?

Przecież był najlepszy! O niebo lepszy niż każdy inny tancerz na tej sali. No, może poza Kettlerem.

Patrzyła na tańczące pary, na Wojtka z Sylwią, i trochę jej zazdrościła, że to ona tak tańczyła w jego ramionach.

Chciała zatańczyć. Całe dni spędzone tutaj powodowały, że czuła potrzebę tańca i ruchu.

Ale cóż, siedziała grzecznie na ławce i patrzyła.

Nie dla psa kiełbasa.

Za to wieczorami biegła uliczkami Starej *Ochoty* z empetrójką i słuchawkami na uszach i czasem robiła taneczne ruchy, bo coś ją po prostu podrywało w górę.

Tak, chciała tańczyć. Może miała to we krwi...

Muzyka umilkła, pary kończyły i wszyscy zwrócili się ku Kettlerowi, co też on powie, ale on nie powiedział nic.

Odwrócił się i bez słowa wyszedł z sali.

Monika jak zwykle ekstrawagancko ubrana z niezapalonym papierosem w ręku stała przy oknie i jak zwykle zerknęła na bawiącą się na podwórku Lolę.

Wczoraj kupiła jej fikuśną hulajnogę i mała z zapalem uczyła się jeździć. Pani Agnieszka, opiekunka, jak zwykle zatopiona była w lekturze. Nie był to chyba najlepszy wybór - myślała Monika - powinnam zatrudnić kogoś młodszego, kto by się z małą bawił. No, ale tę panią podesłała agencja, do której się zwróciła. Kobietka wyglądała poczciwie i zapewne była poczciwa.

Ale dziecku chyba trzeba bardziej koleżanki niż stróża, myślała.

Monika kochała Lolę nad życie i dałaby jej wszystko. Wiedziała, że nie powinna jej tak ciągać po świecie, ale trudno było jej zrezygnować, porzucić pracę u Jana. Była mu coś winna, a on, no cóż, nie umiał bez niej funkcjonować.

Niedługo odejdę, myślała. Niedługo, ale jeszcze nie teraz.

Teraz jestem mu chyba najpotrzebniejsza.

Kto by pomyślał, że Jan wpadnie w depresję, taki był zawsze twardy, ale coś w nim chyba pękło na Korfu, po kontuzji. Może zdał sobie sprawę z jałowości takiego życia tylko dla pracy? Może. Na to wygląda, bo przecież odkąd się tu zjawiał, jest kłębkim nerwów. Wrócił z Korfu spokojniejszy, jakby podjął decyzję, wiedział, co dalej. Chciał do Polski.

Ale wygląda na to, że tu się znów pogubił.

Nie udało mu się.

Ta Basia.

Nie chce się z nim spotkać. Nikt jej nie może zmusić. A i córka, że też nie jest ciekawa swojego ojca. Takiego słynnego ojca. Dziwne. Gdyby udało mu się nawiązać z nią kontakt, może znów stałby się dawnym Janem, zrównoważonym, pełnym pasji, i może odnalazłby radość, którą dawała mu praca. I szczęście. A przynajmniej spokój.

Obracała w rękach papierosa i patrzyła na Lolę. Zrobiłaby dla niej wszystko, ale cóż, jest kobietą.

Jan zaś zostawił dziecko i kochaną kobietę. Paskudnie. Mężczyźni pewnie są inaczej skonstruowani. Zresztą co człowiek, to inna konfiguracja.

A Jan, Jan to w ogóle unikat. Czy geniusz, bo Monika nie miała wątpliwości, że Jan jest geniuszem, miał takie same obowiązki jak zwykły człowiek? Czy można stosować wobec niego tę samą taryfę? On wszystko traktuje zbyt serio, myśli Monika, powinien wyluzować, bo go w końcu zawał ukatrupi z jakiegoś błahego powodu, że ktoś źle zatańczył albo coś zawalił.

Czy inni też są tak zapamiętali? Monika rozejrzała się po sali.

Sylwia z Wojtkiem próbowali swój układ. Nie grała muzyka, bo każda para ćwiczyła indywidualne kawałki, ale był ruch i gwar, tancerze co chwila przerywali, komentowali, patrzyli, co robią inni, i znów próbowali swoje. Wyglądali na zajętych i zakręconych, ale nie zapartych. A Jan, jak Monika świetnie wiedziała, miał naturę bulteriera, jak coś

chwycił, to już trzymał, pracował nad rolą aż do granic absurdu. Podobnie było z tworzonymi przez niego układami choreograficznymi, zawsze były dopracowane do perfekcji. Monika przypominała sobie potężną aferę, która wybuchła wtedy, w Zurychu, gdy odwołał premierę.

Oj, działało się.

Piekło, a on nic.

Nie zgadzał się na spektakl, bo ciągle nie był zadowolony z paru układów.

Ciężki człowiek. Ci młodzi, tu na sali, byli wyluzowani i radośni. Ale teraz młodzież jest inna, a Jan, wiadomo, miał tylko taniec. I wciąż ma tylko taniec. To mało, myślała Monika, żal było mało. Ale czy on w ogóle o tym wiedział?

W tym momencie obok niej pojawiła się Hania, która wiedzioną jakimś impulsem podeszła do okna i wyjrzała przez nie.

Na dziedzińcu zobaczyła ojca, który niespiesznie się oddalał.

Tak po prostu.

Poszedł sobie.

Hania patrzyła na jego pochyloną sylwetkę, ręce w kieszeniach i zastanawiała się, czemu on tak nagle wybiegł, jakby uciekał.

Monika naląła sobie powoli wodę do szklanki i uśmiechnęła się do niej lekko, więc Hania zebrała się na odwagę:

- Często się tak zachowuje?
- Czasami.
- Dziwny człowiek.

- Jest okropny. Ale skuteczny. Wszystko jest częścią tej gry.
Hania zarejestrowała to słowo „gra”, ale nie miała czasu nad nim pomyśleć, bo Monika przez długą chwilę przyglądała się jej w milczeniu i zapytała nagle, jakby podjęła jakąś decyzję:
- Chcesz zrobić z nim wywiad?
Na twarzy Hani malowało się zaskoczenie. Potem panika. A potem pokiwała głową. Potakująco...

KWIECIEŃ 1992

W kwietniu 1992 roku Basia skończyła trzydzieści lat.
Postawiła na blacie kuchennym butelkę wina i naląła sobie kieliszek. Była jedenasta rano, a ona miała ochotę się upić.
Nie żeby specjalnie przejmowała się urodzinami, ale po prostu potrzebowała się znieczulić, bo zaczynała świrować.
Chodziła po domu i płakała. To pewnie hormony, alboco.
Raczej alboco.
Upiła trochę wina z kieliszka i patrząc na bawiące się po drugiej stronie ulicy dzieci, zaczęła się zastanawiać, co powinna zrobić.
To był ruch we właściwym kierunku.
Refleksja.

Ale niezbyt głęboka.

Głębokie refleksje są szkodliwe - powiedziała to sobie na głos.

Więc po prostu muszę tylko zebrać myśli i siebie - *zich bijeenrapen*, jak tu mówią - do stogu...

A zatem:

Pranie wyjąć z pralki.

Poprasować, bo chyba kończą się Holgerowi koszule. No i jakiś obiad...

Na nic z tych rzeczy nie miała ochoty: ani schodzić do piwnicy, do pralni, ani prasować.

No, obiad. W ostateczności.

Przecież dziś jest jej piękny dzień urodzin.

Ponownie naląła sobie wina do kieliszka, tym razem więcej, by się zanadto nie przemęczać dolewaniem, i usiadła z kieliszkiem na kanapie w salonie.

Włączyła telewizor, ale jak można się domyślać, gadali w nim po holendersku, a nie był to jej ulubiony język. Upiła więc nieco winka i przerzuciła się na kanał francuski, gdzie zgodnie z oczekiwaniami, w końcu nie miała wygórowanych tych oczekiwań, gadali po francusku.

Błyskotliwie to wymyśliła.

Francuski, była to pewna poprawa, zatem znów dołąła sobie wina i zaczęła się przyglądać niejakiemu Pivotowi, znanemu jej ze słyszenia jeszcze z Polski guru literatury francuskiej, który coś tam gawędził o najnowszej książce Le Clezio.

No, był taki.

Taaa. Le Clezio. Pamiętała. Nudziarz.

Nie miała co czytać. I to była prawdziwa katastrofa.

Aśka przysyłała jej książki dość regularnie, a Basia rewanżowała się, śląc różne różności, o jakich Aśka zamarzyła: kawy, herbaty, czekoladki belgijskie i wełny angielskie.

Wiadomo, wymiana barterowa.

Ale akurat wszystko już przeczytała i nie miała co czytać.

Rozczuliła się sobą, taką pozbawioną pokarmu intelektualnego z ojczyzny, więc znów łyknęła winka.

To pomaga.

U Pivota pokazał się Nabokov. A więc tak wygląda Nabokov.

Basia na moment się skupiła i posłuchała. No, z sensem mówi.

Ale czy to jej *dotyczy*?

Czy ją w ogóle obchodzi? Czy ją to interesuje? Konwicki wydał ostatnio jakąś książeczkę. O! **Czytadło**.

To by ją zainteresowało. Pewnie. Albo taka Chmielewska, o, to by było coś. Nie jakiś tam Le Clezio. I Nabokov. Na bokov Nabokov.

Co do powiedzenia jej, Basi Brzozowskiej, ma Nabokov?

A nawet gdyby się dowiedziała co, to co miałyby z tym zrobić? He?

No, głąb się z niej zrobił.

Siedzi, kurczę, w salonie, popija wino i papieroska pali, a głąb się z niej zrobił. Głąb ze zmywarką, pralką i terenówką.

Tak. Bo miała terenówkę. Kupił jej Holger, który ostatnio znów przeszedł przemianę. Teraz mało przebywał w firmie, a dużo w pubie. Potrzebny był w związku z tym drugi samochód, by go z tych pubów wyciągać.

W domu też mało. Rozrywkowy się zrobił, widać musiał jakoś odreagowywać tę firmową nudę.

Basia to rozumiała.

Jego nowi koledzy wyglądali, jakby uciekli ze sztuki Osbourne'a. Młodzi gniewni.

Proszę, jaka z niej intelektualna kura domowa. Nalała sobie wina i zastanowiła się nad problemem alkoholizmu u gospodyń domowych. Proszę, jedenasta, a ona pije. Shiraz. W Polsce nie wiedziała, co to shiraz.

Wiedziała, co to gellala. u I egri bikaver.

A teraz shiraz i pinot grigio. Rozwija się.

Powinna schować butelkę.

Może do kosza na brudną bieliznę. Ponoć to standardowe miejsce na wino popijane przez gospodynie domowe. Nie wino - dzin czy whisky. A może powinna przejść na dzin? Ponoć jest bezwonny, a więc dobry dla ukrytych alkoholików. Wino w zasadzie trudno przechowywać w koszu, ho może się rozlać, ale z drugiej strony nawet jak się rozleje, to co?

Te odplamiacze... taki vanish - czy oni w Polsce wiedzą, co to vanish?

A ona, Basia, wie.

I nie boi się wina rozlanego.

No, tak daleko się nie posunę, pomyślała Basia, nie schowam butelki do kosza, o co to, to nie. I postawiła butelkę na blacie.

A koło niej kieliszek. Ma prawo pić i będzie pić.

Tak, będzie kontynuować tradycje rodzinne. Polskie tradycje rodzinne. Tu wspomniała swoją mamusię, która, jak słyszała, już zupełnie pograżyła się w odmętach alkoholizmu. Asia odwiedzała ją niekiedy na polecenie Basi i zostawiała jej prezenty i zakupy. Nigdy pieniędzy.

Nienawidziła tych wizyt. Podobnie jak Basia,

Tak, miło jednak czasem się napić.

Dziś.

Jutro Basia nie ma zamiaru pić, choć kto wie. Nie, mama jest jednak ostrzeżeniem. Dziś są jej urodziny, więc pije. Trzydzieste.

Smutek egzystencjalny. Ma prawo. Skręcić na chwilę w lewo.

Ma w końcu męża lewaka. Z socjalistami się Holger zadaje. No, żart.

Wysączyła do dna kolejny kieliszek i poszła do piwnicy wyjąć pranie. Rozwieszając je na podwórku z tyłu domu, kontynuowała swój monolog wewnętrzny:

Czy w końcu ma prawo mieć jakieś pretensje do życia?

Źle nie wylądowała. Żyje jej się dobrze.

Holger bywa czuły i troskliwy. Troszkę nerwowy, ale nic to. Troszkę popija i komunizuje, ale niegroźnie. Na razie.

Dziecko, no, dziecko, można rzec, będzie obywatelem świata. Hania i po angielsku już gada, i po francusku, i po holendersku. Jest, co prawda, cicha i zagubiona, taka jakaś wystraszona, ale nie płacze, już się nie moczy, jak to miało miejsce na początku ich pobytu tutaj.

Czego ona chce?

Wszystko idzie ku lepszemu.

Tak.

Kiwnęła sobie głową, zabrała plastikowy pusty koszyk po praniu i znów weszła do piwnicy. Nie, ona weszła do basementu.

Tu miała basement.

Każda by chciała tego, co ma ona, a ona co? Marudzi.

Wróciła do kuchni i wyjęła z lodówki całkiem słuszny kawałek jagnięciny. Uczci nią swoje urodziny.

Pieczeń jagnięca z czosnkiem i rozmarynem. To lubi i robi sobie przyjemność. Czy w Polsce była jagnięcina? *Jamais. Nooit. Never.*

Raz dostała z darów nowozelandzką baraninę. Raz. W Polsce nie było baraniny, nie ceniono tego psychotkowego mięsa, a tu proszę, robi na obiad jagnięcinę z rozmarynem.

O! I podleje shirazem. Co też uczyniła, przy okazji dopełniając sobie kieliszek.

Choć bardziej lubi zrazy. Ale nie ma grzybków suszonych. Ani kaszy. Trzeba poprosić Aśkę, niech podeśle. Gdyby tak Aśka miała internet, to by jej od razu mejlnęła w swojej żądzy posiadania kaszy i zrazów.

No, ale nie ma.

Ciągle jeszcze trzeci świat w ojczyźnie miłej - Basia westchnęła i wtarła świeży rozmaryn w jagnięcinę.

Nawet i komputera Aśka nie ma.

Muszę do niej zadzwonić - postanowiła. Pogadam sobie urodzinowe

Aśka wyszła za męża, i to dobrze, za młodego obiecującego biznesmena. Miała zwariowane bliźniaki i była szczęśliwa. Tak jak ona.

Obie były niezwykle szczęśliwe. Zawsze to sobie powtarzały, gdy rozmawiały przez telefon. To bardzo pomagało. Bliźniaki miały ADHD, ale co tam. I te biznesy. Szły. Ale Aśka nie wiedziała, czy dobrze, bo trudno ją było dojrzeć spod góry pieluch. No i mąż mało w domu bywał. Wiadomo, biznesy. Zupełnie jak Holger.

Tak, zadzwoni do niej i opowiedzą sobie, że fajnie jest.

Ale to później, teraz zapekluję jagnięcinę i może jeszcze trochę wina. Nalała sobie kolejny kieliszek i popatrzyła przez okno. Właśnie pod dom podjechał Holger, a z nim jakichś dwóch...

O tej godzinie, ciekawe...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Hania w swoim schludnym kostiumiku wyglądała jak szara myszka wśród wystrojonych dziewczyn z baletu.

Czuła, że komentują jej wygląd i zachowanie. Wiadomo, była tu obca, a obcy musi fruwać. Znała to na pamięć.

Chciała tylko stać z boku i patrzeć. To lubiła. Tego się nauczyła i w Holandii, i w Brzezinie.

Ale teraz czasami, gdy widziała, jak te dziewczyny ciuchami wyrażają swoją osobowość, a każda robi to w innym stylu, myślała, że sądząc po jej strojach, łatwo dojść do wniosku, że ona, Hania, nie ma żadnej osobowości.

Tyle razy zmieniała miejsca i szkoły. Raz była wieśniarą, raz tipsiarą, raz punkową.

Była też w oazie. A jakże.

Sukienka w kwiatki' i chusteczka na głowie, śpiewała.

Uśmiecha się do siebie w myślach.

A jak piszczała, bawiąc się z Marijke Barbie fryzjerką.

Zupełnie tak samo jak Marijke. Nikim nie była naprawdę. W końcu została Hanią w kostiumie i niczego nie udaje. Nikogo.

Jest sobą, czyli jej nie ma. Żyje sobie spokojnie ze Sławkiem. I tyle.

Ale tu, na tej sali, to właśnie ona jest inna, wygląda jak biuralistka i nudziara.

Czasem myślała, że w tym kostiumiku nikomu poza Sławkiem podobać się nie może, ale z drugiej strony: dlaczego miałyby chcieć się komuś innemu podobać?

Ten Wojtek zdaje się ją lubić, ale przecież nic ich nie łączy, więc... Zresztą, po co mu taka nudziara?

KWIECIEŃ 1992

Holger wszedł do salonu, prowadząc dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach. Wyglądali jak przedsiębiorcy pogrzebowi. Podszedł do Basi, wziął ją za rękę i powiedział: - Basiu, chciałbym, byś się pierwsza dowiedziała, sprzedałem firma...

CZERWIEC 2008

Warszawa

Dwie panny z baletu leniwie zbierały się do domu, a Hania stała przy drzwiach i czekała na Wojtka.

Sylwia, jego partnerka, zmierzyła ją wrogim spojrzeniem, a do Vivki powiedziała milutko:

- Do jutra. Masz ekstrabluzkę.

Vivka uśmiechnęła się od ucha do ucha, zarzuciła na ramię wypasioną torbę od Prądy i odkrzyknęła:

- Dzięki.

I przechodząc tuż obok Hani, wskazała na nią i opuściła palec w dół.

Hania zauważyła tę małą pantomimę w lustrach, których na sali ćwiczeń nie brakowało.

No tak.

Wiedziała. Czuła.

To ma oczywiście oznaczać, że ona, Hania, jest beznadziejna i beznadziejnie ubrana.

Spuściła oczy, bacznie przyglądając się z lekka wytartej podłodze.

Nie chciała, by poczuły na sobie jej spojrzenie, nie chciała dać im satysfakcji, że jej dopiekły, ale zarejestrowała jeszcze krótki, urwany chichot Sylwii.

No tak.

Obcy musi fruwać. Inny musi fruwać.

Hania stała w drzwiach, oparta o framugę obserwowała Wojtka i zapomniała na chwilę, gdzie jest. Vivka zniknęła, więc Sylwia stanęła koło niej i też przyglądała się Wojtkowi:

- Niezłe ciacho, nie? Nie masz szans. Hania podskoczyła:

- Co?

Zorientowała się, o co chodzi Sylwii, i natychmiast nerwowo zaprzeczyła:

- Ależ ja nie jestem zainteresowana.

- Dobra, dobra. Znam takie ciche wody jak ty - powiedziała i przeszła z szatni do sali prób, gdzie

zameldowała się Wojtkowi z fałszywym uśmiechem:
- Już jestem, Wojtek. Powtórzmy jeszcze te podnoszenia.
Wojtek kiwnął głową i przestał na chwilę ćwiczyć; w oddali zauważył Hanię.
Przez chwilę ich wzrok skrzyżował się, ale Hania spuściła szybko oczy i wyszła.
Myśli: Cicha woda. Brzegi rwie.
Akurat. Nic nie rwie. Ani jej się śni.
Obciągnęła kostiumik i pomknęła do domu.
Tego dnia mieli ze Sławkiem wybierać tort.

KWIECIEŃ 1992

Delfzijl

Promienie słońca omiatały łóżko. Basia leżała oparta o kolana Holgera i skubała kiść winogron. Kołdra leżała na podłodze, poduszki były porozrzucane, a szampan smakował znakomicie.

Proszę, jeden dzień, a jaka różnica, myślała, dwoje szczęśliwych ludzi.

Holger nawijał pasmo jej włosów na palce i całował ją w szyję. Basia miała tam taki śliczny mały pieprzyk.

Holger bardzo lubił ten pieprzyk i lubił całować Basię.

Jak ona pięknie pachnie, pomyślał, i to nie jest żadna chemia, sama natura. Znow powędrował ustami po jej plecach.

Tak miło mruzczała.

A potem zapytała, gładząc go po udzie.

- To co teraz?

- Teraz chwilę odpocznę - powiedział, sięgając po szampana.

- Ale... ja... nie o tym - zaśmiała się, zdejmując rękę z jego uda i wsuwając we włosy. - Co zrobimy? Z tą świeżo odzyskaną wolnością... Już nie musimy tu być...

- Tak! - wykrzyknął radośnie Holger. Wyciągnął się jak długi i skopał z łoża poduszkę,

aż poleciała pod drzwi, i zakrzyknął radośnie:

- Zwijamy się stąd!!!

- Wracamy do Brzeziny!!! - rzuciła podekscytowana Basia.

- Do Bszesiny? - zdziwił się Holger... - Jakiej Przesiny?

- No, do domu. Do Polski!

- Eeee. Nie. Do Polski nie. Tam zimna. Tam rence grabijom. Pojedziemy tam, gdzie sonce. Do Meksyka pojedziemy...

LIPIEC 2008

Warszawa

Hania siedziała samotnie w kawiarni na Foksal i czekała.

Popołudniowe słońce przyjaźnie przygrzewało, było zupełnie pusto, jakby wszyscy już gdzieś wyjechali i została tylko ona.
Eklektyczny pałacyk

wyglądał zjawiskowo, światło układało się na nim niczym na obrazach Bellotta, a na kamiennej balustradzie rozległego tarasu spacerował kotek niedorostek z zabawną białą krawatką. Co raz podskakiwał w pogoni *za* muchą czy komarem. Z daleka trudno było dostrzec, co gonił, ale wyglądał jak mała kocia marionetka podrywana zniecka przez jakąś niewidzialną rękę trzymającą sznurki.

Mecenas z niego, wygląda zupełnie jak prawnik w amerykańskich filmach, pomyślała sobie Hania i znów nerwowo zerknęła do pliku rozłożonych na stoliku notatek.

Była niepewna, właściwie przerażona.

Czekała już dobry kwadrans w kawiarni usytuowanej w zacisznym ogrodzie, tuż przy siedzibie Stowarzyszenia Dziennikarzy, na Jana Kettlera. Ojciec się spóźnił, a miała z nim po raz pierwszy w życiu rozmawiać i miał to być też jej pierwszy w życiu wywiad.

Czuła, że boli ją brzuch, że ręce się jej pocą i że na pewno nie powie jednego rozsądnego słowa.

No i Kettler uzna ją za głupią i wszystko przepadnie.

Po raz dziesiąty poprawiła leżący na stole dyktafon i po raz setny zerknęła na wejście. Spóźnił się.

Może w ogóle nie przyjdzie. Może tak byłoby najlepiej. Po co jej znajomość z nim? To nawet głupie i w końcu się wyda, że ona... Kim ona jest.

Ale w zasadzie i tak się wyda. Już w to zabrnęła.

Zakazała mamie kontaktować się z ojcem. Chciała go sobie poobserwować. Poznać.

Miała morale w skarpetach i czuła przemożną chęć ucieczki, ale było już za późno, bo oto Kettler się pojawił, pewien siebie i otoczony nimbem wielkości.

Nie był zbyt wysoki, ale szybki i gibki. Czarny, chmurny i elegancki.

Coś w nim było, jakaś aura władzy. Hania przyglądała mu się z daleka i szukała w sobie podobieństw.

Była blondynką, po mamie. Ale skórę miała śniadą po nim. I oczy. Takie jak on.

Kelner biegł za nim, choć na nią w ogóle nie zwrócił uwagi, a przecież była sama w całej kawiarni. Właśnie dlatego wybrała to miejsce na spotkanie, w panującej tu ciszy będzie mogła spokojnie nagrać wywiad.

Kelner zgięty w ukłonie prowadził ojca i Hania, widząc go zaledwie dwa kroki od siebie, podniosła się.

Powoli i niepewnie, jakby chciała jeszcze odwlec tę chwilę.

Czuła się trochę słabo, ale wiedziała, że się nie da. Musi być mocna. Silna.

Jak ten co zginął nam król. Oj.

- Dzień dobry. Okazuje się, że uliczne korki to nie tylko wynalazek Nowego Jorku. Przepraszam.

Mówił. Do niej. Ojciec.

Hania ukradkiem wytarła wilgotną nieco dłoń w sukienkę i wyciągnęła ją w jego kierunku.

- Nie szkodzi. Jestem wdzięczna, że zgodził się pan na wywiad.

Uścisk ojca był mocny, stanowczy.

Jej może trochę niepewny, ale Hania starała się jak mogła.

I ścisnęła mu dłoń mocniej.

Żadnej śniętej ryby. Nie da się, nie będzie omdlewającą liliją.

Choć dokładnie tak się czuła. Patrzyła mu w oczy, ciekawa, co też z tych oczu da się wyczytać.

Kettler zaś przyglądał się Hani, jakby widział ją po raz pierwszy, co przecież nie jest wykluczone, bo mógł jej nie zauważyć w tłumie żurnalistów.

Niemniej pod jego baczny spojrzeniem Hania czuła się nieco niepewnie, na szczęście on odwrócił wzrok i siadając naprzeciw niej, odpowiedział:

- Nic wielkiego.

- Możemy zaczynać. Proszę strzelać.

Hania nerwowo przełożyła przygotowane kartki z pytaniami i wysiliła się na wymuszony żart:

- Nie wzięłam, co prawda, pistoletu, ale oczywiście zaczynamy.

Kettler spojrzał na nią i powiedział:

- Kim naprawdę jesteś?

To koniec, myśli Hania, leżę i kwiczę.

Skąd wie...

Ale mówił powoli i ostrożnie:

- Słucham?

W tym momencie szczęśliwie pojawił się kelner i postawił na stole wodę mineralną dla Kettlera i spytał ugrzeczniony tonem:

- Coś jeszcze?

Ojciec spojrział na nią przez chwilę, chyba widział jej przerażenie, bo uprzejmie zaproponował:

- Może jeszcze coś słodkiego, coś z czekoladą. A może jest szarlotka? Dwa razy?

Mówił. Do niej. Jak ojciec? Hani serce biło tak głośno, że chyba było je słychać.

Zdenerwowana nie mogła wykrztusić słowa, tylko kiwnęła głową na tak.

Kettler zatem zamówił dwie szarlotki i wrócił do przerwanej kwestii:

- Kim naprawdę jesteś, panie Kettler? Z reguły dziennikarze zaczynają właśnie od tego pytania.

Hania odetchnęła. Głęboko. Boże, dzięki.

Wciągnęła łapczywie powietrze, bo przez chwilę zapomniała oddychać, i odpowiedziała:

- Szczerze mówiąc, chciałam zapytać o coś innego.

- Słucham.

Znowu wpadła w panikę, nie pamiętała już żadnego pytania, wszystkie jej w mgnieniu oka wywietrzały z głowy, waliła zatem na odlew, prosto z mostu:

- Czy ma pan dzieci?

On, zaskoczony, milczał długą chwilę, a potem się odezwał:

- Tak.

- Jedno?

- Tak.

- Czym się zajmuje?

- Nie... Nie wiem...

Na chwilę zapadła cisza.

Hania była zdziwiona. Nie wiedziała, czemu była zdziwiona, ale była. Czego się właściwie spodziewała?

Że obserwował ją z daleka?

Akurat.

Zapytała, lekko zgorszona, co się chyba wyczuwało:

- Nie wie pan, co robi pana dziecko? Jak to?

- Nigdy jej nie spotkałem. Czy możemy zmienić temat?

Ona też chciałaby uciec od tego, co wbrew sobie zainicjowała.

Ta rozmowa kompletnie wymknęła jej się spod kontroli.

Poniosło ją. Ot, co.

Ale udawała, że tak nie jest, i odpowiedziała:

- Skoro musimy.

Kettler przyglądał się jej uważnie:

- Pani nie jest specjalnie zainteresowana tańcem, prawda?

- Dlaczego pan tak sądzi? Kettler uśmiechnął się:

- Wiem, że to jest pani pierwszy wywiad. -Wskazał na liczne kartki leżące przed nią na stole.

No tak, pomyślała Hania, te bazgroły to pewnie mało profesjonalne.

- Ale widzę, że dobrze się pani przygotowała. -Ponownie wskazał na stos papierzysek lekko unoszonych przez wiatr. - Nie będę już pani przeszkadzał. Proszę pracować.

- Nie przeszkadza mi pan - niemal wyszeptała Hania i postawiła popielniczkę na swoich notatkach i materiałach ściągniętych z netu.

Kettlerowi przemknęło przez myśl, że ten wywiad to pomyłka. Może jakiś tabloid coś zwietrzył i pod postacią tej miłej dziewczynki wysłał na przeszpiegi wyrachowaną hienę dziennikarską, skwitował więc ostro:

- To zejdzmy z osobistych tematów albo zakończmy to spotkanie.

Hania odczytała jego myśli i wycofała się natychmiast:

- Proszę mi wybaczyć. Rzeczywiście mam małe doświadczenie. - Zerknęła na karteluszek leżący na wierzchu stosiku i przeczytała powoli jak dziecko: - Pierwsze pytanie: Jan Kettler to osoba o wielu twarzach?

- Powiedziałbym, że artysta o wielu twarzach, bo osoba sugerowałaby, że mam coś do ukrycia.

- A ma pan?

- Tajemnice? Jak każdy człowiek. Wciąż interesują panią moje sekrety?

Hania była już sprytniejsza:

- Zawodowe sekrety. Dlaczego opuścił pan Polskę?
- Odpowiedź jest prosta. W czasach, gdy byłem młody, wszyscy artyści marzyli o pracy za granicą. Na szczęście dla mnie mój sen się ziścił.

- Nie żałuje pan?
- Byłbym niemądry, gdybym żałował tego, że udało mi się zrobić karierę.

Hania przerwała Kettlerowi. Nie zrozumieli się...

- Wyjazdu, nie żałuje pan wyjazdu? Nie ma pan poczucia, że pan coś stracił?

On chwilę się zastanawiał:

- Może jedną rzecz. Może nie. Nie jestem pewien, bo tego nie wiem. Teraz chcę się dowiedzieć.

- Czego? Że mógłby pan coś więcej osiągnąć w tańcu?

- Nie, chcę się dowiedzieć, czy mogłem być lepszym człowiekiem. Czy jeszcze mogę...

Hania zmieniła się na twarzy, pochyliła nad stolikiem i notowała. Nie wiedziała, czy dobrze, czy źle. Nie wiedziała, co pisze. Coś.

Musiała na moment się schować. Pisanie to idealna ucieczka. Na chwilę.

Potem podniosła wzrok i zamruczała, tak pod nosem, dość nieprzyjemnym tonem:

- To chyba oczywiste, że za sukces się płaci.

Kettler wzruszył ramionami i chciał odpowiedzieć, ale w tym momencie kelner przyniósł ciasta, więc Hania następnym pytaniem postarała się zatrzeć ten swój lekko wzgardliwy ton, który on niewątpliwie wyłapał:

- Wyjechał pan z Polski dwadzieścia cztery lata temu. - To prawda.

- Jakie to uczucie wrócić do domu po tylu latach, o ile Polska wciąż jest dla pana domem?

Hania podsunęła dyktafon, zrobiła to zbyt nerwowo i wylała na siebie wodę mineralną ze szklanki Kettlera.

Miała mokrą sukienkę.

Tylko tego jej brakowało.

Przewracając oczami, wyszeptała:

- Przepraszam...

Nawet nie wiedziała, jak w tym momencie przypominała Basię.

Przez sekundę dźwięczało mu w głowie to inne „przepraszam”, ale to tylko mgnienie, coś nieuchwytnego, co pojawia się i znika.

Dziewczyna jest młoda, zmieszana i nieporadna, ale pełna takiego lekko żrebakowatego wdzięku i ładna, naprawdę ładna.

Ładne mogą więcej - to jedna z jego złotych myśli, więc przywołał ją w pamięci i mówił najłagodniej, jak potrafił, a czasem potrafił.

Jeśli chciał, ale rzadko chciał, bo i po co?

- Nic nie szkodzi. Mają tu piękny ogród. Na słońcu szybciej pani wyschnie.

- Dobry pomysł, chętnie się przejdę. - Hania wstała szczęśliwa, że będzie miała chwilkę przerwy, że zbierze myśli.

Jan idąc za Hanią, patrzył na jej nogi, na figurę i myślał:

Śliczna dziewczyna, naprawdę śliczna, ale zanadto neurotyczna. Nie wchodzę w romanse z neurotyczkami, obiecałem to sobie po tej wariatce Anastazji. Ależ to był wypadek przy pracy! Nigdy żadnej neurotyczki.

Choć może tu, w Polsce, nawet neurotyczki nie są aż tak neurotyczne jak gdzie indziej. Kiedyś nie były. Mniej czasu na myślenie, jak mniemam. No i trudniejsze warunki bytowe.

Więcej pracy. Mało kasy. Taaa.

Patrzył na Hanię, taką śliczną i młodą, w słońcu, w ogrodzie, i odpowiadał na jej pytanie:

- Może powiem inaczej. Życie można by porównać do losu kłowna podrzucającego talerze, któremu ktoś wciąż dorzuca kolejne. Nietrudno się domyślić, że prędzej czy później któryś talerz spadnie i rozbije się. Najczęściej takim talerzem jest życie prywatne, rodzina. Chociaż, jak ktoś ma pecha, może złamać nogę. *Nie* wiem, co jest gorsze.

Wskazał na szarlotkę Hani, która leżała obok niej na talerzyku na trawie.

- Nie je pani?

- Nie, nie dziękuję. Proszę się poczęstować.

- Naprawdę? Dziękuję.

Oczy mu błyszczały, gdy sięgał po ciasto, i wyglądał przy tym jak chłopiec, który się dobrał do kartonu ulubionych snickersów.

Wzruszył tym Hanię i przez moment wzbudził w niej czułość. Zapatrzona w niego, znów zapomniała, o co chciała zapytać, więc nerwowo przeglądała notatki i szukała kolejnego pytania, ale po

chwili zniecierpliwiona zrezygnowała z tych poszukiwań, podniosła wzrok na Kettlera i znów powiedziała to, co jej serce dyktowało:

- Wie pan, przygotowałam wiele pytań, ale teraz wydają mi się po prostu banalne. Tak naprawdę, chciałabym wiedzieć...

Widać jednak, że Kettler nie słuchał, zamyślił się i nie zwracając uwagi na pytanie Hani, przerwał jej.

- Zabawne, to ciastko przypomina mi moją młodość w Polsce. Miałem narzeczoną, która piekła najlepszą szarlotkę na świecie. Nigdy już niczego takiego nie jadłem.

- Jak się nazywała?

Jan odwrócił wzrok, ale odpowiedział:

- Basia. Nieważne, nie chcę o tym mówić. To jedna z tych smutnych historii, kiedy mężczyzna wybiera karierę zamiast miłości. Wie pani, jak z tymi talerzami. Czasami upada najcenniejszy.

LIPIEC 1992

Basia nacisnęła na gaz. Było już blisko. **i** Blisko! Blisko! Blisko!

Pędziła swoją czerwoną toyotą jak torpedą, już chyba sześć czy siedem godzin bez przerwy.

Droga była przed nią pusta, łany po prawej, łany po lewej, a za nią wznosiły się tumany kurzu, które wzniecała swoim autkiem.

Z upodobaniem.

Basia włączyła klimatyzację i puściła radio na full, więc chłodno jej było i słuchała sobie muzyczki, akurat Big Cyca puszczała.

Gdy załapała, o co biega w piosence, zaczęła ją sobie podśpiewywać razem z kapelą do wtóru:

Nie będziemy śpiewać po angielsku

Mówią, że rock and rolli nie jest stąd Że to Londyn i Nowy Jork Że czas już tak jak tam Wyć w mikrofon i grać

A mnie się podoba Ta dziwna polska wiocha Też są jakieś grupy I brzmienie pipidowy

Nie będziemy śpiewać po angielsku Nie będziemy myśleć tak jak oni

No, cóż, może nie najwyższych lotów ten tekścik, ale jej pasował.

Hania na tylnym siedzeniu spała jak zmorzony życiem suseł.

Basia marzyła, by wysiąść z autka, choć trochę rozprostować kości i napić się wody, bo zapas mineralki już się skończył. Ale wokół tylko łąny, łąki i lasy, żadnego marketu, a nie chciała skręcać, szukać jakiegoś sklepiku wiejskiego, hamować i budzić Hani.

Niech śpi...
Było już blisko, tak blisko...
Wytrzyma.
Tyle wytrzymała.
Gnała zatem na łeb na szyję, ale jak dobrze pójdzie, za godzinę z okładem będzie. W domu. W Brzezynie Reinholda.

LIPIEC 1992

Brzezina Reinholda

Horacy Jan Pomiechówka karmił właśnie królika o wdzięcznym imieniu Erazm, gdy na podwórko Brzeziny wjechało czerwone fikuśne autko i zahamowało z piskiem opon.

Miał Horacy Jan dwadzieścia i cztery króliki, w tym sześć prawdziwych angorskich, zdobytych jakimś fartem na targu w Fojutowie i przepłaconych, rzecz jasna, ale na gotówce ostatnio Horacemu Janowi nie zbywało, o czym wiedzieli niestety wszyscy miejscowi i cóż, wykorzystywali to niecznie.

Horacy Jan zaklął szpetnie, Erazm był jedną z tych przepłaconych angerek i po prawdzie, najładniejszą z nich - wysmyknął się z klatki jak jaka fryga, a nie królik, bo Horacemu akurat ręka zadrżała i zanadto drzwiczki uchylił. Wszystko to na skutek nieoczekiwanego pojawienia się w jego obejściu tego właśnie czerwonego auta, co nim mafia mogłaby jeździć.

Mafia, nie mafia, nie tracił czasu, tylko rzucił się łapać Erazma, który był jego ulubieńcem i wart był każdej wydanej na niego złotówki.

Szczęśliwie Horacy Jan przyuważył, że królik myknął szybko, nadto szybko jak dla Horacego połamanego już nieco artretyzmem, pod schodki wiodące do obórki położonej ciut z boku podwórka.

Pomiechówka, nie bacząc na pojazd, co wpakował mu się na dziedzińczyk, pokuśtykał najszybciej jak mógł do schodków, młąc w ustach najgorsze znane przekleństwa.

Kudy jemu do królika, nogi jak z ołowiu i kostka boli, ale niczewo.

Jego ulubiony Erazm. ; Angora najprawdziwsza.

Jak nic, zwieji, zdziczeji, się zmarnuji.

Przestał jednak kląć, bo to nic do sprawy nie wносиło, i zaczął do Erazma przemawiać głosem ludzkim i wabiącym bardzo, takim uwlekającym, że kiedyś kobity...

No, może kobity, kiedyś, ale nie Erazm.

Ten się zaszył pod schodkiem i ani go widać było.

Na nic Pomiechówkowe mówienie.

Zaklął Pomiechówka ponownie, co mu ulgę pewną przyniosło, acz niewielką, a potem położył się na płask koło stopnia, i tylko oko i nos pod ten podest wsadził, królika usiłując zlokalizować, i mówił przy tym, żurawia zapuszczając w tę ciemność i mrok, przymilnie mówił: taś, taś, malutki...

Tak matula Pomiechówkowa wołała na kaczki i Horacy *uznał, że* i królik winien zrozumieć, co do niego woła.

Ani widu, ani słyhu.

Powoli wzrok mu się do tej podschodkowej ciemności przyzwyczaił i coś jakby króliczy kształt zamajaczył w narożniku, odległym i niedostępnym.

Tak, teraz widział dobrze.

Erazm siedział przycupnięty przy wystającej cegle i jak się Horacemu zdawało, patrzył na niego wyzywająco.

Ponowił to swoje: taś, taś, ale królik tylko się gapił bezczelnie i ani drgnął.

Drań jeden.

Wtem Pomiechówka, który na śmierć zapomniał o tym czerwonym samochodzie, sprawcy i przyczynie całego nieszczęścia, a zapomniał, bo za dużo może i wczoraj wypił ze Staśkiem Cygankiem, usłyszał jakieś kroki tuż obok swojej głowy na ziemi zalegającej, i ktoś powiedział całkiem miło:

- Dzień dobry. A co pan tak na tej ziemi leży, panie Horacy?

- Leże, bo mi królika żeśta spłoszyły - rzekł Pomiechówka ze stosownym wyrzutem.

- My spłoszyłyśmy? - zapytał głos zdziwiony, Horacy oderwał wzrok od królika i zobaczył całkiem ładną łydkę damską, opaloną jak się patrzy, podniósł zatem wzrok nieco wyżej, by i kolanko obejrzeć, a może i co więcej, jak szczęście będzie,

skoro tak sposobnie leży i mu się trafia, ale zamiast kolanka oczy zobaczył, bo osoba się pochyliła i też zajrzała pod schodek, a potem i druga osoba się pojawiła i pacnęła koło niego, i tak wszyscy troje leżeli jak te głupie koło schodka i gapili się na Erazma. A on na nich.

Gdy Horacy Jan na chwilę oderwał wzrok od niecnego Erazma i popatrzył na osobę jedną, potem drugą, nagle rozpoznał osobę jedną i wiedział, że przyszła jego ostatnia godzina szczęścia na tym padole:

Basia Brzozowska wróciła.

- Łojezu! To pani Basia! Mi się widzi, że to pani - rzekł Pomiechówka z bystrością, co ją miał wrodzoną.

- Ano ja, panie Horacy, wróciłam. Cieszy się pan?

Horacy nie odpowiedział, tylko jęknął rozgłośnie.

- Pan tak nie jęczy, panie Pomiechówka. Zaraz coś zaradzimy.

Pomiechówka pomyślał, że ta Brzozowska sobie pójdzie i szlus, ale ona o Erazmie tylko gadała.

- Haniu, idź, dziecko, z drugiej strony i postrasż tego królika, a my tu z panem Pomiechówką złapać go spróbujemy.

Basia wzięła jęk za wynik wypadku z królikiem, a Horacy Jan o króliku swoim najpiękniejszociowym mało już myślał, tylko o losie swoim własnym, co straszny mu się szykował.

Nie minęły i dwie minuty, gdy bechtany kijaszkiem przez Hanię Erazm zdecydował się dać nogę i zmienić miejsce pobytu na jakieś przyjaźniej-sze i bezkijaszkowe.

Uciekając od kijka Hani, wypuścił się prosto na zaczajoną Basię, a ta, nie czekając, aż się przedrze na drugą stronę, rzuciła na niego swoją bluzę, nie żałując jej wcale a wcale.

Potem zaś sama rzuciła się do przodu, przygniatając bluzę i zamotanego w nią Erazma do ziemi i krzycząc z triumfem:

- Mam go!

W ten to sposób krótkie wakacje Erazma skończyli się szybko nad wyraz, ale też i skończyli się złote lata Horacego Jana Pomiechówki.

Gdy lat temu dwa z okładem Basia opuściła Brzezinę Reinholda, Horacy został w domu sam, tak jak zawsze, tylko lepiej ciut było, bo jednak dom wysprzątnany, woda bieżąca i kanalizacja jak się patrzy, a przecież nie działała ona już w roku czterdziestym szóstym, gdy Pomiechówkowie dotarli tutaj spod Stanisławowa, co teraz się po barbarzyńsku nazywa.

Iwano-Frankowsk.

Też mi nazwa!

No, więc kanalizacja już w czterdziestym szóstym nie działała, ale im to nie wadziło, bo jej wcale zwyczajni nie byli.

Ot, tatulo sławojkę w ogrodzie wyrzuchtowali i dobrze było. Dopiero te nowe, jak dom im prze-dał, to ta kanalizacja ruszyli, co się im dobrze nie skończyło, bo wszystko wybuchło.

Mroczek, hydraulik, opowiadał Horacemu w gospodzie, że takiego smroda to on nigdy nie czuł, jak u nich po ta wybuchu.

Ale potem te nowe wszystko zrobili jak potrza i na dwór nie chodzili.

No, gdzie by tam takie państwo zagraniczne za potrzebo na dwór chodziło.

Tak więc, gdy wyjechali i dom jemu osławili w opiekę, to Horacy Jan żył w takim luksusie jak nigdy przedtem, bo i woda w domu była, i ta łazienka, no i wszystko.

Ale rok minął i powoli a to się psuło, a to, i Horacy Jan niby pieniądze dostawał na naprawa i renta swoja tyż, ale jakoś mu to potrzebne nie było, bo zwyczajny nie był, więc i nie naprawiał. A pieniądze się na co insze zdały. W karty lubieł pograć. Ot, co.

A potem zima ta mroźna byli, to wszystko szlag trafili, no, bo wengla nie zamówił dużo, bo po co jemu dużo, toć mu jedna izba grzana starczała.

Tak że jak tera ta Basia zobaczył, to ciem mu się przed oczami pokazał...

I nie bez powodu...

Ostatnia godzina przyszła na Horacego Jana Pomiechówkę.

LIPIEC 2008

Warszawa Wieczór

Kompletna szarlotka, pomyślał Jan, wysiadając z taksówki. Drzwiczki samochodu zamknął ostrożnie i cichutko, niczym złodziej. Tak jakby się bał, że ktoś usłyszy. Że Basia usłyszy. Szarlotka.

To ona była winna, wiedział to na pewno.

Z mózgu po tym ouzo na Korfu też zrobiła mi się szarlotka, żebym tu podjeżdżał, gdzie mnie wyraźnie nie chcą, i skradał się jak jaki Romeo, myślał. A wszystko dlatego, że zjadłem kawałek ciasta, niezbyt zresztą dobrego.

I proszę, odegrało rolę proustowskiej magdalenki! W jednej chwili wróciły wspomnienia.

Moja specjalizacja to role komiczne. Jak się sprawdza!

Błąznię.

Podał taksjarszowi numer wyższy o pięć i teraz szedł zakrzewioną, zadrzewioną, pachnącą uliczką Starej Ochoty i szukał dwudziestki dwójki.

Tu.

Śliczna przedwojenna willa. To tu mieszka Basia, ciekawe, skąd Basia do takiej willi, pomyślał. To była przecież biedna dziewczyna. I Rysio Minc mówił, że za mąż nie wyszła. Sam nie wiedział, czy ta wiadomość budzi w nim nadzieję, czy go przeraża.

No zaiste miał mieszane uczucia, gdy usłyszał, że o ile Rysio wie, to Basia jest samotna. Tak jak i on...

I oto stoję na ulicy, gdzie jest jej dom, zupełnie jak ten młody, jak mu było? Freddy.

Dwóch nazwisk. Z *My Fair Lady*.

Może powinienem jeszcze zatańczyć, oplatając się wokół tej tu latarni.

To by zrobiło wrażenie, tylko może trochę deszczu brakuje, by było romantyczniej. Miks *Deszczowej Piosenki* z *My Fair Lady*.

I ja w tym. Żałosne. Żałosne...

Nie zatańczył jednak, a tylko oparł się o latarnię i popatrzył na domek.

Gadał i kpił z siebie w myślach, chcąc *stłumić* wzruszenie, że on tu tak, jak jaki dzieciak, jak niedorostek.

Coś go pchało, by tu przyjechać. Złe albo po prostu - szarlotka...

Wejść czy nie wejść - oto jest pytanie.

Nagle zauważył postać na balkonie i nie do wiary - to była Basia.

Poznał ją natychmiast.

Stała oparta o balustradę balkonu i zapalała papie rosa. Dawniej nie paliła.

Miała zmarszczki i trochę przytyła, ale to dawna Basia, równie piękna. Młoda.

Poczuł, że coś tam w nim drgnęło. A niech to, motylki. Motylki w brzuchu. Jasny gwint. Co mi?

Chyba zdziecinniałem. Złowieszczę dreszcze młodości. Zaraz dostanę trądziku. Błąkam się pod jej domem i...

Jan cofnął się o krok, by Basia go nie dojrzała, i usiadł na murku ogrodzenia domu położonego trochę na uboczu. Gęsta zwisająca wistaria znakomicie nadawała się do ukrycia w jej cieniu.

Scena balkonowa. Zaiste.

Potrzebował usiąść naprawdę.

Było mu jakoś tak, no, dziwnie.

Podniósł wzrok i obserwował Basię. Parę razy się zaciągnęła i weszła z powrotem do pokoju.

Zmieniła się. Nie, nie zmieniła. Trochę, no trochę. Ale nadal jest piękna. I na niego działa...

Motylki. Boże święty...

LIPIEC 2008

Warszawa Ranek

Kuba popatrzył na Wojtkę z wyrzutem i powiedział:

- Jak mogłeś tego nie pokumać?

Wojtek popatrzył na Kubę ze zdziwieniem i zapytał:

- Czego?

Siedzieli na dachu domu Kuby i jedli zimną już pizzę. Zimną, bo była to już trzecia pizza, którą jedli, i zdążyła im wystygnąć.

Z radia stojącego nieopodal nich dobiegał ostatni przebój Coldplaya *Viva la Vida*.

Dawali.

Wojtek już by zatańczył, czuł ten rytm całym sobą. Popatrzył na panoramę miasta i wyciągnął nogi. Bolały go mięśnie, ale i tak było cudownie. Cały dzień ćwiczył.

I naprawdę wychodziło super, cały ten układ, jemu i Sylwii.

Fajna choreografia i trzeba przyznać, że Kettler był naprawdę pomocny. Cały czas niedaleko, obserwował, włączał się w miarę potrzeby, szukał rozwiązań i je podsuwał.

Rewelacyjny gościu. No, klasa.

Wojtek jak zwykle wyszedł z sali prób ledwo żywy i wydawało mu się, że gdy wejdzie do domu, padnie martwym bykiem na wyrko i już nic go z niego nie podniesie.

Ale chłopaki zamówili pizzę i dał się skusić. Na dachu było znakomicie, wyluzował.

Miał wrażenie, że świat należy do niego. Nie tylko na tym dachu, ale w ogóle wszystko jest jego.

Układ taneczny, który przygotowywali z Sylwią, był *naprawdę* spoko i była szansa, naprawdę była. Po raz pierwszy w życiu mógł wyrwać się z tej miałkości i bylejakości i pożeglować w świat.

Gdyby tak udało mu się wygrać European Show Dance!!!

To były te drzwi, których szukał i znaleźć nie mógł.

Tanec był dla niego ucieczką, pasją i radością.

Ale na co dzień tyrał jak głupi w firmce ojca i tylko śmigał po rusztowaniach, tynkował, ocieplał i szlifował.

Nienawidził tego. Ale nie mógł nawalić. Ojciec i tak ledwo wiązał koniec z końcem i on, i brat byli w firmie niezbędni. Najemni pracownicy odchodzili, nie przychodzili, chorowali i partaczyli, tylko oni dwaj byli rękojmią, że ojciec się wyrobi i zarobi.

A teraz miał szansę tańczyć, zawsze o tym marzył, ale bez szkoły baletowej czy chociażby muzycznej wejście do tego zawodu było w zasadzie niemożliwe.

Z jednym wyjątkiem - gdyby tak wygrał European, nie byłoby chyba problemu, by tańczyć zawodowo.

Zmienić hobby, pasję w zawód.

Miałby swoje pięć minut, każdy by chciał.

Taki na przykład Taniec z Gwiazdami albo może nawet udałoby się dostać do jakiejś rewii. Do Romy, Buffo czy nawet gdzieś w świecie.

Otworzyłyby się drzwi.

Tak.

Coś by się na pewno pojawiło, jakieś propozycje.

Rozmarzył się, ale Kuba nie dawał mu spokoju, zresztą nie tylko Kuba, bo i Platonek wspomógł Kubę uwagą - jak to u niego - niezwykle głęboką.

Niczym studnia artezyjska:

- Miłość jest jak Temida. Ma opaskę na oczach i źle się ubiera.

Wojtek zakrztusił się pizzą, o czym oni tu... , A Kuba jeszcze dodał:

- Widziałeś jej spódnicę? A po chwili dorzucił:

- A widziałeś jej, te... - podrapał się po głowie -teeee...
czólenka?

Wojtek wzruszył ramionami, nie odezwał się, co będzie z głupkami gadał, i sięgnął po kolejny kawałek pizzy.

Chwilę się zawahał, bo zjadł już tych kawałków, no zjadł.

Ale co mu tam. Tańcząc, spalił dziś pewne z pięć takich ciast, więc zje jeszcze. A potem się ewentualnie sturla z tego dachu, bo o zejściu nie będzie mowy.

Nadgryzł tym razem quatro formaggi i rzucił chłopakom na odczepnego:

- Dajcie spokój. Lubię i tyle. Platon otworzył szeroko oczy:

- Taką po samą szyję zapiętą? Jesteś pewien, że nie chciałbyś sprawdzić...

Wojtek puknął się w głowę i wrzucił do ust zacny kawałek pizzy.

A pomyślał sobie: Chyba chciałbym... Ale cicho sza, bo te głupki mnie zagryzą...

Niestety pukanie w głowę nie poskutkowało, bo Kuba przyczepił się niczym napalony rottweiler i nie popuszczał ani na sekundę:

- Dobra, dobra. Pierwszy raz w życiu przyrowadzasz laskę na chatę tylko z powodu lubienia?

Nie mogą oni o czym innym? - myślał już lekko wkurzony Wojtek, któremu pizza *zaczynała* stawać kością w gardle.

Ale Kuba, kochany Kuba, nie odpuszczał, od słów przeszedł do czynów i powiedział:

- Wybacz, koleś.

Przyłożył palec do dolnej powieki i wykonał gest, który znany jest jako - jedzie mi tu czołg...

Może i tak, pomyślał Wojtek, ale co im do tego..;

LIPIEC 2008

Warszawa

Mimetyzm. W biologii mimetyzm to upodabnianie się niektórych gatunków zwierząt kształtem, barwą, deseniem na ciele do otaczającego środowiska lub do innych organizmów.

Hania miała to przepracowane. Mimetyzm, mi-mikra to dla niej pestka.

Po wczorajszej akcji z Vivką postanowiła po raz kolejny zmienić upierzenie.

Won, kostiumiki!

Weszła do pierwszego sklepu, który wyglądał na niezły, i zaczęła mierzyć wszystko, co jej wpadło w oko.

Po godzinie wyszła tak odstawiona, że przejeżdżający właśnie rowerzysta nieomal wpadł na latarnię.

Hania jak chce, to potrafi...

LIPIEC 1992

Brzezina Reinholda

Basia usiadła na stopniu domu i wsadziła dłonie we włosy. Opuściła głowę i zapadła się w sobie. Siły ją kompletnie opuściły.

Hania miała w rączkach skrawek spódniczki i patrzyła na nią tymi swoimi poważnymi, ciemnymi oczami, przestraszona czy tylko zalękniona, a Horacy Jan stał o dwa kroki od niej, przestępował z nogi na nogę i przemawiał do niej głosem uwlekającym, który nie tak dawno nie odniósł skutku w stosunku do Erazma, więc nadzieję miał słabą, że uda mu się Basię zagadać, ale co mu szkodziło popróbować...

- Pani się nie wścika - mówił - ja to zara wszystko zrobi...

Basia nawet się nie wściekała, tylko jej się chciało wyc.

Jej śliczna Brzezina, o której śniła i marzyła tam, w tej ohydnej cywilizacji zwanej zachodnią, z bliska wyglądała niczym siedziba jakichś troglodytów, nieomal gorzej niż wówczas, gdy weszła do niej po raz pierwszy.

W środku cuchnęło tak, że nie można było nawet pięć minut wytrzymać. Wszędzie istne watahy, klucze czy chmary much, muszek i innych insektów.

Nic w tym dziwnego, bo Horacy Jan chyba od dwóch lat, odkąd drzwi się za nimi zamknęły, nie sprzątał ani też nie wynosił śmieci. Podłoga pokry-

ta była kilkucentymetrową warstwą, czekającą, jak się zdawało, na archeologa.

Czegóż tam nie było? Puszki, słoiki, gazety.

No dziadka i babci tylko brakowało. Ale może jak podłubią, pogrzebią, to znajdą? Jakąś babcię.

Bo dziadek jakby był.

Spojrzała wrogo na Horacego Jana, a ten skulił się i coś dalej mówił. Basia nie słuchała.

Myślała ciut sarkastycznie, ale co jej pozostało: za same butelki po wódce można by chyba remont zrobić.

Tak się tu spieszyła, tak się cieszyła na ten powrót, i co? Jak zwykle - klops.

Dobrego sobie stróża wybraliśmy, nie ma co... Holger już pewnie poleciał do tego Meksyku, miał lecieć dziś o 15. Basia zerknęła na zegarek. Już jest w powietrzu.

Zdecydowanie odmówiła przeprowadzki do Meksyku. Nie miała duszy trampa, a miała małą córeczkę, i to powiedziała Holgerowi. Dziecko powinno mieć stabilne życie i dom, a nie to tu, to tam.

A tam - to miała być jakaś chata w Meksyku, o której Holger zawsze marzył - nad morzem i pod palmą.

Z dziurą w dachu z widokiem na gwiazdy - tak ją reklamował. Ach. Romantycznie!

Tu też mam zapewne dziurę, i to niejedną, pomyślała Basia, przyglądając się obrzępolonemu dachowi obórki...

A wtedy mu kategorycznie powiedziała:

- Żadnej chaty z dziurą. Może nie jestem romantyczna, może i nie mam ducha przygody, ale, Holger, nie wchodzę w to.

Ale gdyby nawet ta chata, położona nieopodal Vera Cruz, nie miała dziury, to Baśka też nie miałaby ochoty wędrować tak daleko w świat...

Nie tylko ze względu na Hanię.

Ona sama, Basia, chciała spokoju i stabilizacji, ale nie takiej jak w sytej Holandii, tylko takiej sielsko-wiejsko-brzezinowej.

Tego chciała.

Nie miała ochoty włączyć się po świecie.

Pokochała Brzezinę, zostawiła tu serce i chciała tu wrócić. Może troszkę jak dziecko.

Liczyła też po cichutku, że Holger jednak zmieni *zdanie i* wróci tu, do niej. Przecież było im dobrze.

Na razie umówili się, że ona tu, a on tam. Pobędą troszkę osobno i zastanowią się, co dalej. Ale...

Brzezina Reinholda wyglądała, jakby w niej stacjonował batalion ruskiego wojska. Ruina.

Tylko siedź i płacz. Co też zrobiła.

Usiadła na stopniu domu i zapłakała.

Horacy coś tam mówił, Hania nie wiedziała, co ze sobą zrobić, a Basia roniła łzy. Jedna za drugą skapywały jej na kolana, choć ledwo to było widać zza smętnie zwisających włosów.

Oracja Horacego przybierała coraz dramatyczniejsze tony, ale Basia nie słyszała ani słowa. Płakała. I płakała.

Horacy też zaczął nosem pociągać, a Hania przestraszona, co też się wyrabia, dotknęła jej ramienia i mocno potrząsnęła:

- Mamusiu! Nie płacz. Proszę! Nie płacz. Wszystko będzie dobrze! Nie płacz, bo... ja... ja... jestem głodna... - zakończyła dość rozpaczliwie.

I to w jednej chwili postawiło Baśkę do pionu.

Hania zawsze wiedziała, co należy powiedzieć.

Ona tu histeryzuje, a dziecko głodne.

Podniosła się ze stopnia. Nie ma to tamto. Trzeba się wziąć do roboty. Wytarła nos i weszła do kuchni, niegdyś pięknie wyszorowanej, z dużym kaflowym piecem i ogromniastym stołem. A teraz...

Za nią wszedł Horacy Jan Pomiechówka, a Hania trzymała ją mocno za rękę.

Omiotła wzrokiem wszechogarniający bajzel i zadumała się przez moment, mówiąc na głos:

- Od czego tu zacząć?

- Może od początku, mamó... - podsunęła Hania. Basia popatrzyła na nią, pogłaskała po główce:

- Masz rację! Zaczynamy od początku. Panie Horacy, pan przyniesie łopatę i wiadro. Nie, może taczki pan przyprowadzi i pan się bierze. Za sprzątanie podłogi. Ja zrobię coś do jedzenia i... zaczynamy od początku...

LIPIEC 2008

Warszawa

Salsa.

Wszyscy tańczyli w parach, tylko Sylwia ćwiczyła sama.

Wojtka gdzieś wciął czy diabli go wzięli i nie przyszedł na trening. Od początku Sylwia jakoś nie miała do niego przekonania. Choć trzeba przyznać obiektywnie, że był masakrycznie dobry, ale teraz się jej sprawdziło.

Intuicja to musiała być ani chybi, Sylwia czytała duży artykuł w „Heju”, a może to była „Ina”, na temat intuicji i wiedziała o niej wszystko. Zawsze czuła, że ją ma. No i się sprawdziło. Wojtek nawalał na całej linii.

No, głupek kompletny.

Sylwia trenowała uparcie, ale aż się dusiła ze złości.

Jak drań nie będzie przychodził, to Kettler ją wywali, razem z nim. Brzydko.

Vivka zrobiła jakiś drobny ruch w stronę Sylwii, lekko ją popchnęła, niby przypadkiem. Mała, złośliwa... bitch, myśli Sylwia i nie dając już rady rozpierającej ją wściekłości, potrąciła Vivkę z całej furii.

Nawet była rada, że mogła odreagować. Mogłaby za to oberwać, ale na szczęście Kettler patrzył w inną stronę.

Krzyczał co prawda:

- Stop, jeszcze raz!

Ale to nie dotyczyło tego drobnego nieporozumienia towarzyskiego, choć Sylwii przez moment zrobiło się gorąco.

W sumie to miała już dość, Wojtek zwyczajnie dał plamę, ona nie miała ani życia towarzyskiego, ani życia w ogóle. Wraciała do domu skonana i jedno, co mogła, to leżeć na kanapie i naciskać pilota. Z drugiej strony ten Wojtek naprawdę był dobry i chyba mieli szansę załapać się na European Show.

Gdyby nie to, rzuciłaby w diabły cały ten taniec i te koszmarne treningi.

Kettler to kat prawdziwy, a i w pracy ostatnio dawali jej w kość.

Rzuciłaby, ale trochę jej było szkoda.

Mieli szansę, widziała to wyraźnie.

Tylko ten przeklęty Wojtek, gdzie on się do diabła podziewał?

LIPIEC 2008

Warszawa

Hania siedziała przy swoim biurku w redakcji i pisała artykuł. O pietruszce. Tak w slangu redakcyjnym nazywają się nic nieznaczące małe notki, wypełniające dziury na szpaltach.

Ot, taka wata, ale czasem trzeba.

Za oknem lato w pełni, ale to miejskie lato jakoś jej specjalnie nie kręciło. Może i dobrze, bo inaczej ciężko byłoby tu wysiedzieć.

W Brzezynie lato było latem. Tu hałas, kurz i zapachy nie najciekawsze.

Zza otwartego okna słycać było odgłosy remontu. Ekpa tynkowała budynek, pokrzykując do siebie i Hania zupełnie nie mogła się skupić.

W tym zgiełku to żadna robota.

Może i ten tekścik nie najambitniejszy, ale jednak potrzebowała minimum spokoju. Zdenerwowana kolejnym krzykiem, hukiem i stukiem, podniosła się z za biurka zawalonego papierzyskami i podeszła do okna, by je zamknąć i odciąć się od przeraźliwych odgłosów dobiegających z budowy, która zaiste złośliwie usadowiła się pod oknami budynku, w którym znajdowała się redakcja i ludzie jednak pracowali.

Głowę.

Sięgnęła ręką po uchwyt i nagle zamarła w bezruchu.

Na rusztowaniu za oknem, dosyć daleko, zobaczyła Wojtka.

Gapiała się na niego przez dłuższą chwilę, ale tak, to był bez wątpienia Wojtek, który już od kilku dni nie pokazywał się na sali ćwiczeń i nie dawał znaku życia.

Sylwia się wściekała, a Hania, Hania była zmartwiona.

Polubiła tego upartego chłopaka. Bardzo.

Nawet już się do niego do domu wybierała, a tu, proszę, niespodzianka: był i jakby żywy bardzo, bo właśnie na wpół goły wciągał jakieś wiadro na sznurze.

Niewiele myśląc, Hania wychyliła się z okna i zawołała najgłośniejszym głosem, jak tylko mogła:

- Wojtek? Wojtek!

Już jej się wydawało, że to na nic, bo on dalej wciągał to wiadro i ani spojrzał w jej stronę, ale nagle jakby ją usłyszał. Patrzył i pomachał ręką. Co to niby ma być? To machanie? Idź sobie czy za chwilę?

Hania zamilkła i stała przy oknie, gapiąc się i nie wiedząc, o co chodzi, a Wojtek postawiwszy wiadro na rusztowaniu, powoli, niechętnie podszedł do niej.

Hania już wiedziała, że coś nie gra. Coś w jego postawie, opuszczonych ramionach mówiło jej o tym.

Zacząła rozmowę trochę bezosobowo. Nie chciała go spłoszyć.

- Co ty tu robisz?! No, bo rzeczywiście. Co on tu robił? Wojtek chwilę milczał, a potem rzekł dość opryskliwie:

- Pracuję!

No tak. Wiedziała. Coś jest nie tak. Nie dlatego że pracuje, choć akurat praca na budowie to nie to, co by dla niego... Boże, o czym ona myśli. I Gani sama siebie, bo jak nie ona, kto jej dołoży za głupie myśli i układanie obcemu w końcu chłopakowi życia.

Postanowiła spokojnie z nim porozmawiać, udała więc, że nie usłyszała gburowatego tonu Wojtka, i spokojnie dalej podpytywała:

- A próby?! - w głosie Hani pobrzmiwała jednak lekka pretensja.

W końcu baba z niej, a nie Talleyrand. Wojtek z kolei udał głuchego i powtórzył gamoniowato:

- Co?!

- Zrezygnowałeś?!

Pokręcił głową, ale jakoś tak, że nie wiadomo, co to oznaczało: tak czy nie. A potem wydusił przez zaciśnięte usta:

- Ojciec złamał nogę! Ja muszę...

W tym momencie na horyzoncie pojawił się jego starszy brat, Tomek, i krzyknął na całe gardło:

- Wojtek!

- Wojtek!

- Nie drzyj się! Idę! - odkrzyknął Wojtek i rzeczywiście odwrócił się od Hani, opuścił tak jakoś smętnie ramiona i odszedł przygarbiony, jakby mu ktoś na plecy złożył zbyt wielki ciężar. I idąc już w kierunku brata, rzucił tylko do Hanki pożegnalne:

- Na razie!

Hania zamknęła okno i usiadła przy biurku, ale nie miała jakoś głowy do pracy. Szkoda. Szkoda chłopaka. Było jej strasznie smutno. Nie każdy miał lekko. Tak jak ona. Teraz.

KWIECIEŃ 1993

Brzezina Reinholda

To co posiejem? - zapytał Horacy Jan Pomiechówka.

I było to dobre pytanie. Do Brzeziny Reinholda przynależało siedem hektarów pola, które za czasów Pomiechówki leżały odłogiem. Teraz należało coś z nimi zrobić. Holger ciągle siedział w Meksyku, skąd przysyłał Basi listy, a najczęściej zaledwie tylko pocztówki, które prawie zawsze przedstawiały pustynię i kaktusy, co mogło być nawet i symbolem, bo jakoś do Brzeziny nie było mu śpieszno.

Pisał o pięknych plenerach, o tym, że wprowadził więcej koloru do swoich obrazów i pewne elementy sztuki prymitywnej Meksyku są mu inspiracją.

Ogólnie z listów promieniowało zadowolenie i widać praca szła mu tam dobrze, bo o niej głównie się rozpisywał na tych pocztówkach, a jej, Basi, najwyraźniej wcale mu nie brakowało, bo jakoś nie znajdowała w tych kartkach zakłęb, by przyjechała, czy chociażby zapewnień o uczuciu.

Robił wrażenie skupionego na malarstwie i no cóż... na sobie...

Ale to jakoś Basi nie dziwiło.

Zwyczajna była, że oni tak...

Basia czuła, że powoli odchodzą od siebie.

Czy naprawdę się kochali? Może to było tylko lubienie? Pożądanie?

Nigdy przecież z Holgerem nie była tak zakręcona, jak kiedyś dawno temu z Janem.

Ale kładła to na karb swojego, w końcu dość poważnego wieku. Kobieta trzydziestoletnia to co innego niż dwudziestoletnia.

I miała już za sobą ten nie najlepszy przecież związek z Jasiem.

A może nie.

Może to był dobry związek, tylko źle się skończył?

Ale czy dobry związek może się źle skończyć?

Wolała jednak pierwszą wersję.

Przecież się kochali. Naprawdę.

Była już kobietą, dojrzałą kobietą, a nie młodą dziewczyną, i może teraz do tych spraw inaczej podchodzi.

Spokojniej.

Tak rozumowała.

Ale z dala od Holgera, nie czuła zbyt jego braku i choć za nim tęskniła, nie było to uczucie, które nie pozwalałoby jej żyć.

Nie płakała po nocach, jak ongiś płakała za Jankiem.

Czuła, że to już jest przeszłość i jeśli Holger nagle, pod wpływem impulsu czy może nawet i uczucia, nie przyjedzie, to miną się jak dwa okręty, co przez moment płyną obok siebie, a potem znikają we mgle.

Dlatego też pytanie Horacego było dobrym pytaniem.

Należało żyć w Brzezynie tak, by nie liczyć na wsparcie Holgera, które było też i coraz rzadsze.

Basia nigdy nie prosiła go o pieniądze, dał jej w końcu Brzezinę, ale raz na jakiś czas dostawała od niego na konto jakąś kwotę, czasem większą, a czasem mniejszą, ale po prawdzie nigdy niewystarczającą, bo życie w Polsce zrobiło się okropnie drogie, a ona miała mnóstwo wydatków związanych z Brzezina.

Wszystko musiała zaczynać od początku. Nie miała prawie nic, ani garnków, które Horacy popalił, ani talerzy, bo je prawie do cna wybił, ani nawet całego dachu nad głową, co już było wcześniejszą zasługą Horacego, jako że przez lata całe nigdy go w porę nie remontował, a Basia z Holge-rem tylko tu przezimowali, latając, co się dało, i czekając z remontem do wiosny. A potem wyjechali...

Na dach potrzeba było tyle pieniędzy, że nawet marzyć nie mogła o takiej sumie. Bo też dach w Brzezynie składał się z ogromnych połaci dachówek, papy i eternitu. Każdy dodawał, co miał pod ręką, byle przez moment nie ciekło. Ta przeokropna łatanina przeraziła do cna miejscowego dekarza Nyczkę, który zaśpiewał za remont taką sumkę, że Basia chyba nigdy w życiu w rękę nawet nie miała takich pieniędzy.

Co było robić, dach to podstawa, więc wystąpiła o pożyczkę w miejscowym banku rolniczym i liczyła na to, że jej tę pożyczkę przyznają.

Pod zastaw tych hektarów. Co je miała.

Teraz należało się tymi hektarami zająć. Co niedzielę oglądała w telewizji programy rolnicze,

czytała całą dostępną w Fojutowie prasę i dyskutowała z Kowalikami z leśniczówki, radząc się, co ma zrobić.

Wiedziała już zatem, co chce, miała to przepracowane, więc odpowiedziała Horacemu natychmiast:

- Horasiu. Porzeczkę, posadzimy porzeczkę! Pomiechówka pokiwał głową z aprobatą. Wydawało się, że to dobry pomysł...

LIPIEC 2008

Warszawa Wieczór

Hania obserwowała próbę jako jedyna z licznego niegdyś grona dziennikarzy. Obserwowała też swojego ojca, ale nie on był teraz dla niej najważniejszy.

W rękach trzymała małą cyfrową kamerę, którą nagrywała sceny taneczne.

Na szyi zaś miała aparat fotograficzny i od czasu do czasu, kiedy była przerwa w tańcu, robiła zdjęcia, ale jak tylko rozpoczynał się taniec, Hania natychmiast podejmowała filmowanie.

Tak sobie wymyśliła, że sfilmuje wszystko. Dla Wojtka.

Tancerze w skupieniu słuchali uwag Kettlera, a Hania zbliżała się z tym swoim sprzętem i nagrywała.

- Wiem, że to, co powiem, słyszeliście wiele razy, ale powtórzę jeszcze raz: tango to pasja, tango to pożądanie, to emocje, które każą ci przegrywać, aby za chwilę wygrać, to szaleństwo zazdrości, w którym musisz się zatracić, żeby w finale zyskać. Zyskać doskonałość. Musicie uważać na każdy krok. To jest jak stąpanie po kruchym lodzie. Jeden fałszywy ruch i jesteście zgubieni, nie ma was. Wszystko, co do tej pory zrobiliście, obraca się w proch. Każdy krok stawia na szali całą waszą dotychczasową karierę. Tango jest grą. Sylwia, podejdź tu...

Kettler przytulił Sylwię w charakterystyczny, milongowy sposób. Bandoneón zaczął grać.

Rozpoczęli tango rodem ze spelun Buenos Aires i był w tym taki ładunek ekspresji, że Hania na dobry moment tylko się przyglądała i zapomniała o filmowaniu.

Gdy skończyli, na sali zapadła pełna szacunku cisza, którą przerwał Kettler:

- Teraz wy spróbujcie.

I wszyscy zaczęli tańczyć tango. Tylko Hania nie tańczyła.

- Wszyscy tańczą, ja nie tańcz... - nuciła sobie piosenkę Grzesiuka, bardzo lubianą przez Horacego.

Ja filmuję... dodała w myśli, ja filmuję...

W przerwie treningu Hania stała na korytarzu przy parapecie i w spokoju przeglądała zdjęcia w aparacie.

Te poruszone czy gorsze od razu usuwała.

Zdjęć było mnóstwo, Hania starała się robić dosłownie klatkę po klatce, by Wojtek miał uchwycone w obiektywie wszystkie figury.

Ciekawe, czy mu się to spodoba, pomyślała. Czy kupi ode mnie ten pomysł? Bo Hania miała pewien pomysł.

Drzwi obok niej otworzyły się raptownie i Sylwia wypadła z sali prób, naląła sobie wody i połknęła jakieś tabletki; nagle opakowanie wymknęło jej się z rąk i potoczyło w stronę Hani.

Hania podniosła je i odruchowo zerknęła, co to jest.

Sylwia natychmiast podbiegła, prawie wyrwała jej buteleczkę i rzuciła w przelocie:

- Witaminy na wzmocnienie.

A przecież Hania wcale nie pytała.

- Jak zdjęcia? Fajnie wyszły? - Sylwia nagle zainteresowała się jej robótką, choć zwykle ignorowała Hanię.

Ale Hania zdążyła już przeczytać napis na pudełeczku. Odwraca moją uwagę... pomyślała.

Przyglądała się Sylwii przez moment, a potem odpowiedziała:

- Tak. Niezłe są! Powinny się spodobać w redakcji.

- Nie wiesz, co się dzieje z Wojtkiem? Hania wzruszyła ramionami.

- Jak się zjawi, to mi przypomnij, żebym go zabiła.

Hania nic nie odpowiedziała, bo co miała powiedzieć.

Sylwia zresztą nawet nie czekała na jej odpowiedź, tylko pobiegła z powrotem na salę, by dalej ćwiczyć...

Strasznie była dożarta, by wygrać.

Jak oni wszyscy, pomyślała Hania, prawdziwy wyścig szczurów...

Witaminy...

No ciekawe. Ale... cóż. Nie mój cyrk, nie moje małpy.....

LIPIEC 2008

Warszawa

Hania ustawiła na stoliku laptop, podłączyła kamerkę i puściła film, który nakręciła rano.

Był wieczór i tylko ich dwoje na sali prób.

Cisza aż dźwięczała w tym gwarnym za dnia miejscu, a wiatr hulał jak na poloninie.

Było jakoś tak smutno i zimno. Jak zwykle w miejscu, które tętni życiem za dnia i zamiera nocą...

Mogli tutaj w spokoju obejrzeć to, co Hania nakręciła rano. Być może Wojtek odzyska tę, jak już mu się zdawało, straconą szansę.

Odkąd ojciec kilka dni temu złamał nogę, tyrał dzień w dzień na budowie i nie było żadnej opcji, by mógł się stamtąd wyrwać i poćwiczyć za dnia.

Czasem, gdy leżał w nocy w łóżku, myślał, że wszystko już przepadło, i nie mógł zasnąć ze zmartwienia, smutku i wściekłości...

Może skoczyć z tego dachu? - i takie pomysły mu do łba przychodziły.

Wiedział, że to bzdura, histeria, niemniej czuł, że jest w pułapce, z której nie ma wyjścia.

Zawsze był w pułapce, ale nie miał wtedy szansy i nie wiedział, że to pułapka.

Gdy pojawiła się możliwość wyjścia, a potem tak nagle zniknęła, to ograniczenie możliwości życiowych doskwierało mu bardziej niż kiedykolwiek.

Tak to działa, myślał w nocy. Żyjesz normalnie i nie wiesz, że to droga bez wyjścia. Jesteś jak szczur. W labiryncie.

Myślisz, że to chwilowe, i grzęzniesz w tym coraz bardziej.

A gdy się pojawia szansa, chwytasz ją i nagle bach, walisz głową w mur.

Już wiesz. Nadzieja na coś innego to tylko złudzenie.

I jak teraz żyć, wiedząc, że nie ma ratunku? Nie ma ucieczki. Już zawsze będę nosił zaprawę i na nic nie mogę liczyć?

Przecież drugi raz ten cud z Kettlerem się nie zdarzy.

No way out? Nie chcę tak!

Nie mógł spać, stracił zarówno apetyt, jak i zainteresowanie wszystkim wokół.

Nic go nie kręciło. Po robocie siedział w swoim pokoju, pił browar i grał w jakieś durne gry, bo tylko to go uspokajało i pozwalało zabić czas.

I myślał.

A rano skoro świt, niewyspany i zdenerwowany, biegł na budowę i tynkował ten cholerny blok z widokiem na Hanię, i czasem tylko patrzył w jej otwarte okno i było mu jeszcze gorzej, bo widział niekiedy jej pochyloną płową łepetynę i wiedział, że wraz z szansą na inne życie traci też i ją.

I wtedy chciał rzucić cholerną murarską packę, za pomocą której szlifował ścianę, i samemu też się rzucić, tylko w dół.

Miał czarne myśli i był tak nieszczęśliwy, jak nigdy wcześniej.

No, może poza tym rokiem, gdy zabrakło mamy. Gdy umarła.

Wiedział, że nie może ojca zawieść, bo przecież on nigdy ich, jego i Tomka, nie zawiódł.

Pracował ponad siły całe lata, by dać im wszystko, czego potrzebowali.

Dbął o nich tak, że niejedna matka by się zawstydziała.

Dla siebie nie miał nic. Tylko oni i praca. Tak.

Nie mógł zawieść ojca.

I nagle dziś Hania zawołała go przez to okno i prawie na siłę zmusiła, by przyszedł w to miejsce, do którego, jak mu się zdawało, stracił już prawo...

I pokazała, że jest szansa. Wojtek się bał. Bał się uwierzyć...

Niepewny, czy to się uda, czy zaskoczy, najpierw obejrzał filmik, a potem zaczął ćwiczenia. Punkt po punkcie powtarzał to, co cała grupa robi-

ła na sali w ciągu dnia, mozolnie odtwarzał wykonywane przez tańczących ewolucje.

- Zatrzymaj. Możesz trochę cofnąć?

Hania cofnęła nagranie, a Wojtek zagląda jej przez ramię:

- O, tutaj. Od tego miejsca.

Obejrzeni razem kolejny kawałek i Wojtek znów próbował, ale mu nie wyszło. To są układy dla par i trochę bez sensu jest ćwiczenie ich samemu. Nie szło mu.

Może ten pomysł jednak nie był taki znakomity, pomyślała Hania z niepokojem. Ta sama myśl przyszła do głowy Wojtkowi. W tym samym momencie. Ale oboje milczeli.

Wojtek podszedł ponownie do laptopa i teraz już sam przewinął materiał filmowy, popił wody, pomyślał i jeszcze raz puścił film, i przyglądał się temu, co na ekranie.

Był zmęczony po całym dniu pracy i tych uporczywych próbach tu, teraz, na tej sali.

Szybko oddychał i gapił się w ekran, jakby chciał wchłonąć, po prostu wchłonąć to, co tam widział.

Hania ukradkiem patrzyła na jego wyrzeźbione, spocone ciało, ale sama przed sobą udawała, że nie patrzy.

Była skrępowana, ale nie mogła się oprzeć... Hania nigdy dotąd tak na Wojtka nie patrzyła. Ba, nigdy na żadnego faceta tak nie patrzyła. Ale on jest...

No, się jej porobiło.

Wojtek po raz kolejny zatrzymał nagranie.

- Nie dam rady. To jest taniec towarzyski. Potrzebuję partnerki....

I spojrzał na nią wymownie...

- No, ale skąd? Ja? - Hania zaśmiała się na samą myśl. - Wojtek, ja nie umiem tańczyć. Będę ci tylko przeszkadzać.

- Czujesz rytm, dasz radę.

- Nie, to się nie uda.

- Proszę cię, pomóż mi.

Złapał ją za rękę i wyciągnął na parkiet. Hania bała się kompromitacji i stawiała opór, ale w końcu się poddała...

Szła za Wojtkiem jak skazaniec i głośno jęczała:

- Wojtek, nic z tego nie będzie.

- Chociaż spróbuj. Będzie mi łatwiej.

- Ale ja nie umiem.

- No chodź, przecież cię nie zjem.

Byli już na środku sali, stali naprzeciwko siebie.

- Ja naprawdę nie umiem! - broniła się Hania.

- Ja też nie. Nauczymy się razem.

Zaczęli tańczyć. Najpierw wychodziło im niezgrabnie i niezręcznie. Hania nadeptywała mu na stopy albo potykała się o własne, ale trwało to tylko moment.

Nagle załapała i zaczęło im wychodzić, i to wychodzić naprawdę nieźle. Śmiali się razem z popełnianych błędów. Cieszyli się z udanych fragmentów. Byli skupieni na uczeniu się kolejnych elementów.

I tak dzień po dniu Hania i Wojtek ćwiczyli wieczorami w sali prób w szkole tańca.

Hania już nie nosiła swoich skromnych kostiumików, tylko luźne, szalone, szerokie spódnice albo opięte trykoty i czuła się, jakby prowadziła podwójne życie. I trochę tak było, bo w domu czekał na nią Sławek razem ze swoją Trusią i Hanię coraz mniej do nich ciągnęło.

Przez cały dzień wyczekiwała na wieczór, kiedy wtulona w Wojtka tańczyła tango czy walca. Zapamiętywała się w tańcu i starała się, by wychodziło jej jak najlepiej. Rankami na sali prób filmowała, ale i podglądała. Ta zabawa w taniec wciągała ją coraz bardziej, coraz trudniej było wymyślać jej kłamstwa na użytek Sławka.

Opowiadała mu o swoim wielkim życiowym reportażu, do którego w pocie czoła zbierała materiały.

To samo bąbała szefowi.

Na razie Sławek to kupował i Remek, szef, też, bo jako jedyna przyniosła duży wywiad z Kettlerem.

Nikt inny poza nią nie dostał pozwolenia na rozmowę, więc ich redakcja miała wyłączność, i ten sukces pozwalał Hani siedzieć w godzinach pracy na sali i filmować.

Ale czuła się z tym podle, nigdy dotąd nie była kłamczuchą, a teraz ciągle kłamała.

Tylko jest jeden mały myk, gdy Wojtek ją obejmował, całe poczucie winy znikало i Hania wiedziała na pewno, że robiła to, co robić musiała. Po prostu musiała.

Na tej zapyziałej sali tańca wieczorami była szczęśliwa, jak nigdy w życiu.

Coś tworzyła, zapominała o wszystkim, nic nie było ważne.

Tylko taniec.

I Wojtek...

ROK 1995

Brzezina Reinholda

O! Roku ów - zakrzyknęła Basia 1 stycznia 1995 roku. - Jak dobrze, że cię diabli wzięli.

Porzeczeki zimą przymarzły.

Ledwo ledwo coś tam Basia zebrała z krzaczków, ale nawet zebranie tego coś tam spowodowało u niej bóle kręgosłupa, które doskwierały jej całe długie lato.

Zacząła hodować kaczki, ale jej padły.

Kupiła krowę, ale ktoś ją rąbnął.

A o pomorze wśród kur starała się nawet nie pamiętać.

Dom udało się jednak doprowadzić do stanu zadowolającego, dlatego Basia pomyślała o letnikach. Rozpuściła wieści tu i ówdzie. Poprosiła Aśkę o pomoc i wkrótce pojawiły się u niej dwie dziewczuszki: Kika i Ola, których rodzice wyjeżdżali w czasie wakacji do Stanów i potrzebowali spokojnego miejsca, by małe zostawić. Płacili tak sownie, że Basia się nie zastanawiała ani minuty,

tylko od razu zgodziła się dziewczynkami zaopiekować...

A powinna była pomyśleć. Przynajmniej pięć minut.

Wtedy, być może, by w to nie weszła.

Kika z Olą darły ze sobą koty, Hania czuła się pokrzywdzona i była zazdrosna, bo Basia stawiała na rzesach, aby Kika z Olą kotów nie darły, tylko bawiły się jak najlepiej.

Wymyślała gry i zabawy, wycieczki, choć po prawdzie nie było w Brzezynie specjalnie gdzie się wypuszczać.

Tylko przyroda, piękna niezwykle, ale to jakby marna atrakcja dla siedmiolatki, sześciolatki i jedenastolatki.

Poza tym umierała ze strachu, gdy choć na chwilę spuściła dziewczynki z oka.

Bo wiadomo - tu rzeczka, tam jezioro i niech małe coś podkusi.

Utopce tylko czekały - jak mówiła Hania.

Trudno było opiekować się trzema pannami, z których każda ciągnęła w inną stronę, gotować obiad, sprzątać dom, uprawiać warzywa, pielnić porzeczki, bo okazało się, że porzeczki trzeba pielnić, i to wszystko jeszcze z kręgosłupem, który przypominał o sobie niemal przy każdym ruchu.

Trzeba przyznać, że Horacy Jan Pomiechówka stanął na wysokości zadania.

Włączył się w prace gospodarskie.

Tak się złożyło, że niefortunny opiekun sadyby siłą bezwładu został jej rezydentem.

Nie miał się gdzie podziać, domek, w którym mieszkał po sprzedaży Brzeziny, został wynajęty młodemu małżeństwu agronomów i Horacy znalazł się na lodzie.

Basia wiedziała, że gdyby Pomiechówka naprawdę przyłożył się do szukania mieszkania, bez wątpienia znalazłby stosowne lokum, bo przecież wymagań wielkich nie miał ani co do standardu, ani czystości, a zapewne jakieś pieniądze ze sprzedaży Brzeziny jeszcze posiadał.

Horacy jednak w pierwszych dniach po jej powrocie tak gorliwie zajął się naprawianiem szkód, które wyrządził, że wygodniej było, by mieszkał na miejscu przestępstwa.

Był w tym sprzątanu i reperowaniu tak zapamiętały, że aż Basię wzruszał.

Co dnia od rana coś naprawiał, uprawiał i robił, co tylko mógł, by w Brzezynie zapanował ład i porządek w miejsce wszechogarniającego chaosu, który przywitał Basię pierwszego dnia po przyjeździe.

Bez Horacego Basia by sobie pewnie rady nie dała, wiedziała to i doceniała.

Uczył ją, co i jak, z czym i do kogo. Był po prostu nieodzowny.

Zajął wyznaczony mu do zamieszkania skrajny pokój, od północy, tuż przy kuchennych schodach, daleko dość od sypialni i Basi, i Hani, a więc niekrepujący, i tylko tam bałagał.

Basia nigdy nie zaglądała do tego pomieszczenia, wychodząc z nader rozsądnego założenia, że co się będzie denerwować.

W domu mężczyzna był potrzebny, i Horacy a to coś przybił, a to coś naprawił, a czasem też i zepsuł, ale o tym Basia starała się nie myśleć.

Co też się będzie denerwować.

To było obecnie jej ulubione zawołanie. Czasem Horacy pilnował dziewczynek i wtedy modliła się do Boga, robiąc obiad, by nie przysnął i by się jakieś nieszczęście nie zdarzyło z dziećmi powierzonymi jej opiece albo i z Hanią, choć akurat Haneczka była dzieckiem rozważnym i rozsądnym aż zanadto.

Szczęśliwie lato minęło w miarę szybko, być może dlatego że pracy było tak dużo, a i stresów nie brakowało.

Kiedy przyszła jesień i dziewczynki odjechały, Basia odetchnęła z ulgą i obiecała sobie - *never again*.

W domu zapanował spokój, paliło się już w piecach w zimniejsze dni, ale w sumie jesień była ciepła i bezdeszczowa.

Pieniądze zarobione latem skończyły się nadspodziewanie szybko i nie było ich skąd brać...

Na porzeczkach Basia zarobiła niewiele, ot tyle, by ratę kredytu spłacić, ale to też przecież dużo.

Holger już nie podsyłał ani pieniędzy, ani nawet listów. Miejsce Basi zajęła niejaka Juanita Collingsworth i ona teraz była muzą Holger a.

Basia dowiedziała się tego z pocztówki, którą jej przysłał, i była to ostatnia wiadomość od niego...

Początkowo na nią nie odpowiedziała, bo prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziała, co pisać.

Miała mu wysłać błogosławieństwo?

Po tygodniu zebrała się jednak, znalazła elegancko i posłała do dalekiego Meksyku kartę z życzeniami szczęścia.

Nawet nie była smutna.

Jakoś tego się właśnie spodziewała. Na to podświadomie czekała.

Może nie tak wcześnie, ale czy to miało jakieś znaczenie? Kiedy to się zdarzy?

Może i lepiej, że tak szybko kogoś sobie znalazł, a ona straciła złudzenia, że jeszcze będą razem.

Lubiła Holgera, naprawdę lubiła, ale cóż, poszedł sobie.

W swoją stronę.

Nowa kobieta zawładnęła jego sercem i Basia się z tym łatwo pogodziła, taka widać była kolej rzeczy.

Zresztą czy Holger był kiedy jej? Tak naprawdę? On był swój własny. Był obok. Należało znaleźć jakieś zajęcie, a miłość wyrzucić z życia. Po co jej miłość?

Czy w ogóle komuś potrzebna jest miłość? Może dwudziestolatkom.

Basia czuła, że miłość nic dobrego do jej życia nie wniosła. Oczywiście poza Hanią.

Zmusiła ją do życia na fali.

Chciała być tłumaczką, chciała pracować w teatrze, a uprawiała porzeczkę, łątała dach i miała krowę. Choć krótko.

A wszystko z powodu miłości. A nie *świadomych wyborów*.
Tylko Hania była wyborem - pierwszym - tak myślała.
I ten wybór zdeterminował i określił resztę jej życia.
To był wybór. Świadomy.
Zostałam sama. To też wybrałam. Westchnęła.
Ale przecież wtedy nie myślałam, że tak będzie już na zawsze,
że będę robiła to, co życie mi przyniesie.
Radziłam sobie, jak mogłam.
I musiałam grać kartami, które dał los.
Robić lemoniadę z cytryn, które się trafiały.
Ale i tak miałam szczęście.
Z Holgerem. I Brzezina, to przecież było szczęście. Traf.
Mogłam też pojechać do Meksyku.
Tu też wybrałam, więc może nie byłam jednak taka bierna.
Nie robiłam, nie robię tego, co kiedyś chciałam robić.
Wpadłam w wir zwany życiem, ale przecież właśnie tak to
życie się ludziom układa.
Robią, co mogą.
Nie to, co chcą.
A może tak się życie *układa nie ludziom, ale* kobietom?
Częściej chyba jednak kobietom.
Mężczyźni na ogół robią, co chcą, a my...
My jednak jesteśmy mniej egoistyczne. No i mamy młode.
U boku Basi nie było męża ani chociażby mężczyzny, takiego
własnego, bardzo osobistego, ale miała za to dziecko. I
dziadka, bo przecież Horacy

był kimś w rodzaju przyszywanego dziadka, no i psa, co się przybłąkał pewnego jesiennego wieczoru, brudny i zapchlony.

Dały mu z Hanią na imię Cyncero, by pasował do rzymskich klimatów, no bo skoro jest Horacy, to pies może być Cyncero, rozumowały pokrętnie.

Jednak na co dzień nazywały tego małego diabełka w skrócie Cycek, co pasowało do niego nieomal idealnie, bo był okropnym obżartuchem i już zaledwie po miesiącu bytności w ich domu przypominał dobrze wypchaną kiełbasę, tak z sukcesem wyłudzał jedzenie od nich wszystkich razem i z osobna...

Miała Basia też kota. O imieniu, jakżeby inaczej, Seneka, którego przytargał któregoś dnia Horacy Jan, gdy poprzedniego dnia wieczorem zobaczyli tłąstą mysz wdrapującą się dość flegmatycznie po schodach na pięterko.

I był też w Brzezynie kos ze złamaną nóżką, na kuracji.

Kos był jednak bezimienny, bo nie chciały go z Hanią zbytnio oswajać i się do niego przywiązywać. Miał wyleczyć nogę i polecieć w świat.

Kos kokietował je jednak, jak mógł.

Mały spryciarz, gdy przeskakiwał z tą swoją nóżką w gipsie po kratownicy, którą mu Horacy w klatce zamontował, gapił się na nie spod oka zaczepnie i zdawał się mówić: patrzcie jaki jestem, szelma - ale miły.

Popisywał się. Widać to było wyraźnie.....

Basia pomyślała: Jak to samiec...

Nie należy też zapominać o pięćdziesięciu sześciu królikach, w tym dziesięciu angorach, bo do tej imponującej liczby wzrosła Pomiechówkowa hodowla.

Całe to towarzystwo potrzebowało zjeść i jeszcze wiele innych rzeczy, bardziej wyszukanych, i o to musiała się troszczyć Basia.

Poszła więc zgodnie ze swoim wcześniejszym pomysłem do miejscowej szkoły i bez żadnych problemów, a z wielką radością Jan Deręgowski, dyrektor, zatrudnił ją w charakterze nauczycielki języka francuskiego, choć trzeba powiedzieć, że nieco marudził.

Angielski byłby stosowniejszym językiem dla miejscowej młodzieży i trudno było jej się z nim nie zgodzić, ale że nie miał anglisty, podobnie jak i inne szkoły w okolicy, a tylko samych rusycystów w wieku dość podeszłym, więc Baśkę przyjął, i to na pełny etat.

Pensja nauczycielska to żadne luksusy, ale Basi starczało.

Każdego ranka jeździła do pracy na rowerze, a Hania pomykała za nią na swoim, mniejszym nieco, rowerku.

A za nimi biegł na swoich krótkich nóżkach targający dość tłusty tyłeczek Cycek, wyężdżając wszystkie siły, aby nie zostać zanadto w tyle...

W szkole nie było obiadów, Basia gotowała zatem wieczorami zupy i rozliczne jednogarnkówki na kilka dni; wszystko toczyło się dość sprawnie.

Życie w Brzezynie było przyjemne, mimo braku większych pieniędzy i rozrywek. Rekompensował

to zapach ziemi po deszczu, świeżo skoszonego siana, tarniny czy czeremchy. Woda pod mostkiem płynęła zwawo i Basia była szczęśliwa, gdy mogła postać na tym mostku i na nią popatrzeć, choć przez kwadrans, raz na jakiś czas.

Wcale nie musiała codziennie, ale świadomość, że może zawsze, gdy tylko zechce, starczała jej do szczęścia.

Później, już w listopadzie, pojawiła się możliwość zarabiania na tłumaczeniach w urzędzie gminy i to też źle nie było - parę groszy co miesiąc wpadło, a i stosunki w urzędzie, mimo że wiele się już zmieniło, mieć warto.

Terenówka, jej prześliczna terenóweczka, pojechała do komisju w Fojutowie, gdzie szybko znalazła nowego właściciela w postaci znanego w całej okolicy gangstera, Karkoszki Jacka.

Dwa lata później rozwali się on tą właśnie toyotką o czwartej nad ranem, gdy będzie wracał wraz z grupą pijanych koleżków z dyskoteki w Narożnikach, ale tego już Basia się nie dowie, mało kto będzie jednak tej grupki żałował, bo dobrze oni zdają wcześniej dopiec miejscowym.

Basia zaś za pieniądze ze sprzedaży samochodu spłaciła kolejną ratę pożyczki na remont dachu i kupiła sobie kilkuletnią corcę, uznając, że to samochód stosowniejszy do jej obecnej pozycji społecznej - wieśniaczki i nauczycielki.

Już nie była damą z kieliszkiem wina, na kanapie w Delfzijl, tylko kobietą pracującą, i to ciężko.

Ale nie marudziła.

Było jej tu lepiej.

Nad łągami takie piękne mgły się unosiły wieczorami i wrony krakały, siedząc na topolach nieopodal domu. Szła jesień. Czuło się ją w powietrzu, ziemia zmieniła zapach, a i bocian sublokator, mieszkający całe lato, nieomal jak Szymon Słupnik, na specjalnym słupie udekorowanym oponą od tira, a nazwany przez Basię z tej to przyczyny właśnie Szymonem, przeniósł się do stajni, gdzie już od kilku lat każdą zimę spędzał. Basia wiedziała, jak go karmić, i przyjaźń z nim tylko odnowiła, skoro się u niej zameldował na zimowe leże, włącząc po prostu któregoś jesiennego wieczora do kuchni.

Czemu nie odlatywał tam, gdzie inne bociany odlatywały, najmędrsi ludzie we wsi nie wiedzieli.

Może mu tu dobrze było?

Zostawał już od lat i Horacy sadybę wraz z nim, w charakterze lokatora, Basi sprzedał.

A gdy zima była bardzo mroźna, Horacy prowadził bociana do sieni, gdzie pełnił rolę stróża i zdarzało mu się nieraz mysz złapać, a i na pokoje czasem wchodził, gdy kto drzwi nie domknął.

Basia żyła z dnia na dzień.

Czasy holenderskie wspominała z sentymentem, ale bez żalu. To zdecydowanie nie było jej miejsce na ziemi.

Tu było jej dobrze. Tu było jej lepiej.

Czasem wspominała Janka. I z biegiem lat zapominała to, co złe, i była nawet szczęśliwa, że przeżyła prawdziwą miłość, bo przecież kochała i coś w tym jej życiu, w końcu dość banalnym czy małym

twórczym, w porównaniu z życiem Jana i Holgera, było niezwykłego.

Ta pierwsza miłość.

I dziecko.

I bocian.

I może Horacy nawet.

Nie wspominając o prawie pięćdziesięciu królikach...

Hania była już dużą i mądrą dziewczynką, grzeczną i poukładaną. I była osią życia Basi.

Niekiedy o zmierzchu Basia siadała z książką na oszklonej werandzie, bo i taka weranda, obok zwykłej odkrytej, była w Brzezynie - przestronna, przytulna, jakby wyjęta z dramatu Czechowa, piła tam herbatę i patrzyła na swój ogród, w który włożyła pracę, serce i więcej pieniędzy, niż mogła sobie na to pozwolić.

Projekt ogrodu zdradzał, że ona miastowa, bo nie był to typowy wiejski ogród, ale dziki ogród angielski, pełen zwisających pędów glicynii, krzewiastych hortensji i ostróżek błękitnych jak Morze Adriatyckie.

Basia Brzozowska czuła się spokojna i szczęśliwa.

Ale nie wyobrażała sobie, by całe jej życie miało być tylko tym... tylko takie.

Tak, Brzezina też była jej świadomym wyborem.

Pierwszym była Hania, a to, co zdarzyło się później, było jego naturalną konsekwencją.

Czy nic ją już w życiu nie czeka, myślała, pijąc herbatę na tej swojej drewnianej werandzie - czy

będzie tylko prowincjonalną nauczycielką języka francuskiego i matką?

Jan poszedł za swoją pasją, podobnie Holger, a ona?

Ona co?

Tylko zbudowała gniazdo. Rozejrzała się wokół - czy to mało? Czy to dosyć? Czy to wystarczy?

LIPIEC 2008

Warszawa

Hania się zmieniła. Już nie było tej grzecznej i uległej Hani. Co wieczór tańczyła w ramionach Wojtka salsę, tango i walca i zastanawiała się, później, w nocy, przytulona do boku Sławka, czy nie brnie w ślepią uliczkę.

Wojtek, no Wojtek, czy to był facet dla niej?

Tak chciała spokoju, bezpieczeństwa i stabilizacji finansowej... To wszystko dał jej Sławek.

Doszli do mety. Ślub miał się odbyć za miesiąc, już za miesiąc, a ona co?

Zakochała się?

W tancerzu, co biega po rusztowaniach? Nie. : Nie zakochałam się, myślała Hania, zauroczyłam się. A to... minie.

Zresztą co komu szkodzi, że sobie trochę potańczę. Nikomu nie szkodzi. Przecież nie zdradzam Sławka.

I nie zdradzę.

LIPIEC 2008

Warszawa

Był lipcowy gorący dzień, południe. Mury zdawały się grzać niby piecyki, duchota nie pozwalała oddychać, ulice opustoszały i zniknęli z nich wszyscy, którzy nie musieli być w mieście i żadne sprawy ich nie gnały. Hanka biegła tymi rozgrzаныmi prawie do białości tunelami ulic do szkoły tańca, na salę prób, gdzie też było gorąco i duszno, ale wszyscy zapamiętali ćwiczyli, bo czasu coraz mniej, a wszyscy, wszyscy chcieli wygrać i zwyciężyć. Odnieść sukces.

Hania była porządnie spóźniona, nie mogła się wcześniej wyrwać z redakcji, kolegium przeciągnęło się ponad wszelką miarę, i teraz zgrzana i zgoniona przemykała kompletnie opustoszałym korytarzem, ponieważ kto żyw ćwiczył, ćwiczył, ćwiczył, gdy nagle usłyszała rozmowę dobiegającą z pokoju, koło którego przechodziła, i poznała głos ojca.

Nie mogła się powstrzymać i przystanęła. Stała jak wryta na tym korytarzu, chwilę pomyślała, jak by tu posłuchać.

Wiedziała, że to złe, ale cóż, w końcu po to tu przyszła. By poznać swego ojca.

Wyciągnęła więc z torebki swoje notatki, zaczęła je przeglądać tuż koło drzwi jego gabinetu, jednocześnie strzygąc uszami i nasłuchując, co też on mówił.

Ojciec rozmawiał bardzo głośno, więc świetnie go słyszała. I rozumiała:

- Yes, John, I've almost finished all conception of the movement. Yes. No, you're not right. Well, trust me, I know what I want. You'll be happy. Great. Bye. Yes? No, in October. We'll be ready, but two weeks later. What can I do? It's life, John.

A potem ojciec wyszedł z gabinetu, wciąż rozmawiając przez telefon.

Rzucił krótkie spojrzenie na Hanię nader uważnie przeglądającą notatnik.

Hania podniosła oczy i lekko się do niego uśmiechnęła, ale on nie odpowiedział jej uśmiechem.

Patrzył gdzieś ponad nią i poszedł dalej.

Ten jej uśmiech zawisł niejako w powietrzu.

Może nie zauważył, pocieszała się w myślach, mógł nie zauważyć...

Ojciec zniknął za drzwiami sali prób, a Hanię złe kusiło.

Rozejrzała się, czy na korytarzu nikogo nie ma, i szybko, niewiele myśląc, podjęła decyzję. Weszła do gabinetu zajmowanego przez ojca.

Ostrożnie rozejrzała się wokół. Zerknęła na korytarz. Nikogo...

Nie zamknęła za sobą drzwi, tak było bezpieczniej.

Czuła się jak złodziej, ale podeszła do biurka i popatrzyła, co na nim leży.

Widziała gruby i zniszczony notes, dotknęła kalendarza, wzięła do ręki okulary.

Nagle jej uwagę zaczęło przykuwać zdjęcie.

Na zdjęciu była ona, Hania.

Skąd ojciec wziął to zdjęcie. Skąd?!

I trzymał na biurku. ;

Serce Hani biło mocno, wzięła fotografię do ręki i przypomniała sobie, że mama miała taką samą.

Na swoim biurku.

Akurat to zdjęcie, to samo.

Trzymała je tuż koło zdjęcia przedstawiającego dom w Brzezynie Reinholda.

Nagle Hania usłyszała jakiś hałas i wpadła w panikę, chciała szybko odłożyć fotografię na biurko, ale jej się to nie udało. Do gabinetu wpadła Monika, i mimo że się spieszyła, nadal była piękna, wyniosła i spokojna. Monika w jakiś sposób cały czas intrygowała i fascynowała Hanię, i wydawało się, że i Monika też się Hanią interesowała i ją wyróżniała.

A tu taka wpadka.

Hania jak zaczarowana stała tuż przy biurku ze zdjęciem w ręku.

Monika nie powiedziała nic, i Hani było tym bardziej głupio, bo tylko na nią patrzyła i podniosła pytająco jedną brew.

Cisza, która zapadła, była tak deprymująca[^] że Hania jak małe dziecko usiłowała ją zagadać. I ciszę, i Monikę.

Zaczynała się tłumaczyć, czerwona i zmieszana:

- Przepraszam, ja tylko chciałam, to znaczy byłam ciekawa, przepraszam, ale weszłam tu z głupoty. Przepraszam.

Monika nie skomentowała, ani się nie odezwała. Tylko bez słowa patrzyła na zdjęcie i na Hanię. A potem powiedziała:

- To córka Jana. Bardzo za nią tęskni. Czeka na nią.

Hania nic nie odpowiada, odwróciła się i po prostu uciekła.

STYCZEŃ 2002

Brzezina Reinholda

Basia w filcowych walonkach odgarniała śnieg z podjazdu. Normalnie robił to Horacy, ale zaniemógł. -Coś ostatnio słabował i bardzo martwił Baškę

tym, że taki jest słaby i ciągle zmęczony. W październiku skończył siedemdziesiąt lat,

więc nie był to wiek tak podeszły, by zrobił się z niego inwalida, ale coś mu dokuczało i zjadało od środka.

Kaszlał przeokropnie i ten kaszel wcale mu nie mijał.

Do lekarza pójść za nic nie chciał, twierdząc, że choroby się pojawiają, gdy tylko łapiduch przyjdzie...

Był dorosły i nie można go było zmusić.

Basia przejęła jego obowiązki, donosiła mu rosołki do pokoju, kazała się wyleżeć w ciepłe, ale w czasie tej domowej kuracji, ni z tego, ni z owego, chapsnęła go jeszcze paskudniejsza grypa i było coraz gorzej.

Nie było jej lekko.

Ale nic to - mawiała. - Nie takim opresjom stawiałam czoła. Byle gorzej nie było...

Odwaliała śnieg z systematycznością maszyny - raz na lewą, raz na prawą, raz na lewą, raz na prawą.

Aż dotarła do bramy i wtedy odetchnęła z ulgą.

- No! - Popatrzyła, jak wygląda droga i westchnęła zadowolona: - Z głowy! Ślicznie! Teraz będę mogła wyjechać!

Zamierzała podstępnie przywieźć do Brzeziny lekarza i postawić Horacego przed faktem dokonanym.

Zobaczymy, czy stary uparciuch lekarza wyrzuci..., pomyślała dość jadowicie, ciesząc się, że mu, drabowi jednemu, Pomiechówce upartemu jak kozioł z Podola, wytnie kawał, a przy okazji najpewniej pomoże i pozbędzie się tego kamienia, co zalegał jej w sercu, gdy patrzyła na kaszlącego Horacego.

Jednak lekarz nie przyjechał razem z nią, jak to sobie Basia idealistycznie wyobrażała.

Już był w rozjazdach, miał wszystkie numerki *zarezerwowane* i dziś, jak powiedziała recepcjonistka, nikogo już nie da rady wcisnąć.

Pojawił się w Brzezynie następnego dnia, koło dziesiątej rano, akurat gdy Basia znów odwaliała śnieg, którego w nocy napadało nawet i więcej niż dnia poprzedniego.

Medyk szedł ostrożnie przez podwórko, śnieżnobiałe niczym tajga w styczniu, i trochę wyglądał jak kosmita, w tym swoim nienagannym garniturze, przykrytym tylko z lekka fartuchem i w półbutach, jakie się zwykło nosić w mieście.

Basia grzecznie go przywitała i do izby poprosiła, a potem, gdy już umył ręce, niewiele się wokół rozglądając, zamyślony i nierozmowny, z duszą na ramieniu poprowadziła go do Pomiechówkowej nyży.

Jak tam ten elegancik wejdzie, nie wiedziała.

Ale cóż, przecież on w niejednym miejscu równie zapuszczonym musiał udzielać pomocy, taki fach, więc nie powinien doznać szoku.

A nie jej to pokój, zatem i wstydzic się nie miała czego, myślała, prowadząc go po pochyłych schodach na górę.

Zapukała do drzwi i powiedziała głosem miłym i nader słodkim:

- Horacy, przyjechał lekarz!

A potem szybko otworzyła drzwi, wpuszczając niby byka na arenę doktora, a sama przezornie została w korytarzu, unikając, jak sądziła, gorszej awantury.

Nie minęła jednak sekunda, gdy usłyszała jakiś huk, potem krzyk lekarza i ryk Horacego:

- Nie potraza mi tu żadnego dochtora!!! Medyk znalazł się nagle koło niej, stojącej w osłupieniu tuż przy drzwiach.

Popatrzył na nią i nieomal oniemiały ze zdziwienia wskazał na poczerniały z brudu kalosz leżący na progu i wystękał, jękając się nieco:

- Rzucił... we mnie... butem...

Tak się skończyła próba leczenia Horacego Jana Pomiechówki, który, pijąc tylko syrop z malin i jedząc miód, zalegał w łóżku dobre trzy tygodnie, zanim zaczął schodzić do kuchni, blady, wyczerpany, ledwo oddech łapiący...

Basia, jak tylko doszedł nieco do siebie, wkurzona na niego nad wyraz, rozmowę z nim przeprowadziła poważną, egoizm mu wytykając, że antybiotyku odmówił, by się w betach wylegiwać tygodniami, a ona przez to wszystko musiała sama i sił już u niej nie było.

Teraz ona wykończona kompletnie pójdzie chorować, a on niech jej zupki gotuje.

Pomiechówka nasrożył się niby dzik jaki, ale o dziwo, ta jawna prowokacja przebiła się do rusińskiej, bo Pomiechówka mienił się zawsze Rusinem, głowy Pomiechówkowej i zgodził się on iść do przychodni i poddać potrzebnym badaniom...

Zdiagnozowano u niego astmę i nie była to dobra wiadomość, ale i nie tak zła, jak się Basia w cichości serca obawiała. Astma to było coś, co trzeba było tylko oswoić.

- No i koniec z wysiłkiem fizycznym - powiedział lekarz, patrząc na Horacego ze strachem.

Rozpoznał w nim od razu rzucającego butami troglodytę i Horacy z ukontentowaniem opowiadał, że bał się go badać i trzął się niczym liść osi-nowy.

- Być to może, panie Pomiechówka - zgodziła się jak nigdy Baśka. - Ja się pana czasem też boję...

Na co Horacy Jan wybuchnął jazgotliwym chichotem:

- Pani, pani Basiu, to się nikogutko nie boisz. A mni to węgle...

Serial z lekarzami nie skończył się jedną Pomiechówkową chorobą.

W kwietniu zachorował Seneka, kocur leniwy i ospały.

Nagle zaczął wymiotować bez ustanku i Basia bała się, że czymś się struł, marcując jak zwykle bez umiaru.

Pojechała z nim do przychodni, tym razem weterynaryjnej.

Przyjmował, jak się okazało, nowy weterynarz przybyły niedawno do Fojutowa na miejsce starego Romańskiego, co na emeryturę już odszedł.

Nazywał się Eustachy Karpowicz i pojawił się w Fojutowie już latem, ale Basia, która nic w zasadzie nie hodowała po niefortunnej utracie krowy, styczności z weterynarzem żadnej nie miała.

Starego Romańskiego znała z widzenia, bo znało się tu wszystkich. Tego widziała po raz pierwszy.

Weszła do gabinetu z Seneką zamkniętym w koszyku, ale szarpiącym się i wydzierającym z taką furją, o jaką nigdy by go nie podejrzewała.

Toż normalnie ten kot tylko spał.

Lekarz popatrzył na pacjenta i rzekł:

- O! Kot...

- Tak, kot... Czy to takie dziwne?

- Tu raczej lecę tylko krowy, konie i świnie. Kota nie miałem ani razu... Tu, jak mniemam, zwierząt domowych się nie leczy. Korzyści z nich żadnych, więc po co?

Pani jest pierwsza...

Basia przyjrzała mu się z niepokojem:

- Ale pan umie kota...

- Umie. Przedtem praktykowałem w Warszawie - weterynarz się uśmiechnął i był to uśmiech zaiste uroczy. - Proszę zatem powiedzieć, co dolega temu pani kotkowi...

LIPIEC 2008

Dach domu Kuby

Hania tańczyła przytulona do Wojtka.

Była noc, niebo pełne gwiazd, z głośnika dobiegało tango, najsłynniejsze tango na świecie: *La Cumparsita*.

Byli tylko oni dwoje i muzyka. Nie potrzebowali słów. Tańczyli...

LATO 2002 ROK

Fojutów

Na tablicy wyników nazwisko Brzozowska Basia znalazła od razu.

Było pierwsze, i to nie dlatego, że na literę b, ale dlatego, że Hania z całego rocznika najlepiej zdała egzamin maturalny.

O egzamin na studia nie musiała się martwić, wygrana olimpiada polonistyczna zapewniała jej już miejsce na wymarzonym dziennikarstwie.

Basia specjalnie przyjechała popatrzeć na listę, ot tak, by się ucieszyć.

Hania o wynikach powiadomiła ją już przez telefon i w zasadzie Basia nie musiała ruszać się z domu, ale gdy usłyszała, że już są, krzyknęła tylko:

- *Czekaj tam na mnie - i wskoczyła do autka.*

Podjechała błyskawicznie, bo tylko trzy kilometry dzieliły Brzezinę od szkoły. Popatrzyła na pyszniące się na pierwszym miejscu nazwisko Brzozowska, przyjęła gratulacje od znajomych i nieznajomych i zabrała Hanię na lody do cukierni w ryneczku.

Basia lubiła lody cytrynowe, bo kwaśne, a Hania waniliowe, i Basia nieraz myślała, że Hania cała taka jest: waniliowa. Delikatna, spokojna i słodka.

Kiedy już z pucharkami pełnymi lodów i dodatków usiadły przy stoliku ustawionym przed budynkiem, Basia zapytała:

- To co dalej, Haniu? Wybierasz się gdzieś na wakacje? Może byś chciała jechać nad morze? Sły-

szałam, że szykuje się wyjazd z twojej klasy, mówiła mi Gośka, że tylko ciebie im brak, a ty odmawiasz... Dam ci pieniądze, Haneczko, nie musisz rezygnować - zadeklarowała od razu, żeby Hania nie zaczęła od argumentu, że nie ma pieniędzy, że ich nie stać.

Ach, ta rozważna Hania. Pieniędzy oczywiście nigdy nie było, to prawda, ale jak trzeba, zawsze się znajdowały w ilości może niewielkiej, ale pozwalającej kupić nowy ciuszek czy książkę.

Teraz Basia chciała wziąć pożyczkę w kasie nauczycielskiej. Hani należały się porządne wakacje.

Ale Hania oblizała loda ze szpatułki i powiedziała spokojnym, ale pewnym tonem:

- Nie chcę nigdzie jechać.

- Ale dlaczego?

- Nie chcę. Jesienią i tak będę musiała opuścić Brzezinę. Na czas jakiś... - dodała, uśmiechając się do mamy pocieszająco. - Ale teraz chcę pobyć z tobą i Horacym, poopalać się na łęgach, popływać w rzece i poczytać to, co mnie ominęło, gdy uczyłam się do matury.

- Haniu, ale to też możesz. Przecież będziesz miała bardzo długie wakacje w tym roku. Starczy czasu i na Brzezinę, i na wyjazd. Powinnaś więcej przebywać z rówieśnikami. Taki wypad dobrze ci zrobi...

- Kiedy ja nie lubię... - odparła Hania. Odsunęła od siebie pusty już pucharek i popatrzyła na ludzi przemierzających się po ryneczku za swoimi

sprawami, na kulejącego kundla kręcącego się koło sklepu spożywczego Matysiaków i na Irkę Wrzorskównę przejeżdżającą właśnie rynek w pełnym pędzie.

- Nie lubisz swoich rówieśników?! Patrycji, Sebastiana i Jarka?! Irki nie lubisz? - zadziwiła się Basia.

- Lubię, ale nie muszę z nimi przebywać. Na wakacjach. Wolę się zaszyć gdzieś w kącie i poczytać. Zrobić porządek w klaserach, papierzyskach, co mi się ich tyle nagromadziło w czasie nauki. Po-buszować po internecie. Wolę to niż wyjazd nad morze, picie piwa i leżenie w piachu. Lubię ich, ale oni mnie nie bawią. Ani ich dowcipy... I wolę leżeć na trawie. W Brzezynie.

- Haniu, ale to... - zawahała się Basia - ale to... jakby... czy ty nie masz jakiegoś chłopaka, którego byś lubiła bardziej niż innych? Ty zawsze...

- Nie. Ze szkoły nie. Ale lubię Sławka.

Basię zamurowało na moment ze zdumienia. Nigdy nie słyszała o żadnym Sławku, a tu Hania... jakby...

Niespecjalnie się kontrolując, wykrzyknęła:

- Kto to Sławek?! Co za Sławek?

- Sławek Staniszewski.

Basia nieomal zemdląca i bez wątpienia zadławiłaby się lodem, gdyby to tylko było możliwe.

- Staniszewski?! Ten dentysta?! Ależ on ma ze trzydziestkę?!

- Tak. Trzydzieści dwa nawet. Ja go lubię. A on mnie.

- Haniu, ale... - Basia doprawdy nie wiedziała, co powiedzieć. Znała Sławka Staniszewskiego i nawet leczyła u niego ząb, ale on i Hania?

Jej śliczna Hania?! Jej mądra Hania?

W życiu by nie pomyślała, że to w ogóle możliwe.

On był taki jakiś mało męski i nawet ona, Basia, by go nie chciała, a Hania...

- Haniu, czy ty z nim?

- Tak, mam, jesteście parą.

- Czemu mi nie powiedziałaś?

- To... dość osobiste, wiesz... I my od niedawna... Miałam ci powiedzieć, ale ta matura, i my ostatnio mało się ze Sławkiem widywaliśmy, i tak czekałam na po maturze... Bałam się, że ci się nie spodoba...

- Słusznie się bałaś. On jest... - Basia nie wiedziała, co mu można zarzucić. - Za stary!

- Za stary? Och, mam, to nieważne. Wiek. My się dobrze rozumiemy.

- I dlatego nie chcesz wyjeżdżać, bo on tu?

- Między innymi. Ale mnie naprawdę nie bawią szczeniackie wygłupy. Ja i Sławek jesteśmy inni, poważniejsi.

Basia była kompletnie wytrącona z równowagi. Ten Sławek jawił się jej jako potworny nudziarz. I, co tu kryć, dupek.

Nie tak sobie wyobrażała chłopaka Hani.

Pierwszego chłopaka.

Coś tu nie grało. I to mocno...

Ale nie powinna się wtrącać. Powinna uszanować jej wybór. Nie będzie się tym denerwować. Przecież żaden łobuz z tego Sławka. Hania mogła trafić gorzej. Na jakiegoś... punka albo co.

Ale nic to, przejdzie jej - pomyślała, wyjedzie, zapomni.

Nie ma co się denerwować.

- Haniu, wyjeżdżasz teraz na studia, więc taki związek chyba nie ma przyszłości. On będzie tu, ty tam. To miły chłopak, zapewne... ale...

- Sławek otwiera praktykę w Warszawie. Już kupił mieszkanie. Dla nas...

Basia miała ochotę pierwszy raz w życiu walnąć Hanię, i to mocno, w głowę. By się obudziła.

Ale tego zrobić nie mogła. Bo gdyby jej zabroniła, byłoby chyba gorzej.

Przełknęła zatem wszystko, co miała ochotę powiedzieć, a nawet wykrzyzczyć, i tylko spytała:

- Czy to nie za wcześnie, by tak się wiązać?

- My ze Sławkiem jesteśmy pewni naszych uczuć. A ja nie chcę, nie lubię być sama, samotna. Tak jak ty... To nie dla mnie... To przemyślana decyzja...

Hania wydeklamowała tę kwestię beztrąsko, liżąc ze smakiem loda, którego podebrała właśnie z Basinej miseczki.

Basia zaś zupełnie straciła apetyt.

Przyglądała się Hani, jakby widziała ją po raz pierwszy, ale Hania wyglądała, jak zwykle, jak mała dziewczynka.

Włosy miała związanej ogonek i przypięte spineczką z motylkiem.

Spódniczkę w kwiatki i swój ulubiony t-shirt w brązowe mazidła.

I wciąż była jeszcze małą dziewczynką, córeczką Basi.

Która spanikowana zaczęła się zastanawiać: Gdzie popełniłam błąd? Musiałam popełnić jakiś błąd. Jaki i kiedy?

LIPIEC 2008

Warszawa

Hania mierzyła suknię ślubną. Wyglądała pięknie. Patrzyła w lustro i w oczy Sławka; widziała, że będzie w niej zjawiskową panną młodą.

Każda dziewczyna marzy o ślubie. Ale ona jakoś się nie cieszyła.

Cały czas myślała o Wojtku. Dziś zaczęła mu wyjaśniać, że nie jest wolna, a on tego nie zrozumiał.

Zrozumiał, że nie jest wolna, bo kocha. Jego.

I wtedy, i wtedy on... powiedział, że on też... ją.

Kocha.

A ona najpierw wpadła w panikę, a potem nagle pojawił się Sławek i musiała pójść z nim.

Tu. Do salonu sukien ślubnych Primavera.

Stała przed lustrem i prawie wcale się nie widziała.

Ta suknia, to wszystko, co ona, na miłość boską, robi!!!
Jak mu powiedzieć? Jak im powiedzieć? Sławek i Wojtek.
Żaden z nich nie zasłużył na to, co jest. A ona? Ona była
pośrodku i... Naprawdę nie wiedziała, co powinna... Zerwać
ślub? Ona? Hania?

Grzeczna Hania, przecież tak się nie robi, wszystko już jest
zapięte na ostatni guzik, zapłacone, goście zaproszeni.

I Sławek...

Spojrzała w zakochane oczy Sławka, on też nie zasłużył,
może ma swoje dziwactwa, ale to dobry chłopak, nie może mu
tego zrobić.

Zawsze był wobec niej taki w porządku.

Miły i kochający.

I mama? Co by mama powiedziała...

Była przecież taka niezadowolona z jej związku ze Sławkiem,
Hania widziała to wyraźnie, mimo że mama jak zwykle
zostawiła jej wolną rękę i się nie wtrącała.

Nie o takim mężu dla mnie marzyła.

I gdy w końcu mama zaakceptowała Sławka, przyzwyczała
się do niego i pogodziła ze ślubem i całą tą sytuacją, ona teraz...

Nie, to niemożliwe...

Ale z drugiej strony Wojtek...

No, zauroczył ją.

No, może to coś więcej. Ale to wszystko tak szybko...

Znają się zaledwie miesiąc... Ja nic o nim nie wiem. Co ja mam zrobić? - Jak mu powiedzieć? I co?

I któremu?

W tym momencie na ulicy rozległ się krzyk i hałas. Hania wyjrzała przez okno i zobaczyła... Wojtka.

Błatego jak śmierć, tuż za szybą, patrzył na nią... Już wiedział...

LIPIEC 2008

Warszawa

Hania siedziała na balkonie i patrzyła. Przed siebie. Nic nie widziała.

Była zdrętwiała, w głowie jej się kręciło jak w młynie.

Uciekła na balkon, by pomyśleć. Ale nie mogła myśleć, tylko tak trwała...

Łzy jej same kapały jedna po drugiej.

Nagle usłyszała, że Sławek coś mówił z wnętrza mieszkania.

Chyba po raz kolejny:

- Haniu, kochanie, musimy jeszcze gości porozsadzać przy stole. Hania obudziła się, jak ze snu:

- Jakich gości?

Nagle sobie przypomniała. Tak, mieli gości rozsadzić, zrobić plan stołów. Wzięła się w garść, wytarła oczy. Kilka głębokich oddechów i wróciła do mieszkania, mówiąc:

- Już idę.

Hania zawsze była grzeczną *dziewczynką*.

LIPIEC 2008

Warszawa

Upał nie ustępował.

Miasto tonęło w smogu, kurzu i hałasie.

Nagrzane chodniki *parzyły stopy*, a buty grzęzły w roztopionym asfalcie.

Wszystkie ptaki pochowały się w gałęziach drzew, szukając tam chłodu, ale w mieście nigdzie poza klimatyzowanymi lokalami nie można było go znaleźć, a tam raczej wstępu nie miały.

W budynku zajmowanym przez redakcję było chłodno i przyjemnie, ale Hania długo tu nie zabawiła, tylko załatwiła to, co musiała, i znów pomknęła na salę, gdzie odbywały się treningi.

Zderzenie z nabrzmiałym od spalin i upału powietrzem było traumatyczne, ale powoli wtapiała się w ten rozpalony nieomal do czerwoności świat, przywykała do niego i już tak bardzo nie odczuwała żaru, który ją otaczał. Gdy w końcu weszła na

salę tańca, stwierdziła, że jest tu jeszcze gorzej niż na zewnątrz.

Jednak tancerze nie zwracali uwagi na panujący zaduch i upał, tylko ćwiczyli w pocie i znoju.

Hani, siedzącej bez zajęcia na bocznej ławce, było szczególnie trudno wytrzymać, bo w ferworze prób zawodnicy zapominali, że gorąco, że upał, pot i hałas. Ale ona odczuwała to każdym porem skóry, która była lepka i klejąca, zupełnie jak nie jej.

Patrzyła na tańczących.

Każda para stanowiła tandem zajęty tylko sobą i dający z siebie wszystko.

Hania zaś tylko siedziała i obserwowała. Wciąż było to dla niej fascynujące.

Już nie filmowała. Nie miała dla kogo.

Wojtek, odkąd się spotkali przy sklepie z sukniami ślubnymi, przestał się po prostu do niej odzywać.

Nie zwracał na nią uwagi. Mijał ją jak powietrze i nawet nie spoglądał w jej stronę. A ona ciągle tu przychodziła. Jakoś inaczej nie mogła.

Teraz też ćwiczył z Sylwią i zdawał się nawet nie wiedzieć, że ona tu jest i patrzy. Patrzyła tylko na niego. Nie wychodziło mu.

Mściła się długa przerwa, nie mogło być inaczej - co chwilę popełniał nowe błędy i nagle z najlepszego tancerza w grupie stał się najgorszym, ale nie poddawał się i ćwiczył uparcie.

Gorzej było z jego partnerką.

Sylwia, zawsze nerwowa i żądna sukcesu, gdy zobaczyła, że z jego powodu ten sukces wymyka jej się z rąk, stała się prawdziwym utrapieniem.

Wyładowywała na Wojtku swój żal, i cóż, miała rację, tak sobie myślał Wojtek w duchu i cierpliwie znosił jej arogancję, przygaduszki i złośliwości.

Byli tandemem, a on nawalił i dalej nawalał na całej linii.

Teraz ustawili się do tańca z kijkami.

Dirty Diana, wielki hit Michaela, wyzwoliła w tancerzach niesamowitą siłę.

Wszyscy tańczyli z taką energią, że wydawało się, jakby wybuchł jakiś pomniejszy wulkan.

Tylko jeden Wojtek nie mógł sobie poradzić.

Nie ma tak łatwo.

Nie ma nic za darmo.

Ponad dziesięć dni przerwy to nie byle co, i na dodatek akurat wtedy, gdy inni próbowali ten kawałek, Hania pracowała i nie nagrywała.

Wojtek nie miał tego przećwiczonego.

Gubił się, a w Sylwii narastała furia...

Kiedy ni stąd, ni zowąd Wojtkowi, nieomal jak dziecku w przedszkolu, upadł kijek, Sylwia jakby tylko na to czekała, rzuciła wściekle swój o ziemię, aż odskoczyła sąsiednia para, by nim nie oberwać, i Sylwia pobiegła do ławki.

Miała dość.

Koniec, myślała, to nie ma sensu. Usiadła na ławce i ściągnęła buty.

Wojtek stał bezradnie przy niej i nie wiedział, co powiedzieć, coś zaczynał, ale ona mu przerywała i krzyczała na cały głos:

- Dlaczego musiałam trafić na ciebie?! Było lepiej, kiedy cię tu nie było!

Wstała z ławki, odwróciła się i wściekła ruszyła do wyjścia. Wydawało się, że ta jej wściekłość unosi ją i aż z niej paruje.

Wojtek, przestraszony i zrezygnowany, ruszył w ślad za nią.

To koniec, myślał. To koniec.

Ale na drodze stanął mu Kettler i spytał szyderczo:

- To wszystko, co potrafisz?

Wojtek czuł, jakby dał mu w twarz, odwrócił się wściekły i zawołał:

- Sylwia! - I gestem sprowokował ją do tańca, do walki.

Sylwia chwilę się wahała, ale wróciła, zadowolona, że może wyładować wściekłość.

Już jej pierwsze pas pokazało, w jakiej była furii, ale furia to zwykle znakomita baza wyjściowa do tańca i tak było tym razem. Wojtek starał się ją poskromić tańcem, uczynić podległą i posłuszną.

Ich taniec był walką, starciem mężczyzny i kobiety.

Samca i samicy. Kobiecości i męskości. Tańczyli wspaniale. Nie, nie tańczyli.

Oni ze sobą walczyli.

Złość przekształciła się w taniec i rezultat powalał.
Dwoje znakomitych tancerzy. W furii.
Byli jak dwa żywioły, jakby wszystko już wymknęło im się spod kontroli umysłu, ale nadal było pełne mocy i precyzji.
Wreszcie Wojtek kończył walkę rodzajem pocałunku, który był raczej triumfalnym gestem zwycięstwa.
Samiec znów odniósł zwycięstwo nad samicą. I odszedł...
Gdy skończyli, na sali zapanowała martwa cisza. Kettler patrzył na Wojtkę. A Wojtek na Kettlera.
Wymienili spojrzenia, niczym walczący rywale, a potem odwrócili się do siebie plecami. Obojętnie.
Jan nie dał po sobie poznać, czy mu się podobało, czy nie. Wyszedł. Zupełnie nagle. Jak to on...
Monika jednak nie ukrywała swoich uczuć. Uśmiechnęła się, może z podziwem, a może z drwiną.
Wydawała się rozumieć, co tu się przed chwilą rozegrało między Sylwią i Wojtkiem, a potem Wojtkiem i Janem.
I całkiem jej się to podobało...
A Hania nie rozumiała nic.
Widziała tylko tańczącego Wojtkę.

Jak zwykle, jak co dnia, bo Hania widziała na tej sali tylko jego i w domu myślała tylko o nim.

I już sama nie wiedziała, co ma zrobić.

Ojciec przestał ją interesować.

Interesował ją tylko i wyłącznie Wojtek.

Hania się zakochała. Grzeczna, spokojna Hania.

Po treningu czekała na Wojtka na ulicy w rozkładającym wszystko na części pierwsze upale, stała i czekała.

Gdy w końcu Wojtek się pojawił, smutny, zrezygnowany, ledwo żywy ze zmęczenia, szła za nim, wreszcie zebrała się na odwagę i podeszła do niego nieśmiało na przystanku autobusowym.

Stała przed nim i powiedziała, tak, po prostu:

- Wojtek, mogę z tobą porozmawiać?

Miała w oczach łzy i serce jej się krajało z bólu i żalu, ale Wojtek zdawał się tego nie widzieć: Odpowiedział wzgardliwie:

- O czym? O twoim narzeczonym?

- Nie chciałam cię zranić.

- Masz za dużą wyobraźnię. Nic się nie stało. Nic nie było.

- Jak to nic nie było? - A było?

- A nie było?

Wojtek chwilę milczał, a potem mówił jak jakiś zmęczony życiem weteran paru wojen:

- Daj mi już spokój, proszę cię. Hania złapała go za rękę:

- Wojtek, ja nie mogę tego tak zostawić.

- Czego?

- No, nas.
- Masz jakieś nowe propozycje? śmieszna jesteś. Kiedy mi zamierzałaś powiedzieć?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? Dziewczyno, wracaj do swojego narzeczonego i daj mi spokój. Idź. Zostaw mnie.
- Chcę tylko porozmawiać. Bardzo źle się z tym wszystkim czuję.
- A ja się czuję dobrze i koniec pieśni. - Wojtek odwrócił się i odszedł...

Hania wołała do jego pleców:

- Wojtek, proszę cię. Przepraszam!!! ,
- Ale on wskoczył do odjeżdżającego właśnie autobusu i zniknął za drzwiami.

Hania zaś stała na przystanku znieruchomiła z bólu.

Czuła zapach gumy, spalin i upału. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Chwiała się na nogach i musiała na chwilę przy-siąść, więc poszła na ławeczkę. Siadła na niej i oparła się głową o wiatę, o rozgrzaną masę plastikową.

Masa parzyła, ale Hania nie miała siły ani iść, ani odsunąć głowy.

Plakat wiszący na wiacie wirował jej w oczach i nie widziała ani liter, ani zdjęcia. Cały się kręcił i falował. Hania zamknęła oczy.

Długą chwilę siedziała, zbierała siły, aż w końcu podniosła się i powłócząc nogami, poszła do domu.

Do mamy...

LATO 2006

Brzezina Reinholda

Od łągów dolatywał ptasi klangor, ale nie tak głośny jak zazwyczaj. Ptakom też nic się nie chciało, gdy upał, duszno i zbierało się na burzę.

Basia przyglądała się ze smutkiem swoim porzeczkom.

W zeszłym roku pojawiła się na nich pleśń. W tym roku dla urozmaicenia wysychały i spadały.

Było po prostu za gorąco.

Żar lał się z nieba, a porzeczki zdawały się tego nie lubić.

Zresztą, co lubiły porzeczki?

Zawsze coś im się przytrafiało. Zupełnie jak dzieciom...

Pod krzaczkami aż czerniło się od jagód przypominających rodzyнки.

Może pozbierać i susz sprzedawać? - pomyślała Basia, ale że nigdy nie słyszała o suszu porzeczkowym, odrzuciła ten pomysł jako nietrafiony.

Oj, gdyby ona wiedziała, że te porzeczki to taka delikatna rzecz, w życiu by się za nie nie brała.

Ale co tam porzeczka.

Na wsi ze wszystkim tak.

Ci, co mieli jabłonki, też bezustannie się z nimi bujali.

I nawet z banalnymi ziemniakami też nie działało się najlepiej. Albo kukurydza...

A pasieki! Pszczoły stanowiły problem niezwykle trudny do opanowania...

Basia przez moment miała pomysł, by pasiekę założyć, ale jak się nasłuchiwała od Mrocza, właściciela pięknej, radującej oczy pasieki, co też te pszczoły wyczyniają, co im się przytrafia, to odpuściła i miód kupowała, jak dawniej, od Mrocza.

Jedynie króliki mnożyły się jak jakie głupie i Pomiechówka ciągle sprzedawał przychówek na targu w Fojutowie, a potem znikał tajemniczo na dwa czy trzy dni.

Co robił, Basia nie wiedziała, ale miała swoje podejrzenia.

Stasiek Cyganek miał położoną na uboczu chatynkę i jak sądziła, obaj tam bankietowali wesoło, póki się pieniądze zarobione na królikach nie skończyły, bo kiedy Horacy wracał, wyglądał jak nieprześcielone od tygodnia łóżko, a i wory miał pod oczami jak jaki torbacznik czy inny zwierz.

Basia zmartwiona stanem porzeczek wróciła do domu, naląła kompotu do szklanki i poszła zobaczyć, jak się czuje Horacy.

Nie było z nim ostatnio dobrze, oddechu mu nie starczało i Basia bezustannie się bała, że głuchy kaszel, który co raz nim szarpał, w końcu go zadusi.

Już idąc po schodach, usłyszała, że znowu przeraźliwie kaszle, ale to ją akurat ucieszyło, zawsze bardziej się bała ciszy w jego pokoju.

Zapukała i zajrzała do wnętrza, wstrzymując przezornie oddech.

Horacy leżał na wyrku i ciężko dyszał.

Popatrzył na nią i powiedział:

- Pani Basiu! Pani nie będzie taka i da mi papierosa...

Baśka była taka i nie dała.

Staczała z nim istne batalie o to, by nie palił.

Sama rzuciła, zresztą po raz kolejny, by go, biedaka, nie denerwować, ale i to poświęcenie niewiele pomogło.

Horacy potrafił spod ziemi wykopać jakieś fajki i palił, aż się kurzyło.

Tylko wtedy gdy, jak teraz, nie mógł się podnieść, Basia była spokojna, że nie pali - on natomiast wściekły jak narkoman bez działki.

- Pani Basza!!! Ja ciebie proszu, nie bądź wydra...

- Horacy! Nie dam!

- Daj!

- Nie mam!

- To kup...

- Nie kupię...

- Baśka, ja i tak*. Nie męcz mni, proszu ja ciebia. Basia posmutniała.

- Horacy, no to się umówmy. Trzy dziennie, Horacy... Ale nie będziesz mnie oszukiwał...

- Dobrze, Baśka, dobrze... Trzy. I ani jidnego wincej...

Basia postawiła kompot na stoliku i rozejrzała się po panującym tu bezhołowiu:

- Dałbyś mi też, Horasiu, tu posprzątać. To dla płuc niezdrowo taki kurz.

- Mowy ni ma, byś mi ta tu się paniusia szarogęsiła. Idź ta po ta papierosa, ja cie proszą...

Basia westchnęła ciężko, zeszła na dół i wsiadła na rower, by pojechać do sklepiku.

I tak kombinowała, by na zimę przenieść Horacego na parter do największego pokoju tuż koło łazienki.

Czuła, że lada moment schody będą dla niego nie do pokonania.

Mieszkali już cztery lata tylko we dwoje, gdyby mu się co, nie daj Bóg, przytrafiło, toby tutaj została sama całkiem jak palec. Hania, ach Hania! Wciąż z tym dentystą!

Ileż to już lat.

I o ślubie wspominają. Nie wygląda na to, by tu kiedykolwiek wróciła, więc Horacy był jej jedyną ostoją, towarzyszem, i cóż, przyjacielem.

Bez niego nie wyobrażała już sobie życia w Brzezynie.

Ale wiadomo.

Przed śmiercią nie uciekniesz, jest częścią życia, a Horacy miał swoje lata.

Dawniej o tej porze roku na wakacje przyjeżdżała Aśka ze swoimi bliźniakami i zawsze było wesoło, ruch i gwar. Wieczorami siedziały na werandzie, chłopaczyska Asine wybiegane w dzień do upadłego spały jak susły, a one gadały, piły wino i były szczęśliwe.

Jednak rok temu Asia nieoczekiwanie pojawiła się w połowie grudnia.

Wyskoczyła ze swojego wypasionego bmw i wpadła do Basinej kuchni jak burza.

Oczy miała *czerwone*, zapuchnięte i sprawiała wrażenie osoby, którą spotkało nieszczęście najgorsze z możliwych. Basia przerażona oderwała się od szatkowania cebuli, wytarła ręce, objęła ją i zastanawiała się, co też się stało. Przychodziły jej do głowy najgorsze wersje, pytać się jednak bała.

Usadziła prawie nieprzytomną i łkającą rozpaczliwe Asię w przepaścistym fotelu ustawionym koło rozgrzanego do białości pieca, zrobiła szybko herbatkę, Asi ulubionego earl greya, zaproponowała też tarninówkę, która się świetnie udała w tym roku, ale Aśka odmówiła alkoholu, mówiąc zachrypniętym od płaczu głosem:

- Nie mogę pić, Basia, muszę zaraz jechać z powrotem. Wpadłam tylko na chwilkę, by się pożegnać.

- Pożegnać się? Na chwilkę? - zdziwiła się Basia.

Do Warszawy było ponad trzysta kilometrów.

Usiadła na krzeselku. Czowała, że powinna raczej siedzieć, gdy zada pytanie, które jej się tłukło już natrętnie w głowie:

- Co się dzieje?! Aśka?! Co się stało?

- Robert splajtował, wdał się w jakieś szemrane interesy i musimy natychmiast wyjeżdżać...

- Natychmiast wyjeżdżać? - powtórzyła zszokowana Baśka, w myślach rozkładając tę wiadomość na czynniki pierwsze.

- Czy to znaczy... Że... jemu...?

- Tak. Grozi mu aresztowanie, a i wspólnicy też mu grożą. Musimy wyjechać. Uciekać. Natych-

miast. W nocy mamy samolot do Frankfurtu, a stamtąd lecimy do Johannesburga. Robert już wyleciał, trzy godziny temu, a ja lecę za nim. Z RPA nie mamy umowy o ekstradycję.

- Aśka! - wychrypiała przerażona Basia. - Czy ty musisz z nim?

- Tak, muszę. Wiesz, dzieci. Ja nie wiem, co ci wspólnicy zrobią, do czego są zdolni. On się w to wdał, by ratować biznes, ale popadł w jeszcze gorsze kłopoty. Muszę jechać za nim. Wiesz, w biedzie i w chorobie... Na dobre i na złe. To idiota. Ale mój idiota...

- Tak. Boże, Asiu! - Baśka nie wiedziała, co mówić. - Jak ja bez ciebie... jak ty tam...

- Nie martw się, ja tam całkiem nieźle wyląduję. Robert jakiś czas temu kupił koło Johannesburga farmę z ładnym domem. Tanio. Damy sobie radę. On się, dzięki Bogu, zabezpieczył przed taką ewentualnością...

- Ale wiesz, kasa to nie wszystko, ja w tej Holandii marnie przędłam...

- Tak. Wiem. Ja też nie wiem, czy tam wytrzymam. Ale to przecież nie na zawsze, Robert powoli tu wszystkie sprawy wyprostuje. Obiecał mi to solennie. Wrócimy, Basiu. A ja mam do ciebie prośbę. Tu masz klucze do naszego domu na Ochocie. Wiesz, znasz, bywałaś. Zaopiekuj się nim w czasie naszej nieobecności. Hania może nawet, gdyby była taka potrzeba, tam zamieszkać, i ty, gdy tylko będziesz w Warszawie, korzystaj z niego. Wietrz go, dbaj o niego i wpadaj, choć na kilka dni co jakiś

czas, będziesz miała rozrywkę, a dom będzie przez chwilę żył. Wiesz, jak go lubię...

- Ale... nie zabiorą go wam?

- Nie mogą. On jest zapisany na Sabinę, moją ciotkę.

- Ale Sabina... ona wciąż...

- Tak, Sabina jest wciąż u zakonnic w Niemoglicach.

Ma alzheimera. Z tego się, Basiu, raczej nie wychodzi... - uśmiechnęła Asia i upiła nieco herbatki. - Ale poza tym jest zdrowa. Nie zabiorą jej domu. Spokojnie, myślę, możemy przetrzymać pewien czas w tej Afryce, póki Robert nie uporządkuje spraw. On nie jest aferzystą. Tylko tak wyszło...

Basia pokiwała głową bez przekonania.

Jakoś to wszystko, co opowiadała Aśka, było egzotyczne, dziwne i nieprzekonujące. Jakoś nie pasowało. Tu nie pasowało. Do tej kuchni i do Brzeziny.

Ale Asia zawsze była wierną przyjaciółką i co by się nie działo, Basia miała zamiar stać za nią murem.

- Dobrze - powiedziała. - Zrobię wszystko, o co prosisz...

- Proszę cię, tylko o jedno, Basiu, opiekuj się domem! Ja ci będę oczywiście podsyłała pieniądze na opłaty i rachunki.

Tu masz pierwsze...

Aśka wyciągnęła z torebki wypchaną kopertę.

- Ale co ty... Po co...

- Bierz. Trudno, byś ze swoich wykladała. To są wcale niemałe sumy, utrzymanie tej naszej landary...

Aśka położyła kopertę na stole i wstała już spokojniejsza i opanowana z fotela.

Przytuliła Basię i znów zaczęła płakać. Popłakały obie dobrą chwilę. W końcu Aśka wytarła oczy, złapała oddech, odsunęła się od Basi i powiedziała:

- Muszę. Muszę jechać. W nocy lecimy. Trzymaj się, Baśka, i do zobaczenia! W lepszych czasach. Me bój się nic. Teraz mamy obie net, gg, kamerki i inne cuda. Łatwiej się ze mną skontaktujesz niż ja z tobą, gdy byłaś w tej całej Holandii... Czekał, mam coś jeszcze! - Aśka sięgnęła po swoją przepastną torbę ze skóry najprawdziwszego krokodyla i wydobyła z niej książkę. - Dobrze, że sobie przypominałam. Kupiłam w Paryżu. Sztuka teatralna. Naprawdę fenomenalna. Byłam na niej w teatrze i przypominałam sobie, że chciałaś kiedyś tłumaczyć. Autorem jest Eric-Emmanuel Schmitt, a tytuł to *Variation enigmatiques*.

Wetknęła zdumionej Basi książkę do ręki, rozejrzała się wokół, jakby się ze wszystkim żegnała, *ucalowała* Baśkę z dubeltówki. I pojechała.

Tak więc po wyjeździe Aśki Basi został tylko Horacy.

Słaby, chory, ledwo dyszący i dymiący, mimo to, jak komin fabryczny.

Ale choć drżała o jego życie, postanowiła zawrzeć z nim umowę i pozwolić mu czasem zakop-

cić. Trudna mu odbierać jedyną przyjemność. No, był przecież dorosły. Bardzo.

Jechała sobie na rowerku i myślała, że kupi mu najcieńsze, najślabsze, najbardziej mentolowe, jakie znajdzie w sklepiku, i tak go troszkę oszuka.

Jechała zatem na swojej ulubionej holenderce, koło łączki, gdzie pasły się koniki Kowalików, potem koło zagajnika, z którego wyszła Zośka Franciszkowa z kobiałką pełną jagód i miło się pozdrowiły, a potem minął ją samochód, w którym pomykał Eustachy Karpowicz. Weterynarz.

Przyhamował znienacka i zapytał:

- Pani Basiu, witam, a właśnie myślałem o pani... Jak się czuje kotek? - zapytał, bo kot Ostatnio znowu chorował.

- Myślał pan? - zdziwiła się Basia. - Kotek znakomicie, przeszło mu jak ręką odjął. To musiała być jakaś mysz niestrawna i się biedak przytruł.

Popatrzyła przez moment w chabrowe oczy weterynarza i dodała:

- Ale wie pan, pies mi coś choruje... Cycek był zdrowy jak tur. Tak ją coś podkusiło, gdy patrzyła w te oczy. No, no, pomyślała, rwę weterynarza... na co mi przyszło.

A Eustachy Karpowicz popatrzył na Basię w ślicznej nowej bluzeczce, co ją kupiła na targu w Fojutowie, i powiedział:

- To niech się pani nie fatyguje, wpadnę do pani, jak będę wracał z miasteczka. Powiedzmy o 15, będzie dobrze?

- Okej - wysapała Basia i pomyślała: jak tu wywołać do popołudnia jakieś objawy chorobowe u Cycka? Toż on taki zdrowy i tusty...

1 SIERPNIA 2008

Warszawa Restauracja In Rome

Fred Buscaglione śpiewał *Buonasera Signońna* tym swoim przepitym barytonem i Hanię, jak zwykle gdy go słyszała, przeszedł dreszcz.

Kochała lata sześćdziesiąte, miała do tej muzyczki słabość. Może przez sentyment do Willema, który słuchał jej na okrągło, a ona wraz z nim.

Cała grupa przygotowująca się do European Show Dance zebrała się w przytulnej włoskiej knajpie, by świętować koniec prób, ale dla większości był to też koniec nadziei.

Wszyscy wiedzieli, że dziś Kettler wybierze parę, która zatańczy w czasie zawodów.

Toteż gdy Kettler wstał od stolika i zastukał widelcem w szklankę, zrobiła się cisza jak makiem zasiał i słychać było tylko Freda szepczącego erotycznie *buonasera... buonasera...* i Kettlera przekrzykującego muzykę:

- Nie jesteśmy tu, dzieciaki, przypadkiem. Podjąłem już decyzję, kto wystartuje.

Jan zawiesił głos i popatrzył na wlepione w siebie oczy.

Byli dobrzy, naprawdę dobrzy, wypruwali z siebie flaki, by wygrać, a teraz on zada cios ich marzeniom.

Wygrać może tylko jedna para. Najlepiej obrócić całą tę imprezę w żart. Tak to się toczy. Zawsze ktoś jeden wygrywa, gdy inni przegrywają.

Odwlekał decydującą chwilę i mówił powoli:

- Jesteśmy tu z dwóch powodów. Po pierwsze, dziękujemy Monice za wybór doskonałego miejsca do zabawy!

Wszyscy bili brawo Monice, ale widać, że myśleli o tym, co zaraz usłyszą z ust Jana, a on kontynuował:

- Bo dzisiaj będziemy się bawić, jeśli ktoś jeszcze nie wie...

Wszyscy się zaśmieli.

A Jan uniósł kieliszek chianti i ciągnął:

- Po drugie, chciałem wam wszystkim podziękować za wspólną pracę. Wiem, że było bardzo ciężko, bo ja nie jestem łatwy. Jesteście świetnymi tancerzami, każdy z was ma talent. Nie mówię tego z grzeczności. Naprawdę tak uważam. Ale w zawodzie tancerza nie ma demokracji i tylko dwoje z was będzie dalej pracowało ze mną i weźmie udział w turnieju.

Co by tu jeszcze powiedzieć, żeby przeciągnąć.

Jednak dzieciaki nie wytrzymały, wszyscy naraz zaczęli gwizdać, klaskać, tupać, chcieli wreszcie usłyszeć werdykt.

- Wiem, że to ważny moment...

Kettler nadal specjalnie przedłużał napięcie. Panowała cisza, którą przerwała Monika:

- No, powiedz wreszcie!- Jan w końcu uległ i uroczyście ogłosił: - W konkursie wystartują Wojtek i Sylwia.

Sylwia poczerwieniała z emocji. Już nie liczyła, że się uda. Podskoczyła tak wysoko w powietrze, że nieomal wywróciła stół.

Wojtek zaś oniemiał z radości. Zatańczy!

Wygrał! Ten etap wygrał!

Obejrzał się odruchowo w kierunku Hani, która siedziała bardziej z tyłu, i chciał do niej podejść i ją uścisnąć, podzielić się radością, w końcu ona była mu tu najbliższa, ale przypomniał sobie, że przecież oni już nie. Widział przez moment jej rozradowaną twarz, a potem odwrócił wzrok i poszedł w kierunku Sylwii, która rzuciła mu się w ramiona i chcąc nie chcąc, ściskali się i całowali.

Inni tancerze na chwilę zaniemówili, musieli przegryźć klęskę i pogodzić się z ich zwycięstwem, ale po kilku minutach wybuchł ogólny entuzjazm.

Wojtek czuł, że wszyscy klepią go po plecach i krzyczą tak, że nie rozumiał nawet co.

Maciej podniósł kieliszek i zawołał: ? - Gratulacje dla Sylwii i Wojtka!

Rozległy się brawa. Atmosfera się poprawiła i choć niejedni czy niejedna mieli w sercu zadrę, to jednak wszyscy robili dobrą minę do złej gry.

Wszyscy pili wino i bawili się na całego.

Hania była szczęśliwa, że Wojtek wygrał. Ale czuła się w tej gromadce wyobcowana. Towarzy-

szyla im wszystkim przez cały długi miesiac, jednak zzyła sie tylko z Wojtkiem. Teraz wymieniała nic nieznaczące uwagi z siedzącą obok Vivką, jadła ossobuco i tylko ukradkiem zerkała na rozradowanego Wojtka.

Wahała się jeszcze w południe, czy tu przyjść, ale że to w zasadzie ostatnia okazja, by zobaczyć Wojtka, więc przysła. Była też ciekawa wyników. Chciała je usłyszeć, zobaczyć reakcje i emocje. A teraz trochę żałowała, zawsze źle się czuła na takich gwarnych imprezach.

Nagle usłyszała melodię.

Tańczyli przy niej. Ona i on... Gigliola Cinquetti śpiewa *Non ho l'eta*.

I Hania czuła na sobie spojrzenie Wojtka. On też sobie przypomniął.

Pamiętała.

Odwróciła się, ale on już na nią nie patrzył.

Tylko ojciec.

Ojciec na nią patrzył. Hania spuściła oczy.

Spojrzenie Kettlera zarejestrowała Monika i nachyliła się do niego, a potem powiedziała scenicznym szeptem:

- Powinieneś ją poprosić do tańca. Jan patrzył na nią zdziwiony:

- Kogo?!

- Hanię, tę dziennikarkę. Jako jedyna była zawsze na zajęciach.

- Monika, jestem profesjonalistą, ja nie tańczę dla zabawy.

- Możesz to zrobić dla mnie?

Monika nie miała zwyczaju prosić go o byle co. A tu proszę, postawiła się z powodu jakiejś dziewczyny.

Co mu w zasadzie szkodzi spełnić prośbę Moniki. Pewnie ma swoje racje. Te kobiety...

Nachylił się, pocałował ją w przegub dłoni i wstał. Podeszedł do Hani:

- Czy mogę prosić do tańca?

Hania poderwała się przestraszona. Ojciec. Kettler. Sam Kettler ją prosi. ŁAŁ!

Po sekundzie wahania pomyślała: Raz kozie śmierć. Czemu nie. Chcę zatańczyć. Nawet i z nim... Z ojcem.

Wstała więc i poszła na parkiet. Jan trzymał ją za rękę.

Większość tancerzy zauważyła, że mistrz poprosił do tańca amatorkę, i wszystkie oczy zwróciły się w ich kierunku.

Hani znów zrobiło się nieswojo i *zaczęła* żałować swojej *prawie straceńczej* odwagi. Chyba złe ją opętało, że się *odważyła zatańczyć* z samym Kettlerem.

Przecież ja *się* zbłąźnię, myślała, i on... Co on sobie pomyśli - sama nie wiedziała, kogo ma na myśli: ojca czy Wojtka. Chyba obu.

Jakoś zależało jej na zdaniu obu.

Maciek, najfajniejszy ze wszystkich chłopaków, wołał:

- Brawo! Hania!

Rozległy się brawa i gwizdy. Hania z Kettlerem zaczęli tańczyć.

Początkowo był to zupełnie zwykły, nieprofesjonalny taniec. W pewnym momencie jednak, gdy Hania już się trochę oswoiła z sytuacją i partnerem, odważyła się na trudniejszą figurę, czym zaskarbiła sobie aplauz tancerzy.

Ośmielona aprobatą, zaczęła wykonywać nowe figury, prowokując nieco ojca do odważniejszego tańca. Był zdziwiony, widziała to w jego oczach, więc coraz bardziej się popisывała, a on z miłą chęcią dołączył do zabawy, szepcząc jej do ucha:

- Chyba się pani pomyliła z wyborem zawodu. Hania uśmiechnęła się i bezczelnie powiedziała, patrząc mu w oczy:

- Po prostu taniec mam we krwi. Wykonuje szaleńczą ewolucję, zmuszając go nieomal do akrobatycznej batali.

Katem oka widziała gapiącą się na nich Sylwię i to ją jeszcze bardziej nakręcało.

Sylwia podniosła opróżnioną szklaneczkę i zrobiła salut, a potem poszła do baru po dolewkę.

Wirując, Hania widziała też przez moment Wojtka, wyraźnie zachwyconego.

- Oj, dobrze, myśli Hania. - Niech widzi, że mi idzie i że mistrz na mnie leci... To mu dobrze zrobi - uśmiechała się więc wabiąco do ojca i dalej wirowała z nim w tańcu.

Cała ta sytuacja zaczynała ją bawić. Odprężyła się. Wypiła może o jeden kieliszek za dużo, ale czuła, że jest jej dobrze.

Nigdy tak nie tańczyła. Publicznie. Bo tańczyła tak tylko z Wojtkiem.

I gdy znów sobie o nim przypomniała, posmutniała.

Ale Kettler wypróbował coraz to nowe figury, więc nie czas na smutki.

Taniec był oczyszczeniem. Zabawą. Ale i wyzwoleniem. Z pętów.

Hania tak to czuła i tańczyła, tańczyła w ramionach ojca. Mogłaby tak tańczyć całą wieczność.

Wszyscy tancerze ich obserwowali. Byli naprawdę pod wrażeniem, a Hania zdawała się być w siódmym niebie.

Pod koniec ostatniego wolniejszego tańca Hania zdecydowała się powiedzieć ojcu prawdę.

Teraz albo nigdy!

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać.

- Jakieś dodatkowe pytania do naszego wywiadu?

- Nie. To prywatna sprawa.

W tym momencie rozległ się jakiś hałas, rumor przy barze. Muzyka ucichła. Wszyscy się odsuwali.

Na parkiecie leżała Sylwia. Zemdląła. Monika podbiegła do niej, nachyliła się, dotknęła przez moment, próbowała ocucić i równocześnie krzyczała do barmana:

- Karetka! Szybko!

LIPIEC 2008

Przed włoską restauracją Wieczór

Pogotowie odjechało na sygnale. Wszyscy stali przed restauracją i patrzyli na znikającą w labiryncie ulic karetkę.

Sylwia mimo fachowej reanimacji załogi nie odzyskała przytomności. Zbici w gromadkę, ze strachem myśleli o tym, co powiedział indagowany przez Monikę lekarz.

- Zapaść. Będzie, co Bóg da....

Z restauracji jako ostatni wyszedł Kettler i przyniósł Monice płaszcz. Okrył jej ramiona.

Monika spojrzała na niego i wyciągnęła rękę. Na dłoni leżało opakowanie po lekarstwie.

- Lekarz znalazł to w jej torebce.

- Co to jest?

- Tabletki, które obniżają łaknienie i dają zastrzyk energii.

Kettler zbladł z wściekłości.

- Gówniarze!

Wokół nich stali wszyscy tancerze i na coś czekali. Nie tylko na wieści o Sylwii.

W końcu jeden z nich się odważył i zapytał o to, co wszyscy chcieli wiedzieć:

- Kto teraz zatańczy?

Monika zmierzyła ich złym wzrokiem. Czasem nie rozumiała tych dzieciaków. Są tacy zażarci w tej swojej walce.

Ktoś im wmówił, że w życiu liczy się tylko sukces i wydaje się, że dla niego byli gotowi na wiele, a nawet zbyt wiele.

- Dajcie spokój.

Myślała: No, młode, zajadłe wilczki.

Ale Kettler przyjął to zupełnie naturalnie.

Rozejrzał się i znów wydał werdykt: - Vivka i Maciej.

Wojtek zbladł tak, jakby miał zaraz zemdleć. Był kompletnie zmrożony tym, co przed chwilą usłyszał, ale wiedział, tak jak inni tancerze, że w takiej sytuacji decyzja Kettlera była racjonalna i logiczna.

Tak to się toczy, niestety...

Spuścił głowę, by inni nie widzieli wyrazu jego twarzy i oczu....

Widział chropowatości na chodniku przed restauracją i trzy pety tuż przy krawężniku.

Myślał: to koniec, to koniec...

Ale masz pecha, chłopie...

Wszyscy zamilkli, porażeni wyrokiem.

Nawet Maciek i Vivka się nie cieszyli. Jakoś głupio. Jakoś gorzko.

Wtem Hania wysunęła się do przodu.

Spojrzała wyzywająco na Kettlera i krzyknęła, ta zawsze grzeczna Hania:

- Tak po prostu?!

- Słucham?

Hania się nakręciła, Wojtek tak ćwiczył, tak walczył i teraz Kettler skreślił go z powodu głupoty Sylwii, a przecież dał z siebie wszystko! Tańczył po

pracy. Po pracy na budowie! Czy ten Kettler... Jak on może...
Dlaczego tak?

Hania zaczęła krzyczeć, po prostu krzyczeć, ta zawsze spokojna Hania:

- Pasja i dusza! Fantastycznie! A pod spodem sopel lodu. Przez chwilę myślałam, że jest inaczej, że jest pan wrażliwym człowiekiem, ale wie pan, kim pan jest? Zimnym, bezdusznym potworem. Pan w ogóle nie ma uczuć!

Kettler zmroził ją wzrokiem. Mała histeryczka. Tak czuł. Tam, w kawiarni, i proszę... Smarkula.

- Nikt cię nie pytał o zdanie.

Ale Hania, skoro zaczęła, brnęła dalej. Już płakała, miała łzy w oczach, ale walczyła. Walczyła o Wojtka.

- Ten chłopak dał z siebie wszystko... Wypruwał sobie żyły, byleby sprostać oczekiwaniom mistrza... I co? Mistrz go użył, a teraz wyrzuca, jak opakowanie po jogurcie. Po co wciskasz im kity o magii tańca? Skoro oni cię w ogóle nie obchodzą!

Hania nabrała powietrza do ciągu dalszego. Wszyscy byli zszokowani - ich guru, a ona tak bez szacunku.

Wojtek podszedł do niej i wziął za ramię, chciał ją odsunąć na bok, ale ona się wyrwała:

Kettler zaś uśmiechnął się ironicznie, jak to on, i wyrzucił z siebie:

- Nie, no to jest jakiś absurd.

- Bo co? Bo powiedziała prawdę o wielkim Janie Kettlerze? Że upadł mu kolejny talerzyk i rozbił się bezpowrotnie?! Przecież uczucia innych się nie liczą wobec wielkiej sztuki! Warto poświęcać dla niej ludzi, prawda?! Tak jak poświęciłeś mnie i moją mamę!

Powiedziała to. Powiedziała.

Hania *zamilkła* przerażona. Patrzyła na Kettlera. A on zamarł. Powoli do niego docierało... Stał i spoglądał na nią tak, jakby zobaczył ducha. Monika objęła go i chwyciła za rękę. Hania chwilę się wahała, ale w końcu nie dała rady i wybuchnęła płaczem, i uciekła. Jak baba.

Wojtek pobiegł za nią. A pozostali nie wiedzieli, gdzie podziąć oczy.

Wojtek pędził za Hanią i dogonił ją dopiero na przystanku autobusowym. Krzyczał:

- Hania!

Ale akurat w tym momencie podjechał autobus i Hanka cała we łzach wskoczyła do niego.

Wojtek zawołał za nią i - Poczekaj... Chwilę. Proszę.

Ale Hania nie słuchała.

Patrzyła na niego nad głowami innych pasażerów i powiedziała już spokojnie:

- Nie chcę teraz rozmawiać.

- Spotkajmy się, proszę.
Drzwi zamknęły się. Wojtek stał na przystanku patrzył za odjeżdżającym autobusem.

WARSZAWA

14 sierpnia 2008

Jan zapukał do drzwi. Tylko raz. Otworzyły się i zobaczył Basię.

Stała przed nim w zwiewnym szlafrocuku i miała na nosie odrobinę nieroztartego kremu.

Wyglądała, ach, wyglądała ślicznie.

Na chwilę zaniemówił, ona też nie mogła wykrztusić słowa.

Stali tak jakiś czas i milczeli, aż Jan pierwszy się odważył i wykrztusił przez ściśnięte gardło:

- świetnie wyglądasz, Basiu.

I w ten sposób zrobił pierwsze pas...

Basia potarła palcem wskazującym nos, ścierając tę śmieszoną kapkę kremu, zebrała poły szlafroka i szepnęła ze ściśniętym gardłem:

- Ty też...

Odsunęła się, wpuszczając go za próg.

- Poznałem Hanię. Pokiwała głową.

- Wiem.

- Możemy porozmawiać?

- Mów.

Nie zapraszała go dalej. Stała w hallu tuż przy drzwiach, jasno sygnalizując, że ta wizyta nie będzie długa.

Jan czuł się jak intruz, jak petent, ale gotów był teraz znieść wszystko. Musiał z nią porozmawiać. Musiał porozmawiać z Basią. Popatrzył jej w oczy i powiedział:

- Nie wiem, czy to w ogóle jeszcze możliwe, ale zrobię wszystko, żeby znów mieć córkę.

Basia pomilczała, a potem odparła tym swoim kręcącym głosem, lekko zachrypniętym i takim... Nie znalazł dobrego określenia. Ten głos... Nikt nie miał podobnego...

- Tak naprawdę to nigdy jej nie miałeś. Nie to chciał usłyszeć. Chciał usłyszeć... Czego tutaj szukasz, myślał. Szarlotka... kompletnie mnie opętała szarlotka.

Nic nie mówił. Nie podjął tematu.

Milczał. .

Basia miała rację, jak zwykle miała rację.

Czego on tu szukał. Chyba zwariował.

Nagle cała energia, która go tu przywiodła, opuściła go bez śladu. Jan spuścił głowę, pochylił ramiona i mówił, tak jakoś matowo i bezbarwnie:

- Cóż, pójdę już.

A Basi, Basi zrobiło się go żal. Wyglądał jak wtedy, gdy widziała go po raz ostatni. W teatrze.

Jak zbity pies.

Nie chciała go tak puszczać, było jej przykro i chciałyby z nim porozmawiać, zobaczyć, co z niego wyrosło, więc zaproponowała:

- Proszę, wejdz. Zrobię herbaty.

Basia zawsze była zbyt łatwa. Wiedziała o tym, ale co miała na to poradzić. Taka była po prostu.

Nie było w niej zawziętości.

Jan też pamiętał. Tę łatwość Basi, łatwość człowieka dobrego i prostego.

Jan odwrócił się z ulgą i skierował do pokoju, gdy zauważył wiszącą na lustrze w hallu suknię ślubną.

Przeszedł go dreszcz.

Przypomniały mu się Dickensowskie *Wielkie nadzieje*...

Jak się nazywała ta panna młoda, która przez dziesiątki lat trzymała w domu suknię ślubną? Panna Havisham. Ale nie, to niemożliwe... Uśmiechnął się do swoich myśli i zapytał: ^*

- Wychodzisz za mąż?

Basia patrzyła na niego spod oka, ciut szelmowsko, i przez moment kusiło ją, by skłamać czy zażartować, ale w końcu odpowiedziała po prostu:

- Hania bierze ślub.

- Kiedy?

- Jutro.

- Z Wojtkiem?

- Ze Sławkiem.

- Kto to jest Sławek?

- Kto to jest Wojtek?

15 SIERPANIA 2008

European Show Dance Warszawa Ranek

Jan stał niedaleko sceny. Wkoło niego kłębił się cały ten cyrk, a on pogrążony w myślach obserwował w roztargnieniu rozpoczęcie konkursu.

European Show Dance.

Jakoś nagle stał się dla niego nieważny.

Wszystko przestało być ważne.

Mało widział, myślami był przy Basi i ich wczorajszej rozmowie.

Ależ im się życie pokopało i ich pokopało, a wszystko dlatego że on kiedyś dokonał wyboru. Miał kobiety i dziecka wybrał karierę. Wybrał taniec.

Czemu nie walczył? Poszedł na łatwiznę. Przecież mógł mieć wszystko. A został z niczym. Popatrzył na swoje puste dłonie...

Byłem idiotą, pomyślał.

Ale czemu Hania, moja córka, wychodzi za mąż za mężczyznę, którego nie kocha?

Zupełnie tego nie rozumiał.

Może to jest genetyczne, pomyślał, może to jakiś gen destrukcji?

Pokręcił głową, jakby nie dowierzał własnym myślom, i potarł ręką czoło.

Nie widział Hani od tego fatalnego dnia w restauracji.

Nie odbierała telefonów, a gdy jeden, jedyny raz udało mu się na nią trafić, powiedziała tylko sucho, że nie chce go znać.

Okej.

Rozumiał to. Ale dlaczego rozstała się z Wojtkiem i wychodzi za mąż za tego jakiegoś Sławka, którego Basia, zdaje się, nie lubi i nie szanuje?

Konferansjer zapowiedział pierwszą parę, szopka się skończyła, zaczęły się zawody, zaczęła się gra...

Jan oprzytomniał i skupił się na pracy.

Po tej aferze z Hanią przemyślał wszystko i uległ jej.

Po prostu się bał. Bał się, że ją straci. Gra szła o zbyt wielką stawkę. Wsiadł razem z Moniką do samochodu i odszukał tego całego Wojtka.

A potem przeprosił Maćka, który, dziękować niebiosom, darował mu życie, nie zabił go na miejscu, gdy kolejny raz zmienił decyzję i wstawił do pary z Vivką Wojtka.

Może trochę pomogło w tym przekupstwo, zaoferował Maćkowi miejsce w baletach Brookesa.

Będzie to musiał jakoś załatwić, ale nie teraz.

Później.

A potem rozpoczął z Vivką i Wojtkiem zaiste mordercze treningi.

I próbował, cały czas próbował nawiązać kontakt z Hanią. Bez rezultatu.

W końcu, nie widząc innej szansy, poszedł wczoraj tam, na Ochotę, do tego domu, pod którym już był, ale nie odważył się wejść.

Ale tym razem wszedł i Basia była taka... taka jak dawniej.

I siedzieli w kuchni, i gadali, i pili herbatę, i było tak...
Było tak jak dawniej. Nie chciał o tym myśleć. Tańczyli właśnie Rosjanie. Najpoważniejsi rywale Wojtka i Vivki. Przyglądał im się bez emocji, niezły, ale żadna rewelacja. Moi powinni być lepsi. Jeśli nie będzie jakiejś wpadki, pomyślał.

15 SIERPANIA 2008

Brzezina Reinholda Ranek

Basia, jak każda dziewczynka, czytała kiedyś *Anię z Zielonego Wzgórza* i pamiętała ślub Ani.

W którym to było tomie, już nie pamiętała, ale Ania była, jak mówiła Maryla, najpiękniejszą panną młodą na Zielonym Wzgórzu.

Teraz Basia patrzyła na Hanię w zwiewnej białej sukni, cienkiej tak, że niczym gaza otulała jej nogi i biodra, i myślała:

To też jest na pewno najpiękniejsza panna młoda w Brzezynie Reinholda. Niejeden ślub musiał się tu odbyć przez tych parę wieków istnienia Brzeziny, niejedno wesele, ale Hania jest bez wątplenia najpiękniejszą panną młodą, jaka tu mieszkała.

I najsmutniejszą.

Smutna panna młoda.

Fryzjerka właśnie skończyła ją czesać i kiedy Basia spojrzała w oczy Hani, aż się przestraszyła. Bezbrzeżny smutek.

A potem Hania zupełnie nagle zaczęła płakać.

Basia podeszła do niej i pogładziła po głowie, choć to nie było łatwe, bo fryzura kunsztowna, a welon już upięty. Głaskała ją przez dobry moment, zbierając myśli, a potem usiadła naprzeciwko niej i wzięła jej drobną białą dłoń w swoją, niezbyt zadbaną, czerwoną.

Podniosła jej podbródek i popatrzyła w oczy. I zapytała:

- Haniu... kto to jest Wojtek?

Hania wyprostowała się jak smagnięta batem, popatrzyła przed siebie niewidzącymi oczami, ominęła wzrokiem oczy Basi, uwolniła rękę i sięgnęła po chusteczkę.

Staranie wytarła łzy, potem nos i powiedziała:

- Już nikt. Basia westchnęła. Ciężko być matką. Oj.

Ciężko.

I co ona ma zrobić i powiedzieć, by ustrzec Hanię? Czemu ona chce odejść od ukochanego mężczyzny i wziąć ślub z tym całym popapranym Sławkiem? Czemu nie walczyła i nie walczy?

Basia nic z tego nie rozumiała.

Czy tej mojej Hani rozum odjęło? - myślała, ale nic nie mówiła...

Zeszła na parter za Hanią w białej sukni niby giermek za królową. Podtrzymała długi welon i powstrzymała też cisnące się jej na usta słowa...

Niełatwo być matką.

W salonie, bo był, a jakże, w Brzezynie pokój, który określano salonem, na wolterowskim fotelu siedział Horacy Jan Pomiechówka i trzeba przyznać, że dziś bardzo tu pasował.

Ubrany w ciemnoszarą jaskółkę wyglądał jak księżę pan, co zstąpił do chaty wieśniaka.

Miał w tym żakiecie, gipiurowej kamizelce i szarej, wybranej przez Hanię krawatce poprowadzić ją dziś do ołtarza, ale na razie siedział przed telewizorem i gapił się na jakiś film, w którym akurat ktoś kogoś zabijał, skacząc po nim i wydając groźne okrzyki.

Horacy popijał ze smakiem naleweczkę, a sądząc po roznoszącym się wokół ożywym zapachu, była to jego ulubiona modrzewiówka.

W końcu to wielki dzień.

Postanowił więc sobie dogodzić. .

Hania przyglądała mu się, takiemu zadowolonemu, eleganckiemu, z ukontentowaniem, a Horacy z uznaniem wznosił kielonek na jej widok.

Pił za nią, uśmiechał się radośnie, a potem wracał do oglądania telewizji.

Lubił takie nawalanki. A już Bruce'a Lee to najbardziej...

Choć ten Van Damme też niezły był.

Hania przez chwilę się wahała, a potem podeszła do stolika i biorąc do ręki pilota, powiedziała:

- Wybacz, Horasiu, ale ja muszę... Bo rzeczywiście musiała. Przełączyła program i szukała przez chwilę TVN24, gdzie jak wiedziała, miała być relacja na żywo z European Show Dance. Usiadła na kanapie, nie zważając na rozczarowanie i protesty Horacego, który z tej okazji nalał sobie drugi kieliszek i gestem zaproponował też nalewkę Basi.

Baśka czuła, że odrobina alkoholu we krwi być może pozwoli jej przerwać ten koszmar, czyli ślub Hani, więc kiwnęła głową i przysiadła się do Horacego gapiącego się jednak w telewizor. W końcu też się coś tam działo.

Konferansjer zapowiadał:

- Jako pierwsza zatańczy para włoska, Sophia Vico i Marcello Malaparte.

Tańczyli sambę.

Nieźle im to szło - oceniła Hania. Czuła się już nieomal fachowcem. Tancerka miała w talii zawieszony bębenek, które dźwięczały przy każdym ruchu, a ona dodatkowo uderzała w nie niekiedy.

Zabawny bajer, myślała Hania.

Ale bajerami się nie wygrywa.

Ciut im nie dostaje techniki, oceniała.

Patrzyła na ekran, ale wyciągała rękę w kierunku Horacego.

Ten rozumiał, o co chodzi, ale patrzył na Baśkę.

A Baśka, ku jego zdumieniu, kiwnęła przyzwalająco głową, więc nalał kolejny kielonek dla Hani, ale dolewał też sobie i Basi.

Co tam będzie im żałował. W końcu raz się żyje.

I raz ślub bierze, choć on jakoś nie dostąpił tej przyjemności.

No, nie składało się, myślał

Basia patrzyła na taką śliczną Hanię w tej pięknej, powłóczystej sukni i mówiła:

- Sławek padnie z wrażenia. Jak cię zobaczy... Hania nie reagowała. Ciągle była wpatrzona w ekran.

Basia jednak dalej uparcie próbowała oderwać jej uwagę od transmisji i telewizora. Zaczynało ją to bawić.

Może dlatego, że piła już trzeci kieliszek modrzewiówki, dolany przez tego podstępного draba Horacego Pomiechówkę, który nalewką, w końcu nie swoją, szafował nader hojnie...

- Twój ojciec był u mnie wczoraj, w Warszawie. Zaprosiłam go na ślub.

Hania nadal nic nie mówiła. Gapiała się.

Basia widziała na ekranie polską parę. To pewnie ten Wojtek.

Sędziowie pokazali noty, prawie wszystkie po 10 punktów.

Basia upiła odrobinę nalewki i z lekka zagadała:

- Przystojny ten Wojtek.

To Hania dziwnym trafem usłyszała. Wyciągnęła kieliszek do Horacego i powiedziała:

- Horasiu, *please*.

A Basię zaś poinformowała z rozradowaną miną:

- Dobrze im poszło.

I znów zaczęła się wgapiać w telewizor.

Najdziwniejsza panna młoda w Brzezynie Reinholda, myślała Basia i zabrała nalewkę Horacemu Janowi.

- Nie chcemy, Horacy, byś się nam zataczał, idąc do ołtarza. Wtedy ta twoja cała niezwykła elegancja na nic by się nie zdała? Nieprawdaż? Koniec z naleweczką.

- A mogą papieroska? - zaszemrał Horacy, który świetnie rozumiał powagę chwili i wiedział, że dziś może więcej...

- Tak. Możesz - zgodziła się Basia, jak zwykle niezwykle przytomna. - To będzie już drugi...

- Po weselu sobie zapala trzeciego - rozmarzył się Pomiechówka. - Co jej ji? - Wskazał papierosem Hanię w stanie hipnozy przed telewizorem. - Wygląda jakoś tak. Inaczej. Inaczej...

Basia wzruszyła ramionami, co będzie mu tłumaczyła.

Dużo by trzeba gadać. Podeszła do kredensu i wyciągnęła z szuflady ładne drewniane pudełko. Podała je Hani.

Ta oderwała na chwilę wzrok od ekranu, wzięła je i nie bardzo wiedziała, co z nim zrobić.

Basia powiedziała dość głośno:

- Proszę.

- Co to jest?

- To, co zostało po największej miłości mojego życia.

Hania zajrzała do pudełka i wyciągnęła plik zdjęć.

Była trochę rozczarowana. Nie wiedziała, czego się spodziewała, ale nie tego.

Patrzyła na zdjęcia bez większego zainteresowania.

Ot, by mamie nie sprawić przykrości.

- To ja? Nie znałam tego zdjęcia. A tutaj ty, z Janem...

- Bardzo go wtedy kochałam. Rozstaliśmy się, a potem przez te wszystkie lata, gdy byłam sama, żałowałam, że bardziej o niego nie walczyłam, że się uniosłam ambicją, że się bałam już potem, później wejść w taki mocny związek z mężczyzną. Bałam się zranienia. Odepchnięcia i porażki. Ale ty nie musisz się niczego bać. Jestem przy tobie.

- Po co mi to mówisz?

- Bo wiem, że w życiu nie ma nic ważniejszego od miłości. Prawdziwej miłości. Ja przeżyłam swoją wielką, młodzieńczą miłość... Nie trwała długo, ale jednak... Zaważyła na całym moim życiu. A ty?

- Co ja?

- Przeżywasz teraz taką miłość?

Hania pokiwała głową i patrzyła na matkę.

Zaczepnie, i - Tak.

Wyłączyła telewizor i powiedziała:

- Ruszajmy, bo się spóźnimy do kościoła w Fojuto wie...

15 SIERPANIA 2008

Warszawa Hala mistrzostw

Wysoko pod sufitem na tablicy wyników widać było, że Wojtek i Vivka szli jak burza.

Byli najlepsi, mieli najwięcej punktów. Publiczność szalała po każdym ich występie.

To dobrze, myślał Jan, że zaskarбили sobie jej sympatię, to powinno zaprocentować na końcu...

Dostali owacje jak na meczu, po strzeleniu bramki.

Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem ich tańca i ocen sędziów, którzy mówili o nich w samych superlatywach.

Ojciec Wojtka siedzący w pierwszym rzędzie tak klaskał, że aż mu zdrętwiały ręce.

Był dumny i nie mógł się oprzeć, by nie pochwalić się sąsiadom na trybunie, że to jego syn teraz tańczył i był najlepszy...

Jan stał za kulisami i po raz pierwszy w życiu jakoś go te zawody nie kręciły.

Był zamyślony, bo też miał o czym myśleć.

Ta wczorajsza wizyta u Basi, tyle wspomnień. Trudno się od nich opędzić.

Zresztą, po co się opędzać, skoro one miłe...

Podeszła do niego Monika, i obejmując go, obudziła z letargu, w którym zdaje się był, i podsunęła pod nos magazyn „Colette”.

Jan spojrzał i zobaczył na okładce swoje zdjęcie i nazwisko.

Wywiad.

Wywiad Hani.

Monika otworzyła gazetę i zapytała:

- Chcesz przeczytać?

Kettler nie patrzył na magazyn, tylko na scenę, ęhoć akurat teraz nic ciekawego się tam nie działo.

Nigdy nie czytał wywiadów.

Po co tracić czas, czytając bzdury, które znał na pamięć.

Pokręcił głową.

- Nie. Nie chcę.

c - Lepiej przeczytaj!

Monika nie ustąpiła, ostatnio zrobiła się jakaś taka twardsza, wtrącała się, myślał Jan, dawniej była bardziej uległa, ale teraz ciągle czegoś ode mnie chce.

Ale najczęściej słusznie się upierała, więc Kettler wziął magazyn do ręki, choć czuł, że lektura Hani wywiadu nie będzie przyjemna.

Otworzył.

Zobaczył swoje wielkie zdjęcie i na chwilę się przy nim zatrzymał. Nawet nieźle. Ta Hania.

Okazało się, że ma różne talenty.

Czytał tekst wskazany przez Monikę:

Jan Kettler, mistrz, trener, guru tańca, - przyjechał specjalnie do Polski, żeby przygotować kilka par. Dwójka młodych ludzi, którzy okażą się najlepsi, stanie do konkursu European Show Dance. Dla wszystkich wybranych w castingu tancerzy już miesięczny trening pod okiem mistrza jest ogromnym wyróżnieniem.

No, nieźle, myślał, pisze też nieźle. Milutko...

Przysuwał gazetę i już uspokojony czytał dalej:

Jaki jest Jan Kettler? Doskonały? Nie. Ma tylko doskonałą technikę. W pracy jest bezdusznym tyranem, dla którego nie liczą się ludzie, tylko ich osiągnięcia.

Taniec z nim jest formą wewnętrznego samobójstwa. Jeśli taką cenę trzeba ponieść za to, żeby świat nazywał cię mistrzem, to lepiej zostać człowiekiem.

Kettler przerwał czytanie, ale nie przestał się uśmiechać, popatrzył na Monikę, która bezczelnie chichotała:

- Jaki ojciec, taka córka, prawda?

Ach!

Jan pokiwał głową.

No, przyłożyła mu, smarkuła jedna, ale cóż, nie bez racji...

Oddał gazetę Monice i zaczął szukać swoich podopiecznych
Na parkiecie tańczyła para czeska. Czaczę. Niedługo znów
będzie kolej na Wojtka i Vivkę. O! Był Wojtek!

Nie wyglądał na triumfatora tych zawodów. Nos na kwintę,
smutek na twarzy. Stał z boku zamyślony.

Vivka przyglądała mu się z pobliskiego korytarzyka.

Coś jej się nie podobał ten Wojtek Nie wiedziała czemu, ale
przebiegła jej przez głowę myśl - żeby on mi tylko nie wyciął
jakiegoś numeru.

Później nazwie to intuicją...

Jan poszedł leniwie do Wojtka, oglądającego czubki swoich
butów, i powiedział mimochodem:

- Pewnie wygracie.
- Tak pan myśli?
- Jestem tego pewien.

A Wojtek odpowiedział tak smutno, jakby go ktoś właśnie poinformował o śmierci w rodzinie:

- Super. Zawsze o tym marzyłem.
- Jesteś pewien, że to jest dla ciebie najważniejsze?

Wojtek nagle zrozumiał, że Kettler nie mówił o mistrzostwach.

- Nie, nie jest, ale już za późno - odpowiedział. Jan popatrzył na zegarek.

- Wciąż masz trzy godziny i czterdzieści pięć minut.

Jest szansa...

Wojtek nagle ożył

Budziła się nim nadzieja.

A może...

Nagle przygasł...

- Nie wiem nawet, gdzie jest ten kościół.

- Ja wiem - powiedział Kettler i wręczył mu zaproszenie na ślub, to zaproszenie, które wczoraj dała mu Basia.

W tym momencie pojawiła się przy nich Vivka

i chwyciła Wojtka za rękę.

- Chodź, zaraz zaczynamy, szybko.

Ale on, nie patrząc na nią, uwolnił swoją dłoń i wymamrotał półgębkiem:

- Przepraszam, Vivka. A do Kettlera:
- Dziękuję.

I wyrwał do przodu jak jakiś chart gończy.

Vivka stała oniemiała. Był i już go nie ma. Z głośników usłyszeli: Prosimy parę polską...

A Jan patrząc na nią, na jej minę i na biegnącego Wojtka zaczął się śmiać tak, jak nie śmiał się od lat...

Wojtek wyskoczył z autobusu i pomknął na pętlę, z której odchodziły dalekobieżne.

Wyglądał jak zbiegły kelner albo śpiewak operowy, bo ubrany był w czarny frak stosowny do tanga argentyńskiego, które miał tańczyć na Show.

Wpadł na przystanek, ale autobus do Fojutowa zniknął akurat za zakrętem.

Miał przerąbane.

Chwilę postął zdezorientowany, ale wybiegł jeszcze na drogę i usiłował zatrzymać jakiś samochód. Mógł przecież pojechać autostopem.

Sam nie wiedział, co mu się kręciło w głowie...

Pobiegł wzdłuż drogi przelotowej, poły fraka powiewały mu jak chorągwie wojenne, a on machał rękami przed przejeżdżającymi samochodami.

Ale nikt się jakoś nie kwapił, by się zatrzymać i go podzucić.

Basia i Hania podjechały pod kościół w wielkiej białej limuzynie.

Sławek w żaden sposób nie chciał z niej zrezygnować i teraz ten samochód o parametrach wagonu tramwajowego wyglądał przed drewnianym kościółkiem w Fojutowie jak przeniesiony cudem jakim z Las Vegas.

Wysiadaly z limuzyny i ruszyly szybko w kierunku kamiennych stopni prowadzacych na swiatynne wzgorze.

Za nimi kuptykal Horacy, dziwujac sie wprost swojej niezwyklej elegancji.

A pies Cycek wlasnie wylecial z za zakretu, ale mial jeszcze szmat drogi do pokonania.

Staral sie jednak bardzo i pedzil niby mala i wzniecajaca kurz torpeda.

Wyszedl im naprzeciw uszczesliwiony Slawek i spotkali sie w polowie schodow.

Hania podala mu reke i dalej szli juz razem...

Wojtek w koncu mial farta, zlapan wielka, wielgasma ciemzarowke. Wsiadl do niej i ubrudzil sobie frak.

Nic to, pomyslal, po co mi ten frak, jak nie dojadę na czas, to bede wrak.

Zerknal na zegarek. Mial trzy godziny.

Wnetrze. Kosciol. Dzień

Usmiechniety Slawek czekal przy oltarzu, tuż obok niego stal usmiechniety radośnie Remek, szef Hani.

Swiadcowal im. W koncu to najlepszy przyjaciel. Slawka.

Horacy wyprostowany jak trzcina, pelen dystynkcji prowadzil Hanie do oltarza. Lekko szural nogą, ale wygladal...

Jak lord, myślała Basia. A Hania, Hania wyglądała zjawiskowo jak nikt inny. Tylko ona mogła tak wyglądać.

Jak nimfa. Jak rusałka, jak dama z epoki empire. Tylko dlaczego ona to robi...

Jana złe dalej kusilo. Nie dość że zerwał mistrzostwa, to jeszcze miał ochotę zobaczyć ten ślub. To, co dalej...

W końcu dostał zaproszenie...

Rzucił więc krótkie „jedziemy” do Moniki i oboje wypadli z budynku. Pędzili do samochodu i już mieli wsiadać, gdy tuż przed nimi pojawił się ojciec Wojtka, jego brat i dwaj koledzy.

Wszyscy chcieli wiedzieć, co się stało...

Ale Janowi szkoda było czasu na tłumaczenia.

Krzyknął: - Siadajcie - i załadował całe towarzystwo do swojej terenówki. Ruszył upchanym do granic możliwości samochodem i powiedział:

- Opowiem wam piękną historię, ale to po drodze... Na razie mkniemy... na wylotówkę.

I ruszył z kopyta niczym Kubica na Grand Prix Kanady...

Wojtek wysiadł z ciężarówki niedaleko kościoła. Kierowca wczuł się w jego story o miłości większej niż ambicja. Zdążyli się zaprzyjaźnić i nieźle dawał czadu, by zdążyć na czas...

Teraz wypuścił Wojtka i sam też wysiadł.

Chciał to sobie zobaczyć...

A co mu tam.

Rzadko się takie atrakcje w drodze trafiały... Zamknął starannie drzwi, ale Wojtek na niego nie czekał. Biegł.

Rozejrzał się dookoła.

Było pusto i cicho. Gdzieś widać było jakieś rzucone kwiaty.

Wyglądało na to, że już po wszystkim.

No, to koniec, myślał, i tak się nie udało. Ja chyba jestem przeklęty...

Załamka. Siadł na ziemi i przyplątał się do niego jakiś tłusty, odrażający kundel, machał przykrótkim ogonkiem i usiłował go polizać po twarzy.

- A idź, cholero! - zawołał Wojtek i zaczął się od niego oganiać, gdy wtem zza kościoła wyłoniła się samotna postać. Panna młoda.

Zjawiskowo piękna. I smutna...

Wojtek podniósł się z ziemi, kundel go porzucił i pomknął szybciotko do schodzącej po schodkach postaci.

Hania, myślał Wojtek.

- Hania!!!

W tym momencie Hania go zauważyła. Zatrzymała się.

Popatrzyła na Wojtka, a on ruszył do niej.

Powoli do niego dotarło, że ślub chyba się nie odbył, skoro ona tu sama.

Wpatrzeni w siebie podeszli bliżutko.

Chwilę jeszcze patrzyli na siebie, po czym zaczęli się całować.

W tym momencie tłusty kundel złapał Wojtka za nogawkę i zawarczał nader odstraszająco...

- Cycek jeszcze się nie połapał w sytuacji - powiedziała Hania. - Cycuszk, to jest Wojtek. Bądź dla niego miły...

Jan zostawił wszystkich pasażerów swojego autka pod kościołem.

Sam ruszył powoli do domu Basi. Czuł, jakby zrzucił pęta, wrócił do życia.

Boże, jak tu pięknie! Stary pochylony dom nad rzeką. Mosteczek, a na nim kobieta. Basia.

Patrzyła w wodę i wyglądała tak egzotycznie. W kapeluszu wielkim niemal jak koło pobliskiego młyna.

Jan zbliżył się i widział, jak Basia zdjęła kapelusz i rzuciła do rzeki...

Potrząsnęła głową i włosy rozsypały się jej na wietrze.

Uwolniła się... pomyślał Jan. » Podszedł bliżej i powiedział

- Basiu...

Ona spojrzała na niego, tymi błękitnymi oczami, które tak zawsze kochał, i mówiła swoim zachrypniętym głosem, na którego dźwięk aż podskoczył:

- Janek...

- Wojtek jest z Hanią. W kościele. Poszli do księdza. A ja... chciałem do ciebie... Pięknie tu...

- Tak - powiedziała Basia. - To raj na ziemi... Napijesz się herbaty?

- Chętnie...

, Odwrócili się i poszli do domu. Najpierw przez mostek, potem koło młyna, a wreszcie minęli niewielką łączkę i już byli.

- Masz młyn - dziwił się Jan.

- Nieczynny. Ale zawsze mogę zrobić *molinette 1* - zażartowała Basia.

- Ach, Basiu, jak mi ciebie brakowało....

- To Brzezina Reinholda. Mój dom. - Basia pokazała swoje domiszcze i prawdę mówiąc, duma ją rozpierała.

- Imponująca!!!

- Tak.

Weszli na otwartą drewnianą werandę, gdzie już siedział Horacy Jan i palił papieroska.

Skoro ni ma wesela, postanowił już teraz zakopcić...

W końcu miał te... no, przeżycia... uciekająca panna młoda...

No, zawsze chciał to zobaczyć i się udała.

Nawet jom łapał za welona... Ale nic. Nie udała się.

Zwiała.

Hania...

I pomyślał nawet - moja krew.

Tak się rozpędził Horacy Jan Pomiechówka...

Basia przedstawiła panów, wskazała Janowi miejsce i zapytała: - Wolisz herbatę, kawę czy może kompot? Mam porzeczkowy...

- Kompot?! O! kompot! Ileż to lat ja nie piłem kompotu...
Chcę oczywiście kompot. I może masz szarlotkę?

- Zgadłeś. Mam!

- Wiesz, że marzyłem o twojej szarlotce... Gdy tylko
widziałem jakieś jabłko...

Basia się uśmiechnęła i w tym momencie na werandę wszedł
siwy mężczyzna z kotem na ramieniu.

Basia wzięła od niego kota i przedstawiła:

- Eustachy Karpowicz... miejscowy weterynarz...

EPILOG

SCENA 156

Wnętrze Mistrzostwa Dzień

Zapalają się światła. Z ciszy powoli narasta aplauz widowni. Widzimy Basię na widowni. Najpierw widzimy Wojtka, który wchodzi na parkiet i zaczyna tańczyć. Po chwili dołącza do niego Hania. Tańczą na mistrzostwach, tańczą wspaniale. Szczęśliwy Kettler obserwuje ich taniec zza kulis. Monika stoi obok niego, uśmiecha się.

SCENA 160

Wnętrze Mistrzostwa Dzień

Hania i Wojtek w stop-klatce w jakiejś szalonej pozie.

SCENA 162

Wnętrze Brzezina Reinholda Dzień

Dzwoni telefon. Basia podchodzi do aparatu. Odbiera, chwilę słucha zdziwiona. Głos męski zza kadru:

- Kto dzwoni?

Basia odsuwa słuchawkę od ucha, niedowierzająco jej się przygląda i mówi zdziwiona:

- Dzwonią, no, wyobraź sobie, że tu ktoś dzwoni i mówi, że dostałam Translatora...

- Translatora? A co to jest? Translator?

Basia ciągle przygląda się słuchawce i odpowiada powoli:

- Nagroda za najlepsze tłumaczenie roku... Nagle do niej dociera, Basia rzuca słuchawkę i skacze do góry z radości! Kot drze się przeraźliwie.

SCENA 1001

Basia w jakiejś szalonej pozie zatrzymana w stop-klatce. I to byłby już...

KONIEC